

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/439

1984



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. NOWAKOWSKI: **ŚWIADEK**

L. UNGER: **LIST DO DYREKTORA UNESCO**

J. KUŚMIEREK: **ABY NIE ZDZICZEĆ**

J. BIEREZIN: **AD REM**

SPIS RZECZY

Marek Nowakowski:	<i>Świadek</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Księż Mediolanu</i>	17
WIERSZE		
Witold Wirpsza:	<i>Monolog W. A. Mozarta</i>	23
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	26
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	38
Radek Sikorski:	<i>Debaty w Oxford Union</i>	42
K R A J		
Józef Kuśmierek:	<i>Aby nie zdzićiec</i>	45
—	<i>List z Kraju</i>	55
—	<i>List do Redakcji „Kultury”</i>	58
SPRAWY I TROSKI		
Cezary Gawryś:	<i>Rzymska szansa</i>	59
Danek Turczyński:	<i>Irackie rozmowy (3)</i>	64
ZET:	<i>Studia polskie w USA</i>	68
SĄSIEDZI		
Tomasz Mianowicz:	<i>Oslo — Praga — Gorki</i>	71
Helena Bonner:	<i>Sacharow do Wałęsy</i>	74
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	74
J.Ż.:	<i>Kronika ukraińska</i>	80
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	82
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	86
Z PUSTYNI I Z PUSZCZY		
Jacek Bierezin:	<i>Ad Rem</i>	87
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	<i>Ład</i>	97
—	<i>POLCUL Foundation</i>	98
K S I A Ź K I		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Rekonians (dok.)</i>	100
M. Broński:	<i>„Chusteczka imperatora”</i>	130
Regina Wasiak:	<i>„Pamiętnik Literacki”</i>	132
—	<i>„Więź” o literaturze emigracyjnej</i> ..	135
Ryszard Löw:	<i>Prasa Żydów polskich</i>	136
—	<i>Zapowiedzi wydawców emigracyjnych</i>	
—	(ciąg dalszy)	137
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	138
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki: fran-</i>	
—	<i>cuska, kanadyjska i szwedzka</i>	140
—	<i>Z ostatniej chwili (Korespondencja z</i>	
—	<i>Waszyngtonu)</i>	148
◆		
M. Danilewicz Zielińska, J.		
Handelsman, E. Klimczak,		
K. Lanckorońska, J. Łap-		
czyński, Z. Stankiewicz,		
E. de Virion, Cz. Ziom-		
kiewicz, J. Zubrzycki:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	157
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	159
—	<i>Ostatnie wydarzenie. — Oświadczenie</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Kwiecień - Avril** **1984**

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Nicholas Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 15-ty — \$ 58,00	F. 464,00
Henryk i Danuta Hiż, Philadelphia, PA (USA) — zamiast kwiatów na grób Chaima Perelmana, przyjaciela polskich filozofów — \$ 50,00	F. 400,00
Wacław Iwaniuk, Toronto (Kanada)	F. 200,00
Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria) — dla uczczenia pamięci śp. inż. Stanisława Kubaszewskiego, pchr. 2 D.S.P.	F. 100,00
Walter Łuszczak, Thunderbay (Kanada) po raz 10-ty	F. 297,97
Władysława Piegdon, Milwaukee, WI (USA) — dla uczczenia pamięci ks. dr. Andrzeja Czełuśniaka, MS — \$ 3,50	F. 28,00
Tadeuszowie z Brooklynu — dl uczczenia pamięci Magdaleny Byrskiej z domu Milkiewicz, zmarłej w Nowym Jorku 19 grudnia 1983 roku	F. 230,77
Stein Viksveen, Stavanger (Norwegia)	F. 200,00
Bezimiennie z Lugano (Szwajcaria), po raz 15-ty	F. 300,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Na apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston, złożyli: Ks. A. Nadzieja, J. Żołądkowski, A. Żołądkowski i W. Ostrowski po \$ 10,00; byli internowani: Z. Gadzik — \$ 7,00; T. Wojdakowski, A. Butkiewicz, M. Butkiewicz, W. Wasilewski, R. Górski, J. Kocjan, T. Daniszewski, M. Konka i W. Szypszak — po \$ 5,00; K. Guzewicz, A. Gorajska, J. Guzewicz, Z. Wallek, A. Biedak, B. Fusiek, L. Szumski, M. Stankiewicz, F. Dziadul i A. Gorajska (2-ga) — po \$ 5,00; Józefa J. — \$ 3,00 — r a z e m : \$ 145,00	F.1.160,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00	F. 800,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu — \$ c. 1.000,00	F.6.400,00
W Redakcji Listów do Polaków złożyli dla rodzin uwieczonych działaczy „Solidarności” — J. Szymerski z Naugatuck — \$ 20,00	F. 160,00
— rodzinom uwieczonych działaczy KPN — M. Orłowski — \$ 20,00	F. 160,00

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

E.M., Paryż — na ruch oporu w Polsce	F. 200,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na fundusz samoobrony społecznej, po raz 26-ty — \$ 50,00	F. 400,00
Tadeusz Rytko, Winterthur (Szwajcaria) — na sekcję literatów w Polsce	F.2.000,00
Wojciech Szczygieski, Zurych — dla więźniów politycznych i ich rodzin — Fr. szw. 40,00	F. 152,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Świadek

Większość sytuacji i obrazów w tym opowiadaniu należy do sfery fikcji literackiej, choć zostało ono oparte na atmosferze konkretnego procesu sądowego toczącego się w Warszawie. Mianowicie procesu b. prezesa komitetu do spraw Radia i Telewizji, Macieja Szczepańskiego. Jednak nie należy traktować tego opowiadania jako tzw. literatury faktu.

— Świadek jest wolny — wypowiedział bezbarwnym, spokojnym głosem tę stereotypową formułę.

Ale ci, którzy lepiej go znali, unieśli głowy znad stołu i popatrzyli w jego stronę.

Tak uczynił ławnik, starszy, kulturalny pan, w tym samym wieku co on zapewne; zaraz dyskretnie przymknął powieki.

Również protokolantka, jasnowłosa dziewczyna, zastygła z długopisem uniesionym nad papierem.

Dwaj młodzi obrońcy, powołani z urzędu, nie mieli jeszcze możliwości zapoznać się z jego reakcjami; dalej więc poszeptowali z oskarżonym.

Prokurator, przystojny brunet o upartej twarzy, zaprzestał na chwilę kartkowania swoich notatek, nie spojrział jednak w jego stronę.

Rzeczywiście był wzburzony. Ci, którzy obcowali z nim dłużej, rozpoznali ten stan jego ducha nieomylnie. Objawiało się to przede wszystkim szczególnie bezbarwnym, martwym głosem lub charakterystycznym zaciśnięciem palców na kartach grubych tomów materiałów dowodowych, piętrzących się przed nim na stole. Tak też teraz uczynił. Pociągnął silnie za nieco wystającą z rów-



P.9786 chr. Arch.

nej całości kartę tomu XXXV i naddał jej róg. Zaraz zreflektował się i schował te swoje kościste dłonie, pokryte brązowymi plamami pod blat stołu. Opanował już zewnętrzne objawy wzburzenia. Znowu był taki jak zawsze. Nieprzenikniony.

Odprowadził obojętnym spojrzeniem (skrytym zresztą za grubymi szklami okularów) wysoką, barczystą postać mężczyzny, przesłuchanego w charakterze świadka. Zatrzymał nieco dłużej wzrok na jego szerokich, może zbyt obwisłych, ale wciąż jeszcze krzepkich plecach w nienagannie skrojonym garniturze niebieskiego, delikatnego koloru. Widział jego siwe, krótko przycięte włosy i fałdy na wygolonej, czerwonej szyi.

Na sali panowała cisza, przerywana ledwo słyszalnymi szepotami. Publiczności niewiele. Kilkoro dziennikarzy z zawodowego obowiązku. Jest ta mała, nerwowa (wiecznie się kręci i rozgląda z natrętną ciekawością) reporterka o pomarszczonej twarzyczce ni to dziecka, ni liliputa. Ona tu przychodzi od początku i pisuje sprawozdania w jednym ze stołecznych tygodników. Drażni sędziego jej wścibstwo i wysoki, zaczepny ton głosu. Podczas przerwy wielokrotnie próbowała wszcząć z nim rozmowę, lecz zbywał ją uprzejmymi zdawkowymi odpowiedziami.

Jeszcze z rzadka siedzą na ławach jacyś przypadkowi ludzie. Być może wśród nich ktoś ze służby bezpieczeństwa. W szczególności nudnych partiach wyjaśnień oskarżonego zabawiał się nawet w rozpoznawanie przedstawiciela tego resortu właśnie. Przy drzwiach rozsiadł się w niedbalej pozie brzuchaty adwokat z tołą przewieszoną przez ramię, znany mu z kilku zawodowych spotkań.

Drzwi zamknęły się z przeciągłym skrzypieniem za świadkiem.

Stary woźny wyprężył się w pogotowiu, oczekując na dalsze polecenia.

A w nim, przewodniczącym kompletu orzekającego, rosło wzburzenie. To wzburzenie przechodziło w ciemny, zawzięty gniew.

Rzucił krótkie spojrzenie w stronę oskarżonego, mężczyzny w sile wieku, o twarzy, która niewiele straciła ze swej pewności i pychy niedawnego szefa środków masowego przekazu w tym kraju.

Była to twarz przeciętna (takich twarzy setki, tysiące) o wydatnych kościach policzkowych, nadmiernie mięsistych ustach, z lekko zadartym nosem i niezbyt okazałym czołem, ozdobionym lekko falującymi, jasnymi włosami uczesanymi w przedziałek. Popatrzył na niego bez zwykłej dotąd pobłażliwości. Gniew w nim osiągnął apogeum. Nawet miał zabarwienie sadystyczne. Wyobraził sobie bowiem oskarżonego w trakcie wysłuchiwanie wyroku. Jego dotychczasowy spokój i niezachwiana pewność

swoich racji, przechodzące nagle w zaskoczenie, więcej!, zwyczajny, zwierzęcy strach i bezradność zarazem. Na tę grę wyobraźni mógł sobie śmiało pozwolić. Posiadała mocny, realistyczny fundament. Mógł przecież skorzystać z górnego pułapu ustalenia kodeksowego, wymierzając po prostu najwyższy wymiar kary. Mieć taką satysfakcję! Ostatnią satysfakcję przed emeryturą. Będąc sędzią o wieloletniej praktyce, człowiekiem doświadczonym i mądrym, zdawał sobie doskonale sprawę, iż taki najwyższy wymiar kary może rozniewać jego przełożonych, prezesa sądu, dyrektora departamentu nadzoru, jak również tych anonimowych dyspozytorów urzędujących gdzieś w gabinetach najwyższych urzędów państwa.

Wtedy przejdzie więc na wcześniejszą emeryturę ze względu na stan zdrowia. W międzyczasie może nastąpić rewizja procesu na wniosek obrony lub interwencja nadzwyczajna spowodowana przez generalnego prokuratora, zmniejszenie kary, wnet potem warunkowe uwolnienie czy zgoła rehabilitacja niesłusznie skazanego. Możliwości jest dosyć wiele.

A może znając jego obiektywizm i niezależność celowo go oddelegowano do tej sprawy? Liczą na surowy wymiar kary. Będzie to padlina rzucona społeczeństwu na ofiarę i on ma spełnić rolę pozorowanego czyszciciela tej stajni Augiasza. Wszystko być może. Nie zdziwi się jednak wcale, kiedy niebawem zobaczy człowieka przez siebie osądzonego na wiosennym spacerze w Parku Łazienkowskim, spoglądającego w zadumie na pływające po stawie łabędzie. Albo na przykład, żeby było pikantniej, przeczyta w gazecie o nominacjach nowych ambasadorów i wśród tych nazwisk będzie to szczególnie mu bliskie nazwisko.

Ale na lata emerytury, te lata spacerów po parku w porze południowej, karmienia kolorowych rybek w akwarium i medytacji o przeszłości, pozostanie ta mała, niewzruszona satysfakcja. Tak pomyślał zaciekle. I zaraz zdusił w sobie ten wątek o moralnie dwuznacznym zabarwieniu. Nie wolno mu ulegać emocjom z niskich pobudek. Święte zasady sędziowskiego dekalogu.

Równocześnie uporczywie dźwięczał mu w uszach ten roz-wlekły głos, z prostackim akcentem zaznaczający sylaby w niewłaściwym miejscu. Głos ostatniego świadka, niegdyś I Sekretarza partii czyli władzy tego kraju, w którym przyszło mu żyć i wykonywać od wielu lat odpowiedzialny zawód sędziego. Tak przynajmniej dotąd uważał i sędziowski obowiązek traktował z całą powagą, nie ulegając naciskom jak również nie awansując, choć kilkakrotnie w kuluarach mówiło się o jego przejściu do sądu najwyższego. Znał z bliska ludzi, którzy sprawowali kierownicze funkcje w jego resorcie. Choćby tych kilku kolejnych ministrów sprawiedliwości czy partyjnych nadzorców z odpowiedniego wy-

działu KC. Bywał na rozmaitych naradach, słuchał ich uważnie i obserwował. Swoje zdanie wyrażał bez ogródek, mając jedynie na względzie należyta wykładnię obowiązującego prawa.

A teraz miał przed oczyma tego wielkiego, zwalistego mężczyznę, który przed chwilą opuścił salę sądową. Widział jego twarz, oczy, bruzdy wzdłuż nosa, zmarszczki na czole. Słyszał jego głos.

I był w nim zawzięty gniew. Uczucie tak szkodliwe w prawidłowej i obiektywnej ocenie okoliczności procesowych. Nie mógł tego gniewu opanować. Dłonie zimne i lekko wilgotne. Schował pod blatem stołu. Tam zacisnął na kolanach.

Świadek pytany był na okoliczność prezentów. Tak. Właśnie prezentów. Oni, ci dysponenci majątku narodowego, jego inwestycji, budżetu, pożyczek z zagranicy, podatków, w ogóle wszystkiego, obdarowywali się nawzajem prezentami. Był to hierarchiczny rytuał. Obowiązywał od dołu do góry. Płynęły rozrzutnie szafowane miliony ze skarbu państwa.

Toteż przygotował sobie pytania dotyczące marnotrawstwa publicznego mienia i tych darów w szczególności. Oskarżony budował jachty, stawiał pałace w górach i nad morzem, operował funduszem reprezentacyjnym godnym maharadży czy jakiegoś nababa. Wypytywany w tej materii, odpowiadał głosem pełnym urazy i oburzenia człowieka nie nawykłego do tego typu indagacji. Nie lubił zresztą konkretnych pytań, przechodził najchętniej do rozważań natury ogólnej. Wtedy jego twarz krzepła w poczuciu ważności omawianych problemów i pomagał sobie krótkim, mocnym gestem dłoni. Aparat środków masowego przekazu, którym kierował winien nie tylko agitować, pouczać i wypełniać ludziom wolny czas, ale jeszcze oszałamiać rozmachem i przepychem swoich możliwości. Te wszystkie jachty, pałace, baseny, hostessy nie były jego własnością prywatną, pełniły niebagatelną rolę społeczną. W podtekście jego wypowiedzi kryło się też głębokie przekonanie, że tacy jak on i jemu podobni muszą się różnić zasadniczo od zwykłych zjadaczy chleba. Wykonują przecież odpowiedzialną misję, pracują dla społeczeństwa, służą idei, ustrojowi, celom nadrzędnym. Przewodniczący kompletu orzekającego o winie i karze słuchał tych ogólnikowych wypowiedzi, jakby żywcem wyjętych z obrad plenum KC, i co raz ze stoickim spokojem sprowadzał oskarżonego na przyziemną płaszczyznę konkretów. Tak uczynił ostatnim razem i zadał pytanie odnośnie komfortowej willi Lido, położonej na wysokim, morskim brzegu. Był to pałac, w którym nie bywali nigdy szeregowi pracownicy komitetu, jedynie prezes i zaproszeni przez niego goście. Oskarżony zawahał się chwilę, zajrzał do swoich papierów (miał już kilka grubych brulionów i bloków zapisanych gęstym

maczkami liter) zawierających notatki do odpierania zarzutów; odpowiedział płynnie i bez zająknięcia.

Willi zbudowana została dla wszystkich. Jedynie w miesiącu lipcu przebywał sam ze swoim personelem osobistym, spodziewał się bowiem odwiedzin delegacji zagranicznych.

— Zresztą... — dodał zajrzawszy ponownie do swoich brulionów — kiedy budowano Lido, zapytywałem swego pierwszego zastępcę, czy będzie ona dostępna w celach czasowych dla wszystkich. Potwierdził jej przeznaczenie na wczesne pracownice. Dlatego więc wszystkie zarzuty mają charakter gołosłownych, demagogicznych insynuacji! — zakończył porywczo.

Sędzia podziękował oskarżonemu za wyjaśnienie.

Podczas tych 270 dni procesowych wielokrotnie już wysłuchiwał wypowiedzi, które miały się z tematem zapytania lub były wybuchami oburzenia człowieka nie przywykłego do zdawania sprawy ze swojej działalności nikomu poza I Sekretarzem. Zrazu go to drażniło i przywoływał oskarżonego do porządku. Później przestał zwracać uwagę na tę swoistą dewiację i przepelniało go jedynie znużenie; często po prostu nie słuchał oskarżonego, uśpiony tym wyszkolonym na tysiącach narad i wieców głosem. Z nudy i uśpienia budziły go niekiedy bardziej osobiste, a więc odbiegające od ogólnikowej sztampy wyznania oskarżonego. Oto kiedyś opowiedział o swoim dzieciństwie i wczesnej młodości na Śląsku, stanowiącym podczas wojny integralną część Rzeszy Niemieckiej. Było to bardzo interesujące.

Innym znów razem mówił o rozległej działalności ubocznej komitetu. O rozmaitych wytwórniach kaset i magnetofonów, wydawnictwie i innych przedsiębiorstwach, nawet o świniaрни, która zaopatrywała stołówki komitetu w mięso. Sięgnął do przygotowanych notatek i podał milionowe sumy czystego zysku, odprowadzane do skarbu państwa przez podległe mu przedsiębiorstwa. Mówił następnie o swojej aktywności w sferze świadczeń socjalnych, opiece lekarskiej, stołówkach. Tu znów sięgnął do notatek i wymienił 165 tysięcy obiadów firmowych, 117 tysięcy obiadów na talony pracownicze i 97 tysięcy obiadów *à la carte*, wydawanych w skali miesięcznej przez stołówki komitetu w całym kraju. Na koniec tego wystąpienia oskarżony wypowiedział się o telewizji kolorowej. On to przecież ją sprowadził, budując w szybkim tempie nowe studia, miał bowiem wizję telewizji przyszłościową, tak się wyraził; myślał o nieuchronnej konfrontacji ideologicznej w kosmosie, kiedy to zachód będzie nadawał swoje programy za pomocą satelitów.

I tym razem grzecznie podziękował oskarżonemu, świetnie panując nad swoim rozbawieniem.

Oskarżony usiadł na ławie i wytarł starannie chusteczką dłonie.

Sędzia zaś zagłębił się na czas jakiś w aktach sprawy. Liczyły one 142 tomy. Opanował jednak ten materiał dokładnie i poruszał się w nim bez trudności. Z łatwością znalazł odpowiedni passus. Były to ujawnione w toku kontroli NIK-u sumy z budżetu komitetu, przeznaczone na uroczystości związane z imieniami i urodzinami I Sekretarza. Sumy niebagatelne.

Tak działo się w ubiegłym tygodniu. I oto dziś w poniedziałek składają wyjaśnienia wezwani świadkowie.

Pierwszy stanął przy pulpicie przeznaczonym dla świadków ten rośli, wysokiego wzrostu mężczyzna, znany przedtem sędziemu tylko z wystąpień przekazywanych przez telewizję. Prezentowany uroczyście z okazji świąt państwowych, posiedzeń sejmu czy wizyt w rozmaitych stolicach świata, od Moskwy poczynając i na Paryżu kończąc. Miał go teraz w bezpośredniej bliskości przed stołem sędziowskim, okrytym zielonym suknem. Twarz nacechowana była godnością i poczuciem własnej wartości. Takim się wydał sędziemu na pierwszy rzut oka. Nawet ocenił to pozytywnie jako wyraz męskiej odporności. Czyli przez ten długi czas trzęsienia ziemi, osobistego upadku, kilkumiesięcznego internowania, komunikatów prasowych o jego odpowiedzialności za ruinę kraju, nawet złowrogich sugestii, że będzie postawiony w stan oskarżenia przed specjalnie w tym celu powołanym trybunałem stanu, a więc czas stanowiący dla niego nieoczekiwaną Golgotę — przeszedł przynajmniej zewnętrznie nad wyraz dobrze, krzepki i okazały. Przewodniczący składu orzekającego dla skupienia i uporządkowania myśli pochylił głowę i zaczął przerzucać karty wybranego przypadkiem tomu akt. Kartkował machinalnie, pytania dla świadka już miał uprzednio przygotowane. Wreszcie rozpoczął.

I tak zanurzył się w ten osobliwy świat uroczystości, hołdów, panegiryków, dziewczynek w strojach krakowskich z bukietami kwiatów, wieśniaków podających na tacy chleb i sól, delegacji składających wiernopoddańcze adresy i bogate podarunki. W ten duszny, przytłaczający świat drobiazgowo opracowanego ceremoniału, pełen uniżenia, obłudy i ściśle przestrzeganego rytuału nawet min i gestów.

Pytania sędziego posiadały charakter lapidarny i rzeczowy. Dotyczyły srebrnego serwisu stołowego, nabytego w Holandii przez instytucję podległą oskarżonemu i przekazanego jako prezent urodzinowy I Sekretarzowi w takim i takim dniu, takiego i takiego roku. Następnie kucyka rasy ponny (angielskie, często spotykane w wyspiarskiej literaturze koniki dla dzieci lordów), podarowanego ulubionemu wnukowi I Sekretarza.

Jeszcze wystąpiły w tym długim, wielocłonowym pytaniu owoce południowe, przywożone specjalnym samolotem z Paryża czy Londynu na rocznicę ślubu obojga małżonków.

Nastąpiła pauza wypełniona napiętą, pełną oczekiwania ciszą na sali. Ta nieliczna publiczność, obrońcy, prokurator, ławnicy, jasnowłosa protokolantka, wszyscy oni zamienili się w słuch, tak łatwym sposobem biorąc udział w intymnym życiu najwyższych dostojników państwa.

Jedynie sędzia pozostał niewzruszony, obojętny, z twarzą jak gipsowy odlew.

Świadek głos miał rozwlekły, lekko nosowy, zdania budował niezgrabnie, w jego słownictwie zaś pokutował niby balast nie do usunięcia specjalny żargon aparatu partyjnego. Przyznał z pewnym ociąganiem, że prezenty otrzymywał. Ale od razu przekazywał na cele społeczne. A to do domu rencisty, a to do szpitala czy sierocińca. Natomiast inne dary traktował jako przedmioty wypożyczone, choćby te obrazy ze szkoły holenderskiej, ozdabiające ściany salonu.

— Wyposażenie kuchni jednak... — sędzia zawahał się, nie użył słowa — pałac — powiedział zwyczajnie — ... w domu świadka pod Warszawą...

Świadek zachnął się i poczerwieniał.

— To nie był mój dom — odparł stanowczo — to był hotel Urzędowy Rady Ministrów, przeznaczony do mojego użytku na czas kadencji w Warszawie. Ja mieszkam w Katowicach... — podał bardzo dokładnie swój adres w tym mieście.

— A kucyk? — zapytał łagodnie sędzia.

— Kucyk... — powtórzył świadek, zamrugał powiekami. Dłonie wsparte o pulpit pokryte były nabrzmiałymi żyłami. Sędzia odczytał odpowiedni fragment wyjaśnień oskarżonego.

Świadek milczał. Tam w stronę ławy oskarżonych, gdzie w asyście dwóch milicjantów siedział wieloletni jego pupil, były przewodniczący komitetu, nie spojrzął ani razu. Nieruchomo i uparcie utkwiał wzrok ponad sędzią na ścianie, wisiał tam godło państwowe. Pochylił się i poprosił o szklanekę wody.

— Jestem sercowy — wyjaśnił przyciskając prawą dłoń do piersi.

Sędzia przypomniał sobie jego przemówienie sprzed lat, kiedy to bezlitosnym, gniewnym głosem gromił robotników z Radomia i Ursusa, występujących przeciw podwyżkom cen żywności.

Teraz zaś przypominał mu do złudzenia tych wielu oskarżonych i świadków, których przesłuchiwał na tym miejscu w swojej wieloletniej praktyce. Tych rozmaitych prezesów, kierowników, dyrektorów, przyłapanych na nadużyciach i trzepoczących się jak ryby wyrzucone na piach.

Prośbę świadka spełniono.

Woźny przydreptał z karafką i szklanką. Ten stary woźny sądowy, przywykły do czołobitnego szacunku wobec przełożonych, patrzył z wyraźnym zdumieniem na człowieka, który niegdyś był na niebotycznym dla niego szczyście społecznej drabiny i nagle znalazł się w tym nieoczekiwanym miejscu przed stołem sędziowskim.

Świadek upił nieco wody ze szklanki. Odetchnął i powiedział podniesionym głosem. — Wszystko to jest nieporozumienie i pomówienie!

Wtedy przewodniczący kompletu orzekającego po raz pierwszy zacisnął palce na tej wystającej karcie tomu XXXV akt śledczych.

Ale jego gestu nikt jeszcze nie zauważył. Już nie unosząc głowy znad papierów, zadał ostatnie pytanie. Dotyczyło ono sobiepańskiej, niczym niekontrolowanej władzy oskarżonego w podległym mu resorcie środków masowego przekazu.

— Czy świadek... — tak sformułował pytanie — wiedział o tym i czy to wszystko działo się przy jego aprobacie?

Świadek pomyślał dłuższą chwilę. Potarł siwe, przystrzyżone na jeża włosy.

— Ja... — odpowiedział — niczego nie rozstrzygałem sam. No, wiecie, kolektyw... Wszystkie decyzje zapadały kolegialnie na instancji. Na instancji! — podkreślił z naciskiem.

Sędzia uniósł nieco głowę. Nie mógł powstrzymać się od rzucenia krótkiego spojrzenia na świadka. Zobaczył pot na jego czole, niepokój w oczach. Poprawia węzeł krawata pod szyją.

Znow skrył się za wielopiętrowym stołem jak za murem. I wtedy powiedział martwym, bezbarwnym głosem: — Świadek jest wolny.

A ci, co go znali, spostrzegli jak bardzo jest wzburzony. I zamknęły się drzwi za świadkiem. I była cisza. „Lud wszedł do śródmieścia...” — uparcie błędziły w głowie sędziego słowa głośnego niegdyś poematu. Przecież oni wszyscy byli plebejscy. I co z tego? Na okiennym parapecie pojawiły się gołębie. Chroboty pazurkami po blasze, gruchały. Ten ptasi hałas wyrwał sędziego z zamyślenia. Podniósł głowę. Dłonie nadal miał schowane pod stołem. Powiedział tym swoim charakterystycznym, pozbawionym wszelkich intonacji głosem: — Proszę przywołać świadka... — tu wymienił nazwisko człowieka, który był wieloletnim szefem ochrony osobistej I Sekretarza. Obecnie także sprawował nad nim pieczę.

Woźny przywołał następnego świadka.

Do sali rozpraw wszedł mężczyzna równie potężny co poprzedni. O ile tamten jednak był miękki w ruchach i ociężały,

co wskazywało na nieruchawy raczej tryb życia i brak dbałości o kondycję fizyczną, to ten stanowił kwintesencję sprawności, siły i kociej sprężystości. Wkroczył lekko i posuwicie, mimo wagi swego ciała. Zajął miejsce za pulpitem. Wysoki, w jasnym, luźnym garniturze, białej koszuli z wykładanym kołnierzem, głowę miał okrągłą i rzadkie, też krótkie włosy z rozległymi zajazdami od czoła, a kwadratowa broda i wydatne szczęki znamionowały upór i brutalność.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, duże, owłosione dłonie splótł na brzuchu. Był spokojny i rozluźniony. Od razu rzucił okiem w stronę tej posępnej ławy po przeciwnej stronie, gdzie siedział oskarżony w asyście dwóch milicjantów. Coś niby zycelivy uśmiech pojawiło się na jego twarzy.

Musieli się znać zapewne.

Sędzia rozpoczął zadawanie wstępnych, rutynowych pytań. Nazwisko, wiek, zawód, uprzedził o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, itp. Świadek od początku ery poprzedniego I Sekretarza był szefem jego ochrony osobistej. Wtedy kapitan, obecnie pułkownik. Lat liczył sobie pięćdziesiąt i ta odpowiedzialna opieka nad bezpieczeństwem najwyższych dostojników stanowiła jego zawód.

Odpowiadał na pytania donośnym głosem w rytmie przypominającym skandowanie wojskowych meldunków. Był to światowiec. Już przed wieloma laty jako młody porucznik w ekipie ochrony dawnego premiera zjeździł wiele stolic Europy i innych kontynentów. Wszystkich, z wyjątkiem Australii, wyjaśnił rzeczowo.

Również później, będąc szefem ochrony osobistej I Sekretarza, wojaże stanowiły dla niego zwykłą delegację służbową. Fachowiec bez kompleksów. Na pewno pozbawiony był wątpliwości. Nie zastanawiał się nigdy nad sensem czy bezsensem rzeczywistości, w której przyszło mu żyć i pracować. Jego zajęcia zresztą nie pozwalały na głębsze refleksje. Żył czynnie niby zawodowy sportowiec, nie zaprzatając sobie głowy żadnym balastem. Ta świadomość biła z jego oczu. Ze spokojem i zarazem szacunkiem wytrzymywał spojrzenia sędziego. Odpowiedzi starał się dawać ściśle i wyczerpujące.

Toteż wkrótce sędzia począł penetrować szczególnie go interesującą materię prezentów i szafowanie mieniem społecznym dla celów osobistych.

Można było zauważyć pewne ożywienie na ławie po prawej stronie stołu sędziowskiego. Oskarżony podparł głowę łokciami i pilnie słuchał wyjaśnień świadka. Również dwaj podrzemujący milicjanci (jeden z czapką zsuniętą na oczy, drugi z głową wtuloną w ramiona) ocknęli się czujnie. Bogactwo i przepych

możnych tego świata ożywiły ich natychmiast. Tak już od początku procesu niby czule sejsmografy reagowali na tę sferę życia.

Świadek też wiele podróżował po kraju.

Wybierali się w teren (tak powiedział) z okazji dożyneków, święta górnika czy hutnika, spustu surówki z pieca jakiejś tam huty czy oddania do użytku wielkiej hali sportowej. Mówiąc poruszał w takt słów prawą ręką i wtedy podzwaniała srebrna bransoleta na przegubie dłoni.

I tak niezauważalnie, nawet bez udziału sterujących pytań sędziego, wkroczył dziarsko w ten specyficzny obszar obowiązującego obyczaju, jakby żywcem wziętego z odległych czasów feudalizmu. Może nawet bawiły go te obyczaje? Na przykład kiedy byli w B. na plenum komitetu wojewódzkiego... Tu poczynił małą dygresję uzupełniającą: I Sekretarz darzył szczególną sympatią tamtejszego szefa partii, młodego, energicznego towarzysza, zresztą swego krajana. Toteż w B. podjęto ich uroczystej niż gdzie indziej. I Sekretarz otrzymał komplet kryształowych pucharów z tamtejszej huty szkła, pięknych w kształcie i efektownie załamujących światło. Wdał się w drobiazgowy opis tych pucharów. Przewodniczący kompletu orzekającego upomniał go łagodnie, żeby nie odbiegał od *meritum* tematu. Świadek przeprosił i dodał jeszcze, iż sam otrzymał w podarunku wspaniale inkrustowany srebrem kordelas myśliwski. Poluje. A tamtejszy sekretarz również był zamięłowanym myśliwym.

— Wspólnota zainteresowań! — oznajmił lekkim głosem, niby podczas towarzyskiej pogawędki.

Oczywiście był także jakiś gustowny upominek dla małżonki I Sekretarza. Niestety. Nie pamięta. Zafrasował się wyraźnie.

Przestępował z nogi na nogę, marszcząc czoło w wysiłku pamięci.

Przewodniczący kompletu orzekającego pocieszył go po ojcowsku. Może sobie śmiało ten szczegół darować. Czuł szczerocię w odpowiedziach tego świadka. Miał przecież wieloletnie doświadczenie w tym zakresie. Ta niewymuszona szczerocię zastanowiła go najbardziej. A świadek znów podziękował i sam (jeszcze nie zapytany przecież) przeszedł do następnej krajowej podróży. Chyba lubił ruch, podróże. Odpowiadała mu taka forma pracy. Tak mu głos żywo pulsował, kiedy zaczynał od słowa: — Pojechaliśmy... Tak! Właśnie używał liczby mnogiej. On i I Sekretarz. Tym razem pojechali na Śląsk. To było wielkie wydarzenie. Tam przecież przez wiele lat stał na czele komitetu wojewódzkiego I Sekretarz. Znów posypały się dary. I Sekretarz to, on tamto.

Sędzia słuchał nieuważnie. Ten ciąg podróży, hołdów i darów. Monotonnie powtarzający się motyw. Patrzył na świadka.

Barczysty, sprawny fizycznie mężczyzna. Okaz. Musi dbać o tężyznę. Podnosi ciężary, biega i ćwiczy strzelanie do celu. Na pewno pod tą jasną, luźną marynarką nosi pistolet w otwartej kaborze na szelkach. Twarz ma prymitywną, ale sympatyczną.

Porównał go z poprzednim świadkiem. Kontrast wypadł niekorzystnie dla tamtego. Bo choć tamten był równie imponującej postawy mężczyzną, przybrał w oczach sędziego amorficzną, odrzającą postać, która pełźnie, wije się i trzepocze.

Popatrzył na oskarżonego. Też wydał mu się antypatyczny. Te wydatne mięsiste usta człowieka lubiącego zmysłowe rozkosze... Na powrót skierował wzrok na stojącego przed stołem świadka.

Jego myśli poczęły krążyć po obrzeżach sprawy. O czym rozmawiał z I Sekretarzem u schyłku dnia po oficjalnych, pompatycznych przyjęciach? Jakie poznał słabości swego podopiecznego? Co o nim sądził zupełnie prywatnie? Przy kieliszku w gronie swoich kolegów też fachowców z branży? Co sądzi teraz? Takie błahostki zaprzętały mu głowę. Jakby *meritum* tej sprawy stawało się coraz mniej istotne. Dlaczego? Nagle zadał sobie to pytanie. Którędy biegnie droga do prawdy materialnej tego procesu? Dlaczego nagle pojawiło się tyle krętych jak w labiryncie ścieżek? Jakby sedno zanikło. Jakby go wcale nie było. Skupił się z niemałym trudem i zadał pytanie. Dotyczyło podarunków, które otrzymywał I Sekretarz od oskarżonego. Szef ochrony osobistej przytaknął bez wahania. Były takie podarunki. A jakże. Musiały być. Nieraz dyżurując w pałacu pod Warszawą otrzymywał telefonogram z informacją, że nadjedzie wóz z komitetu. Ostatnim razem sam prezes komitetu przyjechał w dniu imienin małżonki I Sekretarza. Coś przywiózł. Coś bardzo ładnego. Tylko nie pamięta co to było. Tyle tego było.

— Ostatnim razem! — podkreślił świadek i uśmiechnął się wymownie.

Czyli zdarzenie to miało miejsce tuż przed upadkiem I Sekretarza.

Oskarżony poruszył się nerwowo i pociągnął jednego ze swych obrońców za rękaw. Zaszeptał z nim. Adwokat młody, smagły, z czarną bródką, płonące oczy. Wyglądał na fanatyka rewolucji islamskiej. Skąd to skojarzenie? Musiał widzieć w prasie czy telewizji podobną twarz. Jak nazywają się ci fanatycy? Aha, muhadżedini! Jego myśli ciągle rozpraszały się. Nie było już w nim koncentracji. Nieoczekiwanie poczuł zadowolenie, że ten proces-tasiemiec jemu przypaść w udziale. Zanurzony od prawie dwóch lat w lawinie zeznań i wyjaśnień, przynajmniej nie został zmuszony do tych dramatycznych rozterek moralnych, jakie przeżywali jego koledzy, ferując wyroki w sprawach działaczy Solidar-

ności, strajkujących robotników, kolporterów i drukarzy podziemnych gazetek, wydawnictw itp. Bardzo dobrze się stało! Odetchnął z ulgą i zaraz zerknął na tę otyłą ławniczkę, słomianą blondynkę, zasiadającą po jego lewicy. Ale ona podrzymywała najwyraźniej. Przymknięte oczy i leciutki poświst przez nos. Uspokojony, zainteresował się półbutami świadka. Czarne, z plecionej skóry. Pewnie bardzo miękkie. Poruszył palcami stóp w twardej niby pancierz skórze swych butów.

Świadek lekko uderzył dłonią w pulpit. Jego otwarta, ogorzała twarz poznała się swoistym namysłem.

— Proszę Wysokiego Sądu... — powiedział — chciałbym jeszcze coś dodać w formie uzupełnienia. Czy mogę?

Przewodniczący kompletu orzekającego skinął głową. Wtedy świadek szybkim ruchem podciągnął lewy rękaw marynarki i z ręcznym wyłuskał z przegubu dłoni gruby zegarek na rozciąganej, metalowej taśmie.

— Złoty — wyjaśnił — otrzymałem podczas wizyty przyjaźni w Pradze od towarzysza Husaka.

Równie szybko ściągnął bransoletę srebrnego koloru z przegubu prawej dłoni. Była ona z płytką, na której widniały wygrawerowane jakieś cyfry czy symbole.

— To moja grupa krwi — potrząsnął tym przedmiotem przed oczyma ludzi, siedzących za sędziowskim stołem. — W razie jakiejś nagłej awarii może być przydatna. Otrzymałem od szefa ochrony osobistej towarzysza Żiwkowa. Wtedy oni byli u nas.

W następnej kolejności wydobyl z kieszeni marynarki pokalną papierośnicę ze złota o czerwonym połysku.

— A to z Moskwy... — zakomunikował. — Ćwierć kilograma wagi — oświadczył nie bez dumy... — Prezenty były zaw sze i wszędzie! — uśmiechnął się, pokazując żółtawe, mocne uzębienie.

Sędziemu wydało się w tej chwili, że popatrzył na niego z pobłażliwą, wyrozumiałą życzliwością. Takim wzrokiem dorosli obdarzają zwykle naiwne i niezmordowane w swej ciekawości dzieci.

Sędzia poprawił łańcuch, który nagle zaciążył mu na piersi.

— Dosyć — powiedział. — Dziękuję.

Świadek zamilkł posłusznie. Ciągle tak stał lekko i czujnie, nieco pochylony jak zapaśnik, na szeroko rozstawionych nogach, uprzejmie czekał na dalsze pytania.

Sędzia był człowiekiem niskiej postury i słabego zdrowia (od lat cierpiał na nieomogę krążenia) — więc w jakiś sposób przytłoczył go ten potężny mężczyzna o okrągłej niby piłka głowie, osadzonej na szerokich ramionach; zwarta bryła mięsa i kości

funkcjonalnie podporządkowanych jednemu celowi; patrzący z góry na niego i dwoje ławników z kompletu orzekającego.

I nie wiadomo czemu sędzia wydał się sobie Don Kichotem walczącym z wiatrakami. Jeszcze raz przesunął dłonią po śliskim metalu łańcucha, opadającym na piersi. Sędziowskie insygnia. Zmobilizował się resztkami wygasającej w nim inwencji i zadał ostatnie pytanie.

Odpowiedź padła równie szybko jak wszystkie poprzednie. Otóż I Sekretarz posiadał wielki kredyt zaufania wobec przewodniczącego komitetu. Oceniał pozytywnie skuteczność wychowawczo-ideową działania środków masowego przekazu, kierowanych przez oskarżonego.

Świadek uczynił pauzę. Pragnie jeszcze pozwolić sobie na osobistą dygresję, uzupełniającą jego wypowiedź.

— Czy można — zapytał.

Sędzia pozwolił mu wypowiedzieć się dodatkowo. Tak prawie machinalnie dał to pozwolenie. Właśnie zastanawiał się, ile wieczorów zajmie mu pisanie uzasadnienia wyroku. Miał w tym przedmiocie niemałą biegłość, lecz widział przed sobą wiele mozolnych wieczorów, poświęconych temu zajęciu. Świadek wyprostował się i zsunął stopy do postawy zasadniczej. Zaczął mówić.

Tak więc podróżując po świecie, oglądał mnóstwo programów rozmaitych telewizji i porównując, doszedł do wniosku iż nasze *mass media* w czasie prezesury oskarżonego osiągnęły przyzwoity europejski poziom, szczególnie w dziedzinie rozrywki i teatru. Oskarżony poruszył się gwałtownie i spojrzął na świadka. Musiał być w tej chwili wdzięczny za pochwałę ze strony dla niego najzupełniej nieoczekiwanej. Fachowiec z dalekiej branży wyciągał do niego pomocną dłoń. Wspierał go w opałach.

Tak to spojrzenie odczytał sędzia i poczuł swoisty szacunek dla świadka.

W pewien sposób również zgadzał się z tą opinią. Niewątpliwie oskarżony starał się po swojemu uczynić podległy mu aparat propagandy i rozrywki bronią pełną rozmachu i dynamizmu. Musiał w ogóle bardzo wysoko mierzyć. Być może śniły mu się najwyższe dostojeństwa, udział w Biurze Politycznym, nawet wybór na I Sekretarza. Kto to wie?...

I popatrzył na oskarżonego. Już wyszarzał po aresztancku przez te przeszło dwa lata więziennego pobytu. Garnitur odprasowany, ale jakiś nieświeży. To charakterystyczne ziemiste zabarwienie cery, pozbawionej powietrza i słońca. W oczach czujne skupienie człowieka zapędzonego w potrzask. Mozolnie walczy z zarzutami. Liczy na szczęśliwą odmianę losu, to znów pada w skrajny pesymizm. Te jego więzienne wieczory i noce,

prawdopodobnie pełne takich rozmyślań. Nawet mu współczuł. Zobaczył osobliwy świat ludzi pogrążonych w fikcyjnej działalności, gubiących po drodze swoje dzieciństwo, młodość, dawną wiarę i uczciwość. Ludzi podlegających nieuchronnym prawom wynaturzenia. Przesunął dłoń po zwalistych tomach akt śledczych. Wydały mu się tysiącami stron daremnej, czej pisanimy.

Potem nastąpiły pytania prokuratora i obrońców. Nie słuchał ich wcale, pogrążony w swoich rozmyślaniach. Jednak umysł miał zawodowo czujny i kiedy strony zaspokoily swoją ciekawość, uniósł nieco głowę i powiedział cichym, uprzejmym głosem: — Dziękuję świadkowi.

Świadek uklonił się i obdarzył go lekkim uśmiechem. Odwrócił się do tyłu, wykonując energiczny obrót przez lewe ramię. Równy rytm jego kroków. Masywne łydki odznaczają się przez spodnie.

Odchodził szef ochrony osobistej byłego I Sekretarza. Zamknęły się za nim drzwi.

I ten gniew, który ciemną falą wypełniał myśli przewodniczącego kompletu orzekającego wobec tych dwóch ludzi — oskarżonego i poprzedniego świadka — wygasł równie nagle jak się narodził. Pozostało tylko znużenie. Najbardziej zaś dokuczala mu świadomość daremności jego działań w tym procesie.

Zrozumiał bowiem ostatecznie, że tamci dwaj są jak trybiki wkręcone w gigantyczną, niezmiennie się toczącą maszynę i ich usunięcie wcale nie zmienia pracy tego mechanizmu.

Po tym przewodniczącym komitetu (teraz unosi się z ławki, rzuca spojrzenie na kogoś w głębi sali) i I Sekretarzu, oto są już ich następcy. Nieprzerwany ciąg. Niezakłócona rotacja. Jedni będą lubili kosztowne prezenty, inni zaś surowi i nieprzekupni, zechcą karać w majestacie prawa wszystkich niepokornych i wolnomyślnych. Jeszcze inni mogą połączyć surowość wobec podanych z rozpasaniem i pławieniem się w zbytku. A mogą też przydarzyć się tacy, co lwia część budżetu państwa przeznaczą na hodowlę tygrysów bengalskich.

Tak na koniec pomyślał sędzia z gorzkim uśmiechem, który jak cień przemknął po jego twarzy.

Z trzaskiem zamknął przygotowany na okoliczność dzisiejszego przesłuchania świadków tom 105 akt śledczych. Ogłosił przerwę i zapowiedział wznowienie procesu następnego dnia o godzinie 9-tej.

Marek NOWAKOWSKI

Książę Mediolanu

Atoli książę nie powinien być skorym do dawania wiary i do uniesień i bać się własnego cienia, lecz ma w tym postępować z umiarkowaniem, rozważą i ludzkością, tak aby zbyt ufną nie czyniła go nieostrożnym, a zbyt ufną nieufność nieznosnym. Rodzi się pytanie, czy lepiej jest budzić miłość niż strach, czy też strach niż miłość. Odpowiem, że chciałoby się obu rzeczy, skoro jednak trudno je połączyć, więc gdy jednej ma brakować, o wiele jest bezpieczniej budzić strach niż miłość.

Machiavelli: *Książę*.

I

Filippo Maria Visconti, duca di Milano, nato nel 1392 morto nel 1447. Nie lubił portretów i pomników, z tym większą więc uwagą ogląda się medalion, w którym Pisanello utrwalił jego podobiznę. Ma w profilu coś z odyńca, a uwydatnia jeszcze to wrażenie gruby, pofałdowany kark. Pisanello dobrze uchwycił grę oka i ust: oko przenikliwe, skierowane wprost i równocześnie jakby pochylone leciutko w dół w stałej gotowości do uniknięcia otwartego spojrzenia; grymas ust, dziwna mieszanina okrutnego i drwiąco dobrotliwego uśmiechu, bez odcienia zmysłowości w zaciśniętych wargach. Mała broda z obwisłym podbródkiem, małe również ucho jak otwór w gładkim bloku masywnej głowy. Prosty regularny nos, u góry zakreślony krzaczastą brwią. Czoła nie widać, bo zasłania je otok czapki ze szpicem przygiętym do przodu na podobieństwo rogu.

Medalion jest rysunkiem popiersia, ale z opisów znamy całą postać. Za młodu miał wygląd niepozawawiony pewnej szlachetności, z biegiem lat wielkie ciało przybierało zanadto na wadze, stawało się ociężałe i leniwe. W figurze tak imponującej roz-

miarami uderzały krótkie nieproporcjonalnie palce rąk, rzekłbyś przycięte w dzieciństwie. Kapryśna natura obdarzyła go również zniekształconymi nogami, musiał zatem prawie zawsze używać laski, lub opierać się w chodzie na ramieniu któregoś z dworzan. Znany był z osobliwego zwyczaju odbijania się stopą od ściany, gdy w swoich medytacyjnych peregrynacjach po komnacie chciał ją przemierzyć w odwrotnym kierunku.

II

Prócz malarskiego medalionu Pisanella, istnieje medalion sporządzony piórem. Napisał go po łacinie natychmiast po śmierci księcia Mediolanu jego sekretarz, *secretarius ducalis*, Pier Candido Decembrio. Burckhardt w *Cywilizacji Renesansu we Włoszech*, w rozdziale zatytułowanym *Państwo jako dzieło sztuki*, nazywa dziełko Decembria *Vita di Filippo Maria Visconti* „opisem godnym podziwu”, dokonany z „matematyczną dokładnością”, dziękując losowi że dotarło do nas, by rzucić obfity snop światła na prawdziwe oblicze włoskiego władcy w piętnastym stuleciu. Canetti w *Masie i władzy*, w rozdziale o „składnikach władzy”, wyciąga z lektury Decembria naukę o której później.

Według pomniejszych komentatorów autor medalionu obrał sobie za wzór Swetoniusza, sekretarza imperatora Hadriana. Nie brak istotnie analogii. Obaj rozporządzali nie tylko oficjalnym materiałem w archiwach, lecz wszystkim także co stanowiło *secretum* panowania, w formie obmowy czy zatajanej prawdy. Obaj przy tym dograli się niełaski swych władców, podejrzewani o niedostatek rewerencji wobec ich żon. W każdym razie Decembrio chwalony był zawsze, zanim w pełni doceniono znaczenie jego dziełka, za „ostentacyjną beznamiętność”, nie ześlizgującą się ani w stronę panegiryku, ani w stronę ukrytego paszkwilu.

Dla mnie pisarski medalion księcia Mediolanu posiada poza wymienionymi zaletami jedną jeszcze, która może niekiedy budzić uczucie zazdrości. Ona pewnie podyktowała Burckhardtowi określenie „matematyczna dokładność”: na osiemdziesięciu stroniczkach siedemdziesiąt rozdziałów, często tak zwięzłych, że wydają się owocem wielokrotnej redukcji tekstu do zdań o brzmieniu formuł. Jak mało trzeba dobrze dobranych i odważonych słów, żeby aż tyle powiedzieć! Zamiar zmniejszenia tutaj medalionu wyznacza pióru oczywiste obowiązki.

III

Obwołany w dwudziestym roku życia księciem Mediolanu po zdobyciu miasta, pragnął najpierw uchodzić za władcę łagodnego,

zgodnie z oczekiwaniami poddanych. Ogłosił tedy, że każdemu obywatelowi przysługuje swobodny do niego dostęp. Niebawem jednak, pochłonięty coraz ambitniejszymi planami, unieważnił ten wielkoduszny gest. W murach mediolańskiej cytadeli poświęcił się wyłącznie sprawom państwowym i wojennym. Latami nie pokazywał się w mieście, odwiedzał tylko czasem swoje liczne zamki w okolicach. Wytchnienia szukał w polowaniach.

Posiadał raczej dar stratega niż wielkiego kondotiera na polach bitew. Nie brał osobistego udziału w wojnach prowadzonych w ciągu trzydziestu pięciu lat swego panowania, z wyjątkiem dwóch: przeciw Genui i przeciw Wenecji, i to też na dalekich tyłach, oczekując wyniku zaplanowanych przez siebie operacji. Kochał wojsko, ufał swojej pełnej kontroli nad jego dowódcami, obsypywał ich hojnie zaszczytami i nagrodami stosownie do zasług, lecz nierzadko ulegając trudnym do odgadnięcia pobudkom. W ciągłych wojnach podporządkował sobie cały obszar od Alp do Morza Tyrreńskiego łącznie z Genuą, później zaś Emilię i Romagnę; nagłymi najazdami nękał i dewastował miasta nad Adriatykiem oraz Toskanię i Umbrię.

Pełną kontrolę nad swymi dowódcami zawdzięczał po części metodom policyjnym. Uciekał się do usług szpiegowskich i donosicielskich, by poznać ich najskrytsze myśli i intencje. Podsycał również i wykorzystywał wykluwające się między nimi niechęci i rywalizacje. Bywał przy tym nieobliczalny: wtrącenie w niełaskę poprzedzał przesadnymi pochwałami, dopuszczenie do konfidencji i faworów brutalnymi naganami. Władca despotyczny, lecz „na szczęście (jak zauważa Burckhardt) jego okrutny egotyzm nie wyrodził się w bezcelową krwiożerczość”.

IV

W roli głowy państwa był Filippo Maria niemniej zaskakujący. Nie powoływano by się jednak na jego przykład w opisie „państwa jako dzieła sztuki”, gdyby dawał się powodować tylko przelotnym kaprysom władcy. Nigdy i przed nikim ostatni z Viscontich nie odkrywał swoich myśli. Ale narzucał otoczeniu przekonanie, że rodziły się zawsze w samotności niczym obliczenia szachisty. Unikał jasności, strzegł tajemnicy. Nikt nie wiedział czego się po nim spodziewać, zawodził pewnych siebie, wspierał ni stąd ni zowąd wątpiących. Łamał wszelkie reguły, jakby to właśnie poczytywał za własną, wymykającą się pozornym zausznikom regułę. Miał specjalny sposób wyrażania się, w którym każde słowo zdawało się nosić maskę. Pisywał do monarchów i książąt, do papieży, do ambasadorów listy zaciemniające i za-

mającą w zakończeniu to, co powiedziane było na początku. Nie cofał się nawet przed drwiącym komedianstwem wobec możnych tego świata, jak wobec swoich podwładnych przechodził z łatwością i gładko od okrucieństwa do obracania go w żart.

Decembrio przytacza jego list do papieża Eugeniusza IV. Donosił w nim niezgodnie z prawdą, przybrawszy minę skruszonego grzesznika, że stoi nad grobem i od Ojca Świętego oczekuje nałożenia najsroższej choćby pokuty, byle dostąpiła zbawienia jego grzeszna dusza. Papież nazaczył mu pokutę i przy okazji poprosił, tytułem ekspiacji, o kilka zamków warownych. Odpowiedź szyderczo kwitowała udaną symulację: jakkolwiek książę Mediolanu ceni duszę wyżej od ciała, jeszcze wyżej od ocalenia i duszy i ciała stawia dobro swego państwa.

„Nieprzeniknioność, niezgłębioność władzy”, jej głównie uosobieniem jest Filippo Maria dla Canettiego. „Zachowywał się tak, jak gdyby mu zależało na ochronie swoich sekretów nawet przed samym sobą”. Pewne jest jedno: wolał budzić strach niż miłość.

V

Budząc strach, sam był we władzy strachu. Burckhardt nie może się powstrzymać od okrzyku pod wrażeniem dziełka Decembria: oto do czego „namiętność strachu” przywiodła człowieka o niezwykłych talentach i wysokiej pozycji w świecie!

Bezpieczeństwo własnej osoby obwarował surowymi i skomplikowanymi przepisami. Czuł się najbezpieczniej w murach twierdzy na Porta Giovia, rzadko więc i niechętnie wydalął się poza jej obręb. Ktokolwiek wchodził do cytadeli, śledzony był przez setki oczu. Obowiązywał zakaz zbliżania się do okien, z obawy że stojący w oknie mógłby wymieniać znaki z kimś na zewnątrz. Każdego zapowiedzianego gościa czy przybysza dokładnie rewidowano i badano. Dygnitarzy dworu wzywanych do antyszambroww książę przyjmował lub nie, aby w nich zachwiać poczucie rutyny. Gdy zdarzało się, że przybysz opuszczał twierdzę i przypomniawszy sobie coś chciał do niej wrócić, musiał ubiegać się powtórnie o zezwolenie wstępu. Służba była ustawicznie przesiewana; nieliczni mieli prawo przestąpić próg komnat książęcych. Komu wypadło w drodze do siedziby księcia przejechać przez okolicę dotkniętą jakąkolwiek epidemią, ten podlegał czterdziestodniowej kwarantannie przed zapukaniem do wrót cytadeli.

„Namiętność strachu”, o której pisze Burckhardt, nie była bowiem związana jedynie z widmem spisków, buntów, zrad zagrożających władzy i państwu. Książę Mediolanu odpędzał od

siebie z uporem myśl o śmierci; przejmowała go zgrozą, napawała nieodpartym lękiem.

VI

Nie dozwalało się umierać w obrębie twierdzy; śmiertelnie chorych wywożono za jej mury. W obecności księcia należało za wszelką cenę unikać mówienia o śmierci; była wyklęta egzorcyzmem milczenia.

Jeszcze od czasów dzieciństwa bał się samotności i ciszy nocnej, nie mógł spać jeśli nad nim nie czuwały czyjeś opiekuńcze oczy. Przerazał go czas zatrzymany; nadał obchodom warty nocnej charakter ruchu zegarowego, a gdy mu się wydawało że zamarzy w bezruchu ludzkie wskazówki, nasłuchiwał podniecony i ogarnięty trwogą. Cierpiał na bezsenność. I często, zmęczony nią, krążył godzinami jak niespokojne zwierzę w klatce, nie zapominając o swoim dziwnym zwyczaju odbijania się stopą to o jedną to o drugą ścianę komnaty. Kilkakrotnie w ciągu nocy zmieniał rozstawione w różnych punktach łóżka. Kazał w górnych pokojach umieścić nocne ptaszyska, które łopotem skrzydeł reagowały na każdy podejrzaną dźwięk. Nie znosił natomiast kruków i wron, ptaków „żałobnych”, i polecił je doszczętnie wytrzebić. Mierzył go widok usychających drzew; w cytadeli wiedziano, że trzeba je szybko wykarczować i zastąpić świeżymi.

Najbardziej bał się błyskawic i piorunów. Decembrio opisuje go podczas jednej z burz: potężnego władcę, skulonego w kącie komnaty za postawionym naprędcie parawanem.

VII

A jednak... Na przekór temu wszystkiemu, konkluduje Burckhardt, „umarł z godnością i gracją”; więcej, „rozmyślnie przyspieszył swoją własną śmierć”.

Dwa lata przed śmiercią oślepnął na prawe oko, zaraz potem i na lewe. Wstydił się tak swojej ślepoty, że udawał widzącego, korzystając z naszeptowanych mu na ucho objaśnień służby.

U progu lata 1447 roku zaczął wreszcie mówić na głos o śmierci. Domagał się, by mu w kościele położonym blisko twierdzy znaleziono miejsce na grób, dostatecznie duże dla ciała o takich rozmiarach i wystawione na ciągłe deptanie nogami wiernych.

Zachorował na krótko przed ukończeniem pięćdziesięciu pięciu lat. Stan pogorszył się w pierwszych dniach sierpnia. Można go było, zdaniem lekarzy, uratować puszczeniem krwi. Ale nie zgodził się na nie, zażądał nawet zamknięcia rany na nodze,

z której wyciekało trochę złej krwi. „W głębi serca (powiada Decembrio) pragnął śmierci, za lepszą ją uważał od życia, porażony ślepotą, do syta utrudzony tyłoma wojnami. 13 sierpnia wieczorem, znudzony próżną paplaniną obecnych, przewrócił się z pomocą pokojowego na drugi bok, do ściany, i po jakimś czasie wydał ostatnie tchnienie”. Umarł w sposób świadczący, według autora medalionu, o „wielkości i szlachetności ducha”.

VIII

Nazajutrz rano wystawiono jego zwłoki między dwoma mostami zwodzonymi zamku, po czym w tłumnym pochodzie przeniesiono do katedry mediolańskiej. Spoczęły na katafalku przed głównym ołtarzem. Że zaś w sierpniowym skwarze otyłe cielsko wydzielało już fetor rozkładu, zaraz po „hałaśliwej ceremonii pogrzebowej” zdjęto je z katafalku i zakopano. Mediolańczycy, „rozzuchwaleni odejściem swego księcia”, niezwłocznie zwołali zgromadzenie ludowe i poznali na nim „szczęśliwy przedsmak wolności”. Słowem „wolność” kończy się medalion księcia Mediolanu pióra jego nadwornego sekretarza.

Wyrazem wolności była Święta Republika Ambrozjańska, proklamowana przy odbłasku ognia, w który rzucano papiery z książęcego gabinetu, narzędzie despotyzmu i zniewolenia. Trwała trzy lata. Potem na książęcym tronie zasiadł Francesco Sforza, ożeniony z jedyną córką ostatniego z Viscontich. Gdy jego poprzednik i teść sądził jak Machiavelli, że „o wiele jest bezpieczniej budzić strach niż miłość”, on przeciwnie — nad strach poddanych przekładał ich miłość. Drogo za to w końcu zapłacił.

Ale nie dylemat wysunięty przez Machiavellego jest najważniejszy w moim zmniejszonym medalionie księcia Mediolanu. „Zachowywał się tak, jak gdyby mu zależało na ochronie swoich sekretów nawet przed samym sobą”, pisze o nim Canetti. Istniał może jeden wielki sekret ukrywany przez władcę nawet przed samym sobą: sekret bezpłodności czystego ekstraktu władzy; władzy upragnionej, bronionej, umacnianej bez żadnego innego celu poza jej posiadaniem. To może przeczuwał niejasno Filippo Maria, oplątany dzień w dzień, noc w noc, pajęczą siecią własnego strachu. Ten może gorzki sekret odkrył nareszcie przed samym sobą, przywołując z własnej woli zniechęconą śmierć, przewracając się na drugi bok do pustej i białej ściany.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

Witold WIRPSZA

MONOLOG WOLFGANGA AMADEUSZA MOZARTA (1756-1791)

Piotrowi Lachmannowi

wyłożony w Wiedniu w roku 1844, w obecności pewnego młodego człowieka, który rzecz skrzętnie notował, później wszelako rękopis zawieruszył. Odnaleziono ten rękopis w roku 1888, kiedy młodzieniec umarł i kiedy obowiązująca za życia Mozarta w fizyce teoria eteru obalona została przez doświadczenie Michelsona. Co do autentyczności zapisu toczyły się wśród rzeczoznawców długie spory i dopiero teraz postanowiono udostępnić go niewtajemniczonym; inaczej: gawiedzi dla uciechy.

1.

Śmierć jest wielka i wymienna. Wymienna tak,
Jak się wymienia pieniądze u bankiera.
W czasie zarazy ktoś wniósł do mego mieszkania
Zwłoki, a kiedy sługi stołeczne weszły, aby
Zwłoki zabrać, ukryłem się w kuchni i tak
Zabrano Niemozarta i pochowano go w wielkim
Bezimiennym grobie. Potem widziałem z
(Słowo nieczytelne), jak stawiano mi pomniki,
A nie wiadano komu i wtedy przypomniałem
Sobie, że za życia fałszywego Mozarta pisano
O mnie, że jestem muzykantem z przedmieścia.

Co robiłem, kiedy pisano? Pracowałem wiele i
Gorączkowo, i głównie starałem się nadać
Formom sens odwrotny, bo człowiek jest

Ciemny w środku. Wszystko jasne na powierzchni
 Stawało się, gdy stawiałem nuty, infernalne
 W ciemnoczerwonych, zrytmizowanych płomieniach.
 Na rzeczach smutnych rozdierałem zasłony,
 Aby ukazać skrzwawione ciało, czyli istotę
 Rzeczy. Dla śpiewaków składałem muzykę tak, żeby
 Mieli uciechę ze śpiewania i okazali swój
 Kunszt. I śpiewali coś odwrotnego, niż myśleli,
 Że śpiewają, bo było piekielne i (rąbek kartki
 Udarty) pod niebiosy. Klaskano za wirtuozerię,
 Od której zawsze byłem daleki. Klaskano, pisano.

To iluminacja! Marginesy złociste! Błękit!
 Nie: czern! co za szatańska robota! miłosne
 Moje listy młodzieńcze! A tu, na pergaminie,
 Mniśią zapobiegliwość: diabeł nad diabłem rozkraczony
 I w każdym diable czeluść: czynna, naczynie
 Nieczystości. To nie o mnie pisano, to ja pisałem
 I nie wiedziałem, co piszę, a teraz wiem:
 Czern i złoto cieknie z pergaminów w dół,
 Do innej czeluści: demoniczne podziemne fekalia.

Takie były początki. Później do tego wrócę.

2.

Żyłem czterdzieści i cztery lata w ubiegłym
 Stuleciu, a w dziewiętnastym przeżyłem już
 Czterdzieści i cztery lata. Wymieniłem śmierć
 Na osiemdziesiąt osiem lat; jak długo jeszcze
 Będzie brzęczała ta wymiana? Chowano za mego
 Życia (przekreślone; poprawiono: panowania) wielu
 Niebylejakich, czytałem o tym, czasem chodziłem
 Na te pogrzeby. O moim pogrzebie nikt nie będzie
 Pisał, ponieważ nie zameldowałem na policji
 Miejsca mego zamieszkania i nikt mnie nie zna
 Pod (nieczytelne) nazwiskiem. Żyję z żebraniny.
 Najpierw ogłuchłem jak Beethoven, potem
 Oślepiłem jak Bach i święty Franciszek.
 Siedzę na schodach kościoła i czuję, jak dygocą od
 Muzyki mury i kamienie; czasem poznaję
 Własną muzykę i nawet własne Requiem.
 Dochodzą mnie zapachy kadzideł i perfum strojnych
 Pań, kiedy w ustach mam smak czerstwego

Chleba. Zbiera mi się w ustach (nieczytelne),
 Zbiera mi się na (urwany strzęp papieru).

Nuty stawiam na dotyk i pod palcami rozgrzewa
 Się tabliczka woskowa. Ten złoty zapach! Spiętrzenie
 Tablic! Spokój w piwnicy bez światła i dźwięku!
 Odejdźcie kłamstw! Starcza czystość na wargach i
 Na podniebieniu! Podniebna muzyka na opuszkach,
 Gdzie sensory zostały przywrócone formie! Drabiny
 Jakubowe pięciolini! I kto to odcyfruje? Kto cyfrom
 Przywróci prawość, w obliczu mnie (przekreślone; poprawiono:
 Mozarta), którym kiedyś, za życia fałszywego Mozarta,
 Kazał rzucać kośćmi, aby udawały się walce?

3.

Teraz wracam do przerwanej wątku. Pamiętam
 List: Bądź tymczasem zdrowa, ach rzyć Moja pali mnie
 Jak ogień! cóżby to znaczyć mogło! — — czyżby *gówna*
 Chciało wyjść? — tak, tak, *gówna*, ja ciebie znam — —
 Ja cię widzę i smakuję ciebie — —
 I — — cóż to? — — czy to możliwe! — — bogowie! — —
 [ucho Moje

Czy mnie nie oszukujesz? — — Nie, to już tak
 Jest — — jaki to przeciągły, smutny ton! — Pamiętam
 Li (plama), pamiętam li (plama), pamiętam li (plama).

Pamiętam wszystkie nuty wryte w tablice; te przeciągłe
 Tony wynikłe z drewnianka do wosku; z drewnianka
 Już, nie skądinąd i są to glissanda dążące z wosku
 W górę, przebijające (zamazane, wieloznaczne, nie każdy
 Sens przydatny) pułap piwnicy i ja już w tej piwnicy
 Zebrając umrę na (reszta rękopisu przepadła).

Berlin, zaczęte w lutym 1980 roku w szpitalu, zakończone w
 kwietniu tegoż roku przy własnym biurku.

Witold WIRPSZA

PS.

W tekście znajduje się fragment listu Mozarta do kuzynki Marii
 Anny Thekli Mozart w Augsburgu, napisanego 5 listopada 1777
 roku w Mannheimie.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

JEGO EXCELENCJA
Dr Amadu Mahtar M'Bow
DYREKTOR GENERALNY
ORGANIZACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
DO SPRAW OŚWIATY, NAUKI I KULTURY
(UNESCO)
Paryż, pl. Fontenoy

PODANIE

Niżej podpisany, uprzejmie proszę o przyjęcie mnie w poczet pracowników etatowych sekretariatu generalnego UNESCO w Paryżu. Z doniesień prasy codziennej dowiedziałem się, iż sekretariat poniósł poważne straty w wyniku decyzji prezydenta Francji, który postanowił usunąć z Francji kilkudziesięciu dyplomatów Związku Sowieckiego, państwa członkowskiego UNESCO, w tym kilku pracowników instytucji, której losy złożono w Pańskie ręce.

Rozumiejąc doniosłość historycznej misji UNESCO, jestem gotów oddać me zdolności i kwalifikacje w służbę instytucji, którą Pan z takim poświęceniem już od 10 lat kieruje. Interesuje mnie zwłaszcza stanowisko, jakie do chwili wspomnianego nieporozumienia zajmował obywatel sowiecki Jurij Kriwcow, zamieszkały obecnie, czasowo zapewne, w Moskwie, ale pobierający ciągle, mimo prawie rocznej nieobecności w Paryżu, pobory (ostatnio podwyższone) w wysokości ok. 3.000 dolarów netto miesięcznie.

Jeżeli się nie mylę, p. Kriwcow znajduje się ciągle w niemoż-

ności osobistego odbierania swych zasłużonych i ciężko zapracowanych (na 2 etatach) poborów. W tej sytuacji, jestem gotów go zastąpić, a nawet zjawić się osobiście, w celu podjęcia poborów, raz na miesiąc w Paryżu. Z Brukseli na razie łatwiej niż z Moskwy wyjechać i dojechać.

Rozumiem dobrze, że na tle sukcesów zawodowych obywatela Kriwcowa moje kwalifikacje wydać się mogą drugorzędne i wątpliwej użyteczności. Na wszelki wypadek pozwałam sobie jednak załączyć skromną próbkę moich możliwości rozmyślania nad skomplikowanymi zjawiskami współczesności. Któż lepiej niż Pan Dyrektor, tak szeroko znany z tolerancji i obiektywizmu, potrafi ten przyczynek do przesławnej już historii UNESCO ocenić?

W nadziei na przychylne rozpatrzenie mojego podania, życząc przyjemnej lektury, pozostaję z całym należyty szacunkiem,

Leopold Unger

Z A Ł A C Z N I K N R 1

a) UNESCO: *czym miała być?*

UNESCO (inicjały angielskie, które tworzą równocześnie łacińskie słowo „łącze się”) powstała w 1946 roku. Jej narodzinom towarzyszyły wielkie nadzieje. W akcie konstytucyjnym 20 założycielskich państw powiada, że UNESCO powołana została do tego, aby „poprzez rozwijanie międzynarodowej współpracy w zakresie oświaty, nauki i kultury przyczynić się do osiągnięcia trwałego pokoju i bezpieczeństwa”. O czym bardziej niż o bezpieczeństwie i pokoju mógł bowiem marzyć świat właśnie odradzający się ze zgliszcz drugiej wojny światowej? Któż bardziej niż społeczeństwa Europy mógł dzielić z UNESCO jej konstytucyjną filozofię, zakładającą, że „wojny rodzą się w umysłach ludzi” i że wobec tego to „w ludzkich umysłach należy wojnom postawić tamy”?

Siedzibą sekretariatu generalnego UNESCO został Paryż, *ville-lumière*; jej pierwszym dyrektorem generalnym Francuz. Generał de Gaulle, choć jak wiadomo nie żywił zbytniego szacunku dla instytucji międzynarodowych (*les machines*, mawiał), zgodził się jednak osobiście zainaugurować w 1958 roku specjalnie zbudowaną nowoczesną siedzibę UNESCO w stolicy Francji. Wydawało się, że nic nie może stanąć na przeszkodzie wspaniałemu rozwojowi UNESCO dla szczęścia ludzkości, a zwłaszcza jej oświaty, nauki i kultury. Z 20 państw członkowskich i bu-

dżetu w wysokości 7 milionów dolarów w roku 1946 UNESCO wzrosła do 161 państw członkowskich i prawie 400 milionów dolarów budżetu w 1984 roku.

Aż nagle grom z jasnego nieba. W 1985 roku liczba członków UNESCO może się zmniejszyć o jednego, ale ważnego członka, z 161 do 160, jej budżet może spaść o całe 25 procent. W Paryżu zawrzało.

b) UNESCO: co się stało?

28 grudnia 1983 roku p. George Shultz, minister spraw zagranicznych USA, przekazał list na ręce pana M'Bow, dyrektora generalnego, z zawiadomieniem o decyzji rządu amerykańskiego wycofania się z dniem 1 stycznia 1985 roku Stanów Zjednoczonych z UNESCO. Choć długi list p. Shultza nie jest wzorem stylistycznej ani logicznej jasności, wynika z niego jednak niezbitie:

- 1) że USA pozostają przekonane, iż oświata, nauka i kultura stanowią zasadnicze czynniki budowy pokojowego świata,
- 2) że jednak już od dłuższego czasu ideologiczna orientacja prac UNESCO i sposób zarządzania nią przejawiają cechy niezgodne z powołaniem i misją UNESCO,
- 3) że te cechy sprawiły, iż UNESCO służyła w większym stopniu realizacji politycznych celów poszczególnych państw członkowskich niż swej międzynarodowej statutowej roli,
- 4) że w obecnym stanie rzeczy nic nie wskazuje, aby mógł nastąpić rychły powrót UNESCO do zasad i celów, jakie tkwiły u jej narodzin,
- 5) że wobec tego USA wycofują się z UNESCO, a środki, które skarb amerykański dotychczas przeznaczał na jej działalność zostaną użyte do finansowania działalności bardziej zgodnych z duchem karty założycielskiej UNESCO i to w taki sposób, aby te nowe zamierzenia mogły stanowić w przyszłości punkt wyjścia dla ponownego nawiązania współpracy USA i UNESCO.

Dyrektor generalny i jego sekretariat generalny udali szaleńcze zdziwionych i niemile zaskoczonych. Zrobić coś podobnego? I to komu? Nam, UNESCO, instytucji tak pożytecznej, która uratowała tyle pomników przeszłości skazanych bez nas na zagładę. Czy nie uratowaliśmy świątyni nubijskich od zatopienia przez wody Assuanu, czy nie przywróciliśmy blasku świetności świątyniom w Borobudur w Indonezji? A jak pięknie przysłu-

żyliśmy się Wenecji, Fezowi czy Mont Saint Michel we Francji? A gdzie nasze zasługi w walce z analfabetyzmem i zacofaniem w trzecim świecie?

Wszystko prawda, ale niecała prawda. Najpierw mała poprawka psychologiczna. Całe zaskoczenie to zwyczajne kino.

Po pierwsze to nie żadna premiera. W 1949 roku Polska, Czechosłowacja i Węgry zawiesiły udział w pracach UNESCO na znak protestu przeciw przyjęciu... Niemieckiej Republiki Federalnej. Nawiasem mówiąc, Związek Sowiecki, który nie zdążył przeszkodzić Polsce figurować pomiędzy założycielami UNESCO w 1945 roku, sam nie raczył do niej przystąpić aż do roku 1954, kiedy, trzeba to podkreślić, zjawił się w Paryżu w towarzystwie dwóch innych niepodległych państw członkowskich, dysponujących takim samym jak USA czy Francja pełnym prawem głosu, Ukrainą i Białorusią.

Po drugie USA już kiedyś zawiesiły swój udział finansowy w budżecie UNESCO. Stało się tak, gdy organizacja powołana do szerzenia oświaty uznała większością głosów, że jednego z państw członkowskich nie ma. Jarry umieścił Ubu w Polsce czyli nigdzie, ale większość UNESCO, fachowcy od geografii zapewne, postanowiła ulepszyć Ubu i wykluczyła w 1974 roku Izrael ze wszystkich pięciu dotąd znanych części świata. Waszyngton na nowo otworzył kasę dopiero, kiedy arabsko-komunistyczna większość tej organizacji, mającej naukę w nazwie, zgodziła się aby Izrael znalazł się w... Europie. Nie jest to towarzystwo najgorsze, zwłaszcza w UNESCO, ale nie trzeba się dziwić, że amerykański podatnik mógł się zastanawiać, czy to za takie upowszechnianie nauki ma płacić.

Po trzecie wreszcie nie było zaskoczenia, albowiem rząd amerykański nie ukrywał, iż poważnie się zastanawia, czy jest jeszcze dla niego miejsce w przepięknym pałacu w Paryżu. Badania trwały ponad 6 miesięcy, a specjalna komisja (wszystko idzie przez komisję w USA) przesłuchała 500 ekspertów, zanim uznała, iż należy przerwać tę przyjemność.

Tak więc, jeżeli naprawdę zapanowało w Paryżu zdziwienie, to nie dlatego, że USA postanowiły tak nagle się wycofać, ale że doszły tak późno do wniosku, że należy opuścić, choćby prowizorycznie, tę dziwną organizację.

Dlaczego dziwną? List Shultza jest, jak powiedziałem, bardzo niejasny, szalenie delikatny. Nawet dokumenty mające uzasadnić decyzję USA były zredagowane w jakiejś podejrzanej mieszaninie językowej, tak jakby USA nikogo, broń Boże, nie chciały urazić, jakby coś chciały ukryć. A przecież nie ma się czego wstydić! Ponieważ, jak się obawiam, wymogi dyplomatyczne nie pozwoliły

Shultzowi na powiedzenie całej prawdy, *Kultura* mu w tym pomoże. Mamy już na sumieniu ujawnienie części prawdy o matce krętaństwa, bałamuctwa i wszelkiego marnotrawstwa, samej Organizacji Narodów Zjednoczonych, teraz przysłała kolej i okazja na UNESCO. Jak uczył nas Wiech, jak nie ma porzeczek, to niech nie będzie agrestu.

c) UNESCO: czym jest?

Operacja wolnego zdejmowania listka figowego z UNESCO składa się, w ogromnym streszczeniu, z trzech faz.

1) *Polityka*

Każda organizacja międzynarodowa składająca się z rządów, musi być polityczna. Tym bardziej, że ma na nią także wpływ 425 uznanych i szanowanych organizacji międzynarodowych rządowych, nierządowych, często nierządnych i terrorystycznych. Wokół UNESCO krążą dziesiątki grup nacisku, lobby, specjalistów od „ekspertyz”, szukający żeru politycznego i finansowego. Ale „polityczna” to nie znaczy „upolityczniona” i to za wszelką cenę. Od ratowania świątyni w Abu Simbel do regularnego i nieprzerwanego ataku na zachodnie demokracje, ich walory i ich sposób życia jest długa droga. UNESCO, która wzrosła z 20 członków do 161 i gdzie nie ma prawa weta (ostatni ratunek w ONZ) musiała naturalnie zmienić charakter. Ale żeby do tego stopnia?!

a) Kwestia praw człowieka, które są co nieco gwałcone w ponad 130 państwach członkowskich, nie doczekała się nigdy poważniejszej debaty w UNESCO. Albowiem, jak powiada większość UNESCO, prawa człowieka należy rozpatrywać w tzw. szerszym kontekście społecznym, co zawsze oznacza, że priorytet mają prawa państwa i jego policji kosztem obywateli. Zawsze przy tym stosowana jest w UNESCO podwójna miara: Izrael, Chile czy Afryka oraz, już teraz stale, USA, to złe, a nawet bardzo złe. Gdzie indziej „szerszy kontekst społeczny” wszystko tłumaczy. Np. gułag w ZSSR, bo tam nie ma bezrobocia... W 1975 roku najkonkretniejszym rezultatem konferencji UNESCO była uchwała utożsamiająca syjonizm z rasizmem. Innych smartwien w dziedzinie nauki, kultury i oświaty UNESCO wtedy nie miała.

b) W roku 2000, to znaczy w 55 roku działalności UNESCO, będzie na świecie, ona sama to obliczała, około miliarda alfabetów wtórnych, to znaczy osób, które nauczone pisać i czytać, ale które z braku programu po-alfabetyzującego, wpadły w ciem-

ność na nowo. A tymczasem program uchwalony przez konferencję generalną UNESCO zajmuje się... pokojem, tak jakby prześwietna ONZ nie narobiła w tej dziedzinie dosyć szkody.

„Program pokoju” obliczony, a jakże, na lata 1984-1989, przesiąknięty jest duchem sowietyzmu, a niektóre sformułowania żywcem zaczerpnięte z *Prawdy*. Na pierwsze dwa lata takiego programu wydzielono z budżetu prawie milion dolarów. Na oświatę wśród uchodźców (np. *boat-people*),... 32.000 dolarów.

Tajemnica się nieco rozjaśni, kiedy ujawnimy, że szefem „Programu pokoju” jest wicedyrektor generalny UNESCO Semion Tanguiane, obywatel Kraju Rad. To także tłumaczy, że kiedy UNESCO postanowiła „uaktualnić” naukową historię świata, której pierwsza wersja spotkała się z zastrzeżeniami państw arabskich i komunistycznych, szefem programu „aktualizacyjnego” został Mikołaj Todorow, obywatel Bułgarii, kraju znanego z wolności badań naukowych. Skłoniło to pewnego dyplomate zachodniego do okrzyku: „Nie mogę uwierzyć aby historię Europy pisali sowieci i to za moje pieniądze”. A jednak to prawda.

Tym boleśnieszka, że do intryg sowieckich, manipulowanej maszynki trzecioświatowej i antyizraelskiej obsesji Arabów dołączają się folklorysty z krajów demokratycznych. Pierwsze skrzypce, aby pozostać w słowniku artystycznym, gra tutaj (choć on raczej pianista) p. Lang, francuski minister kultury. To on wymyślił ochoczo podchwycone przez kulturalników z Mongolii i Mozambiku hasło „imperializmu kulturalnego pewnego wielkiego mocarstwa”, którym przy bliższym spojrzeniu okazał się nie ZSSR, rusefikujący kultury podbitych narodów, deportujący, aresztujący lub ekspulsujący swych pisarzy czy artystów, ale Stany Zjednoczone. Pan Lang nie wymyślił jednak na razie sposobu na sprawienie, aby różne „Dallasy”, które nie schodzą z ekranów telewizji francuskiej, można było zastąpić arcydziełami nieimperialistycznej kultury francuskiej.

P. Mitterrand, który w innych ważnych sprawach wykazuje tyle rozsądku, uznał w październiku 1983 roku, że „UNESCO wypełniła swą misję ponad wszelkie oczekiwania”. Zależy czyje...

c) Gwóźdź do trumny UNESCO, z pewną przesadą na razie, stanowił tzw. „nowy porządek informacyjny”. Program znany pod inicjałami francuskimi NOMIC ma długą i bardzo skomplikowaną historię, której nie warto tutaj streszczać, zwłaszcza, że nie należy mu w obecnej wersji rokować wielkich nadziei. Może na razie wystarczy, jeżeli powiem, iż program nosi imię przewodniczącego komisji przygotowującej projekt, p. Sean Mac Bride, laureata Nobla i Lenina, ukochanego poputchyka w Moskwie, sędziwego starca zafascynowanego trzecim światem, a zwłaszcza

OLP, bardzo uczulonego na sowieckie pochwały i medale, redaktora (według *Wall Street Journal*) wydawanej pod egidą UNESCO *Kroniki Nielegalnych Interwencji*, francuskiego odpowiednika sławnego rejestru tajnych agentów CIA, wydawanego przez byłego szpiega amerykańskiego Agee ku ogromnej radości terrorystów na całym świecie.

Pan Mac Bride nie jest oczywiście żadnym terrorystą, ale on też nie lubi imperializmu amerykańskiego, już nie wyłącznie w dziedzinie kultury, a także prasy i informacji. Pomysł „nowego porządku informacyjnego” był podejrzany od początku, ale przebieg prac komisji i debata na ten temat na forum UNESCO ujawniły prawdziwe intencje niektórych zwolenników „nowego porządku”. Okazało się bowiem, iż zamiast programu rozluźnienia pancerza cenzury, jakim otoczona jest prasa w większości państw członkowskich UNESCO, autorom chodziło o jego zacieśnienie. Zamiast przeplacowania korzonków wolności w głębę niektórych krajów trzeciego świata, nie do końca zniszczonych jeszcze bakcylem totalitaryzmu typu starego porządku sowieckiego, zamiarem autorów „nowego porządku” było przeniesienie cenzury tam gdzie jej nie ma.

Nic dziwnego, że delegaci ZSSR, KDL-ów i trzeciego świata poparli projekt i skłonni są nadal finansować, z budżetu UNESCO naturalnie, prace Komisji Mac Bride'a. Nawet Iran był pełen entuzjazmu. Ambasador oszalałego ajatoli przeszedł samego siebie i oświadczył z tej okazji, że „reporterzy (zachodni oczywiście) to spragnieni krwi rzeźnicy”. Bardziej dystygnowani dyplomaci tłumaczyli naturalnie inaczej ich strach przed „elektronowym imperializmem”, to znaczy strumieniem informacji agencji zachodnich. Nikt jednak nie odważył się powiedzieć prawdy. Tej mianowicie, że strach ogarnia nie społeczeństwa, a rządy, które w Polsce czy w Ugandzie, ZSSR czy Sierra Leone boją się nie imperializmu informacyjnego, a informacji *tout court*, bo ta złamałaby ich monopol na nieprawdę ogłupiającą społeczeństwo. Rosjanie, którzy wiedzą, że np. triumf Polaków w sierpniu 1980 roku był także triumfem wolnej informacji, sprawili, iż „nowy porządek informacyjny świata” nie proponuje likwidacji ani nawet nie potępia zagłuszania radiowego. Do bani z takimi porządkami.

„W dyskusji na jakikolwiek temat w UNESCO — skarżył się pewien wysoki dyplomata — zachodzi głęboka erozja wartości demokratycznych, bronionych przez znikomą tylko mniejszość delegatów”. Inny weteran salonów skonstatował: „W ONZ mamy do czynienia z zawodowymi dyplomatami, którzy znają wartość słowa (jeszcze jeden naiwny — dopisek L.U.) W UNESCO natomiast wypowiadają się ideologowie, którzy plotą co im ślina

na język przyniesie i to w imię ambicji kodyfikacji nowych wartości uniwersalnych”.

Zajęcia praktyczne z „NOMIC-u” odbyły się m.in. w czasie niedawnej konferencji UNESCO na temat „nowego porządku” w Taszkencie. Konferencja została otwarta w dniu zestrzelenia przez myśliwce sowieckie południowokoreańskiego Boeinga z jego 269 pasażerami. Ponieważ obrońcy „nowego porządku” nie chcieli zakłócać informacjami o losie Boeinga prac konferencji na temat informacji, przeto przez trzy dni do Taszkentu nie dochodziły gazety, a jedyna linia telefoniczna ze światem przechodziła przez aparat sowieckiego wicedyrektora UNESCO, tranzytem przez Moskwę.

To prawda, że 5 wielkich agencji prasowych (AP, UPI, Reuter, AFP no i TASS) ma faktyczny monopol na informację. Wysyłają one dziennie 40 milionów słów, podczas kiedy „pool” agencji trzeciego świata nadaje tylko ok. 40.000. Ale co poza nałożeniem cenzury może na to NOMIC pomóc? Chyba, że tak jak na Surinamie, który niedawno zmienił reżim, likwidując fizycznie byłych przywódców oraz redaktorów. Zapytany, dlaczego nie podaje informacji o strajku 4.000 górników w tej byłej holenderskiej Gujanie, nowy szef miejscowej agencji prasowej, który ocenzurował wiadomość, powołał się na NOMIC i wyjaśnił: „Nasi ludzie tutaj potrzebują żywności, a nie idiotyzmów politycznych”.

Tylko mimochodem dodam w tym miejscu (bo właściwie ten epizod należy do innej większej całości), że na najwyższym szczeblu NOMIC-em zajmuje się Departament Informacji Publicznej ONZ. Budżet tego departamentu wynosi 65 milionów dolarów rocznie, a jego działalność porównać można, z punktu widzenia szerzonych treści, z twórczością Departamentu Informacji Zagranicznej Komitetu Centralnego partii bolszewickiej w Moskwie. Mniejsza o szczegóły, może kiedyś będzie jeszcze okazja, wystarczy zacytować fachowca, byłego wicesekretarza generalnego ONZ, p. Arkadego Szewczenkę, którego zdaniem w tym Departamencie Informacji o wszystkim decyduje jego były kolega, p. Anatoli Mkrteczian, w cywilu pułkownik KGB.

W dziale zajmującym się „NOMIC-em” pracuje więcej urzędników niż w komórce odpowiedzialnej za kształcenie wtórnych analfabetów. Jest to absolutne odwrócenie priorytetów UNESCO. Stany Zjednoczone, niestety tylko one, uznały, że tego typu manipulacja nie powinna być opłacana z pieniędzy amerykańskiego podatnika.

Tym bardziej, że w ogóle nie jest jasne, na co idą te pieniądze, nie tylko amerykańskich podatników zresztą.

2) *Budżet*

Budżet UNESCO wynosi 374.410.000 dolarów. Udział poszczególnych państw obliczany jest według skomplikowanych współczynników, proporcjonalnie do dochodu narodowego, handlu zagranicznego, liczby mieszkańców itd. Same tylko USA wpłacają 25 % budżetu UNESCO, cały Zachód 69 %, ZSSR i kraje bloku sowieckiego 18 %, wszystkie inne razem 13 %. UNESCO jest jedyną organizacją międzynarodową, której budżet stale wzrasta. Niektórzy fachowcy twierdzą, że 60 % do 70 % budżetu UNESCO to wydatki personalne, inni, że tylko połowa. Ale nawet jeżeli połowa, to i tak jest szalenie dużo, gorzej chyba nawet niż w ONZ w Nowym Jorku.

Sekretariat generalny UNESCO w Paryżu zatrudnia 3.380 pracowników, przeciętna płaca miesięczna wynosi ok. 2.500 dolarów bez podatku. Na etacie UNESCO znajduje się ponad 100 tłumaczy i „terminologów”. W czasie szczytu konferencji generalnej w tłumaczeniach pracuje także ponad 300 osób „na akord”, a około 700 osób pracuje przy produkcji i dystrybucji dokumentów.

Ważne czy mało? Zależy. Od czego? Od wyników. Otóż to. Na etatach sekretariatu generalnego UNESCO, organizacji powołanej do szerzenia nauki, oświaty i kultury na terenach jeszcze nimi nie dotkniętych pracuje 3.380 osób, w tym 120 w wydziale... informacji. A ile z tych osób przebywa w terenie, ile niesie obojętne kaganiec za 2.500 dolarów miesięcznie bez podatku? 434, słownie czterysta trzydzieści cztery. Nie licząc naturalnie obywatela Kriwcowa, który za 3.000 dolarów miesięcznie nie nosi innym, a sam nosi kaganiec w Moskwie. No ale jest jeszcze dyrektor generalny. To specjalny rozdział. Ten bowiem bywa w terenie. Wyłącznie.

3) *Monsieur le Directeur Général*

W roku 1983 p. Amadu Mahtar M'Bow był w „terenie” 241 dni z 365, wliczając w to święta i choroby. Inaczej mówiąc, nie było go prawie wcale w biurze w Paryżu. Nic dziwnego, pan dyrektor generalny posiada... 42 doktoraty *honoris causa* rozmaitych uniwersytetów, nie licząc innych godności, po które musi się fatygować osobiście. No a udział w konferencjach oraz wizyty oficjalne? Ale nie martwmy się. Pan dyrektor generalny wie co robi.

P. M'Bow urodził się w 1921 roku w Dakarze w Senegalu. Był tam ministrem oświaty, zanim w 1974 roku po raz pierwszy,

a w 1980 roku ponownie nie został wybrany (z błogosławieństwem USA) jako pierwszy trzecioświatowiec generalnym dyrektorem UNESCO. Jest to człowiek z charakterem. Złym. Satrapa, rządzi UNESCO przy pomocy rozbudowanego osobistego sekretariatu i usłużnych mu wschodnioeuropejskich pomagierów. Jest szalenie ambitny, postanowił, jak twierdzą akolici, zemścić się za okres kolonialny i zostać następnym sekretarzem generalnym ONZ. Znajduje się przeto w nieustannej kampanii wyborczej. Tzw. „źródła” twierdzą, iż ma do własnej dyspozycji 200 posad, 2 miliony dolarów funduszu specjalnego. Korzysta z niego, aby opłacać przyjaciół, uruchamiając rozmaite subwencje, stypendia, ekspertyzy itd. Wbrew wszelkim regułom UNESCO opłaciło np. podróż do Paryża przychylnych sobie 25 delegacji z trzeciego świata. Nie waha się manipulować głosami. Tylko *in extremis* uniemożliwiono mu ostatnio przeforsowanie na przewodniczącego konferencji UNESCO delegata Mongolii „poleconego” przez Moskwę, zamiast uzgodnionego dyplomaty z Cejlonu.

Pan dyrektor nie zapomina o przyjaciółach. Spośród 47 szpiegów wyrzuconych przez Mitterranda w kwietniu 1983 roku 12 „pochodziło” z UNESCO, w tym trzech pracowało w sekretariacie osobistym p. M'Bow. Według *Wall Street Journal* wszyscy biorą do dziś pobory. Widocznie p. M'Bow chce mieć pewność, że nie obrażą się i wrócą, kiedy przyjdzie ich pora. Dlatego chyba właśnie pojechał do Moskwy, kiedy nikt inny się tam nie chciał pokazać: tuż po inwazji Afganistanu i po aferze Boeinga 747.

Rezultaty takiej gospodarki ludzkiej (kuzyn p. M. Bow jest dyrektorem departamentu kadr UNESCO), nie dały na siebie długo czekać. „Jego antykolonializm — powiada jeden z jego byłych pracowników — przekształcił się po prostu w antydemokratyzm”. W ciągu kilku lat 20 dyrektorów podało się do dymisji.

„Nie chcemy uczestniczyć w kłoszardzacji UNESCO” powiedział jeden z nich. Pierre de Sanarclens, Szwajcar, był dyrektorem departamentu praw człowieka i spraw pokoju, opuścił UNESCO z powodu panującego tam „klimatu nieufności, przesądów, nietolerancji, nadużyć władzy, strachu i serwilizmu”. Niezłe, jak na organizację od kultury. Dyrektorem departamentu nauk społecznych był Meksykanczyk, socjolog o znakomitej reputacji, Rodolfo Stavenhagen. Poszedł sobie także, przegnany, jak powiedział, „terroryzmem biurokratycznym”. Nawet Jugosłowianin, Dragoljub Najman, którego trudno podejrzewać o sprzyjanie imperializmowi, nie zdzierzył i wyszedł z UNESCO.

Dosyć lamentu. Anonimowa ankieta przeprowadzona wśród 2.536 urzędników UNESCO podsumowała całość. Tylko 3 %

uznało, że „awanse pracownicze przyznawane są zgodnie z kwalifikacjami”. Było wśród tych 3 % zapewne 12 sowietów oczekujących na powrót. Właśnie niedawno dostali... podwyżki.

W 1970 roku, a było to jeszcze zanim p. M'Bow pojawił się w Paryżu, pracownicy UNESCO podpisali masowo petycję protestującą przeciwko „kafkowskiej atmosferze” panującej w organizacji. Gdyby się nie bali, to dzisiaj zaproteutowaliby przeciwko „atmosferze orwellowskiej”. I mieliby rację.

Dymisja dyrektora generalnego, który zapominając o swojej roli czynnika nadrzędnego, zaangażował się całkowicie po stronie zamordyzmu kulturalnego i informacyjnego, mogłaby rozładować kryzys i napięcie w UNESCO. Ale rzecznik dyrektora generalnego oświadczył, iż p. M'Bow ma zamiar pozostać na stanowisku do końca mandatu w roku 1987. Tym bardziej, że delegat Francji w Komitecie Wykonawczym UNESCO, p. Jean-Pierre Cott, protegowany prezydenta Mitterranda uprzedził, iż „Francja popiera dyrektora generalnego”. I ostrzegł, że wyjście USA z UNESCO „stwarza fantastyczną okazję do manifestacji antyamerykańskich”. Być może, ale pod tym względem Amerykanie już się niczego nowego czy specjalnego ze strony UNESCO i p. Cotta nie spodziewają.

Pisane 29 lutego 1984

Z A Ł A C Z N I K N R 2

Już po napisaniu „Załącznika nr 1” dowiedziałem się z dobrych źródeł, że groźba USA wycofania się z UNESCO (i jej kasy) odniosła pierwsze, na ogół, choć nie zawsze, pozytywne skutki.

a) P. M'Bow wyraził zgodę na umożliwienie specjalnej komisji Kongresu USA dokonania „przeglądu” działalności sekretariatu generalnego UNESCO tak w zakresie jej programu merytorycznego jak i sposobu zarządzania organizacją i jej budżetem.

b) Dyplomacja USA, co nie jest dla nas niespodzianką, natychmiast po podjęciu decyzji o wycofaniu się z UNESCO rozpoczęła przygotowania do wycofania się z decyzji o wycofaniu. Departament Stanu ogłosił mianowicie, iż specjalna komisja ekspertów nierządowych, reprezentujących grupy zainteresowane (!) działalnością UNESCO, badać będzie „postępy” w jej funkcjonowaniu do końca 1984 roku i przekaże swe ustalenia rządowi amerykańskiemu przed 1 stycznia 1985, tak aby nimi rozporządzał przed terminem upływu „ultimatum”.

c) W ramach tzw. „kooperacji, współpracy i koordynacji” między USA a Europą zachodnią, właśnie w chwili kiedy rząd amerykański ujawnił, że się „waha” co do UNESCO, dwa rządy zachodnioeuropejskie, RFN i Anglia, uprzedziły dyrektora generalnego UNESCO, że skłonne są pójść w ślady USA i zawiesić swój udział w pracach organizacji na znak protestu przeciw jej „nadmiernemu i jednostronnemu upolitycznieniu”. Jednocześnie kilka innych rządów zachodnich lub neutralnych, zawsze skłonnych do kompromisu czyli kapitulacji wobec Moskwy, przekazało dyrektorowi generalnemu UNESCO „listę spraw do niezwłocznego załatwienia”, w zamian za co USA byłyby skłonne odwieść zawieszenie.

d) Nie znam tej listy, ale wydaje mi się, że jedna z tych „spraw” jest już jakby załatwiona. Według pani Flory Lewis w *New York Times*'ie (bardzo rozumny artykuł), pewna liczba niewygodnych „dossiers” już została usunięta z archiwów sekretariatu generalnego i prawdopodobnie zniszczona.

e) Ale, być może, nie wszystko jest stracone. Z innych bowiem informacji wynika, że pewna liczba urzędników UNESCO jest tak zdesperowana „biurokratycznym terroryzmem” dyrektora generalnego, że stara się przechować, skopiować lub ukryć najbardziej kompromitujące dokumenty zanim pan dyrektor generalny się nimi zainteresuje osobiście.

Pisane 2 marca 1984

Z A Ł A C Z N I K N R 3

P. Madu Muhtar M'Bow jest chyba ostatnim człowiekiem, który miał zaszczyt wymienić listy z p. Jurijem Andropowem. Dyrektor generalny UNESCO przesłał mianowicie przewodniczącemu Najwyższego Sowietu swą książkę pt. „Gdzie zaczyna się przyszłość?” W liście towarzyszącym książce p. M'Bow tłumaczy p. Andropowowi, że zawiera ona „jego wizję współczesnego świata i historii”.

Odpowiedź p. Andropowa nosi datę 31 stycznia 1984. Był on wtedy, jak dziś wiemy, w przededniu śmierci (choć zgodnie z „nowym porządkiem informacyjnym” rzecznicy KC zapewniali, iż właśnie wraca do pracy), a jednak zależało mu, aby panu M'Bow przekazać jego własną „wizję świata i historii”. Sprawa widocznie ważna. I rzeczywiście. W ostatnim swoim słowie p. Andropow zapewnia p. M'Bow o niezmiennym poparciu ZSSR dla UNESCO i dla starań dyrektora generalnego w dziedzinie

porządku, mającego na celu „wyeliminowanie imperializmu informacyjnego i złamanie zachodniego monopolu w tej dziedzinie”. P. Andropow zdążył jeszcze dodać, że „jak wszyscy wiedzą, źródłem międzynarodowego napięcia są USA, które uważają całość globu za swą wyłączną własność, podczas kiedy ZSSR idzie po zupełnie innej linii”. No i poszedł...

Książki p. M. Bow pt. „Gdzie zaczyna się przyszłość?” nie otrzymałem i nie przeczytałem. Co do tytułu, to chciałbym tylko zauważyć, że jak to ktoś ładnie powiedział, „przyszłość to przeszłość, która wraca tylnymi drzwiami”. A od siebie dodam, że ludzie, którzy uczuciami tkwią w przeszłości, a którym wydaje się, że intelektualnie sięgają do przyszłości, czasem znajdują dobre posady w teraźniejszości, ale nie zajmują miejsca w historii.

Leopold UNGER

pod którym to pseudonimem, jak to nareszcie w lutym odkrył *Sztandar Młodych*, ukrywa się od 1969 roku niejaki Brukselczyk.

Pisane 6 marca 1984

Korespondencja z Rzymu

KORESPONDENCJA Z RZYMU

Włoski konkordat

Konkordat zawarty 18 lutego bież. roku między Stolicą Apostolską i Republiką Włoską nie stanowi nowego sojuszu tronu i ołtarza. W przeciwieństwie bowiem do konkordatu, podpisanego w 1929 roku przez Mussoliniego i kardynała Gaspariego (*sui generis* prototyp układów z państwami totalitarnymi), nie jest on paktem, na podstawie którego Kościół uzyskuje szereg przywilejów w zamian za polityczne poparcie państwa lub panującego w nim reżymu. Kościół posoborowy nie domaga się przywilejów, ale też nie odwzajemnia się politycznym wsparciem. Nowy konkordat, podpisany przez socjalistycznego premiera Craxiego i kardynała Casaroligo, likwidując przywileje Kościoła, niezgodne z duchem soborowym, odpowiada wymogom nowoczesnej demokracji pluralistycznej i zarazem dojrzałej świadomości obywatelskiej i religijnej.

Rewizja konkordatu sprzed 55 lat oznacza formalne uznanie harmonii pomiędzy Konstytucją republikańską i Kościołem posoborowym. Kościół we Włoszech, poprzez rewizję konkordatu, nie tyle stracił, ile sam wyrzekł się w toku rokowań uprzywilejowanej pozycji, jaką stanowiła m.in. zasada uznająca katolicyzm za religię państwową, a Rzym za „miasto święte”. Jest rzeczą charakterystyczną, że mając do wyboru pomiędzy uchyleniem czyli abrogacją, a rewizją konkordatu, znaczna większość ugrupowań politycznych i społecznych opowiedziała się na rzecz rewizji. Nauczono się bowiem rozróżniać pomiędzy świeckością państwa (*laicità*) czyli jego ideologiczną neutralnością, a laicyzmem (*laicismo*), to znaczy zinstytucjonalizowaną, ideologiczną postawą, nieprzyjazną lub wręcz wroga religii.

To co nie udało się kolejnym premierom chrześcijańsko-demokratycznym w czasie rokowań ciągnących się długie lata, przeprowadził pierwszy po wojnie premier socjalistyczny. Jego doradca polityczny G. Acquavita, który do partii socjalistycznej przywędrował z ACLI — katolickiego stowarzyszenia pracowników — przypisuje ten fakt ewolucji, jaka się dokonała w tej partii oraz oddziaływaniu pontyfikatu Jana Pawła II. Organ partii socjalistycznej *Avanti!* nadaje konkordatowi znaczenie wręcz historyczne. W przeciwieństwie do partii komunistycznej, która od powstania republiki popierała konsekwentnie układ konkordatowy, głosując nawet za wprowadzeniem go do Konstytucji, w partii socjalistycznej przeważały silne tradycje antyklerykalne, jeśli nie wręcz antykościelne, oraz radykalne tendencje laicystyczne, przeciwne konkordatowi. To stanowisko, charakterystyczne również dla dwóch drobnych centrowych ugrupowań laickich — republikańsów i liberałów — nie było jednak całkowicie negatywne. Przyczyniło się bowiem skutecznie do storpedowania tzw. kompromisu historycznego pomiędzy dwoma gigantami integrystycznymi: chadecją i komunistami.

Dodać należy, że w tych samych latach przymiotnik „chrześcijański” stał się w chadecji jedynie dekoracyjnym szyldem, w cieniu którego krzewiła się korupcja, prywatna i różne afery gospodarcze i polityczne, nieraz powiązane z mafią. To właśnie w ciągu tych ostatnich lat, tzn. przed klęską wyborczą chadecji w czerwcu ub. roku, kiedy straciła ponad dwa miliony głosów, „społeczeństwo włoskie przeszło najbardziej radykalny w swych dziejach proces sekularyzacji, a nawet dechrystianizacji” (*Il Sabato*, 10 marzec 1984, organ awangardowej organizacji katolickiej „Comunione e Liberazione”). Pod wpływem nowego pontyfikatu upadł definitywnie mit jedynej partii wyrażającej interesy katolików, a legitymację uzyskała swoboda opcji politycznych.

Pozostaje do wyjaśnienia następująca kwestia: poczynszy od pontyfikatu Pawła VI, Stolica Apostolska odchodzi od globalnych układów konkordatowych w regulowaniu stosunków Kościoła i Państwa na rzecz częściowych umów szczegółowych. Nawet w Hiszpanii pofrankistowskiej zamiast rewizji konkordatu doszło w latach 1976 i 1979 do zawarcia serii umów. Także w innych

państwach katolickich (lub o dużej liczbie katolików) w Europie (poza RFN) i w Ameryce Łacińskiej (poza Kolumbią) nie ma potrzeby zawierania konkordatów. Konstytucja i obowiązujące ustawodawstwo przewidują tam bowiem uznanie osobowości prawno-publicznej Kościoła oraz jego instytucji i uprawnień. Co innego jednak we Włoszech: oprócz tego, o czym była już mowa, że społeczeństwo łącznie z komunistami i socjalistami opowiedziało się za rewizją w imię „pokoju religijnego”, sytuacja włoska jest specyficzna z uwagi na Stolicę Apostolską i papieża, który jest biskupem Rzymu i prymasem Kościoła we Włoszech.

Specjalna komisja mieszana ma ustalić w ciągu sześciu miesięcy szczegółowe kwestie wynikające z treści konkordatu. Odnoszą się one przede wszystkim do aspektu ekonomicznego różnych instytucji kościelnych, charytatywnych, oświatowych, wychowawczych i społecznych, mających użyteczność publiczną, a więc wymagających od państwa określonych świadczeń finansowych względnie ulg podatkowych. Dopiero po zakończeniu prac tej komisji tekst konkordatu jako umowy międzynarodowej będzie przedstawiony do ratyfikacji w obu izbach parlamentu.

Watykan — Kościół polski — PRL

Ostatnią, lutową wizytę w Polsce abpa L. Poggiego, nuncjusza do specjalnych poruczeń, poprzedziły pogłoski o szybko mającym nastąpić ustabilizowaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stolicą Apostolską i Polską. Chodzi o „ustabilizowanie”, a więc o pełną normalizację z punktu widzenia prawa międzynarodowego, z czym wiąże się wymiana przedstawicieli dyplomatycznych. Mało znany jest fakt, że od 1974 roku działa „grupa do stałych kontaktów roboczych”, na czele której stoi ze strony watykańskiej abp L. Poggi, a ze strony rządu PRL min. J. Kuberski. Delegacja rządowa jest „misją dyplomatyczną” o charakterze specjalnym, a jej szef i członkowie figurują od 1983 roku w *Annuario Pontificio* (urzędowy Rocznik Papieski) na liście korpusu dyplomatycznego, akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej. Watykan jest niewątpliwie bardzo zainteresowany w możliwie szybkim nawiązaniu pełnych stosunków dyplomatycznych. Obecność pro-nuncjusza w odrestaurowanej siedzibie dawnej nuncjatury w Warszawie jest mu potrzebna zarówno dla konsolidacji pozycji Kościoła w okresie pewnych niepokojących rysów w jego spoiwości pod wpływem napięć społecznych, jak i dlatego, że Polska stanowi zasadniczy fragment, jeśli nie zwornik, tzw. polityki wschodniej.

Ostatnia wizyta wysłannika papieskiego miała jedynie charakter sondażu. Okazało się, że rząd PRL nie śpieszy się, aczkolwiek wykazuje nadal bezsporne zainteresowanie rozwojem dobrych stosunków ze Stolicą Apostolską. Prawdopodobnie przed decyzją dotyczącą ustabilizowania stosunków dyplomatycznych

pragnie zweryfikować, jakie będzie stanowisko sowieckie po zmianie warty w kierownictwie. Episkopat też się nie śpieszy i — jak się wydaje — przyhamował nawet nieco rozpęd Watykanu. Biskupom zależy na tym, by najpierw doprowadzić do ustawowego uznania statusu prawno-publicznego Kościoła w Polsce. Chodzi o to, by stosunki między Kościołem i państwem opierały się „na twardych podstawach prawnych”, o czym mówi komunikat ze styczniowej konferencji plenarnej episkopatu. Episkopat uważa, że to samo powinno odnosić się do unormowania stosunków między Polską i Stolicą Apostolską, co „wymaga cierpliwych negocjacji”. Projekt odpowiedniej ustawy został wprowadzony uzgodniony przez ekspertów obydwu stron, ale musi być powtórnie rozpatrzony przez Komisję Wspólną przedstawicieli episkopatu i rządu (na której czele stoją kard. Macharski i wice-premier Barcikowski). Następnie przejdzie różne szczeble weryfikacji względnie aprobaty politycznej łącznie z ostatecznym zatwierdzeniem przez radę ministrów, co będzie oznaczać automatyczne uchwalenie ustawy przez sejm. Przewiduje się, że projekt, który idzie bardzo daleko jeśli chodzi o uprawnienia Kościoła, napotka na opór, lub przynajmniej zastrzeżenia ze strony partyjnego „betonu”. Nie zabraknie tych, którzy będą twierdzić, że zapewnia on za dużo przywilejów Kościołowi. Jest on, w rzeczy samej, dla Kościoła bardzo korzystny. Nie tylko bowiem potwierdza formalnie uprawnienia i swobody, z których Kościół już faktycznie korzysta (osobowość prawna podstawowych ogniw struktury kościelnej i zgromadzeń zakonnych), ale rozciąga je na instytucje i działalność o charakterze duszpasterskim, charytatywnym, wychowawczym, naukowym (akademie, wydziały papieskie), wydawniczym, społecznym i kulturalnym. Projekt modyfikuje również szereg uprawnień związanych bezpośrednio z autonomią Kościoła, co odnosi się np. do sprawy nominacji biskupów, którą reguluje dotąd dekret rządowy z 1956 roku.

Niezależnie od tej zasadniczej sprawy, tzn. wyraźnego *iunctim* między ustawą o statusie prawnym Kościoła i ustabilizowaniem stosunków między Stolicą Apostolską i PRL, zachodzi jeszcze inny czynnik opóźniający, jak się wydaje, termin podpisania protokołu o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Wprowadzenie unormowania tych stosunków nie oznacza bynajmniej uznania przez Stolicę Apostolską systemu i rzeczywistości politycznej, ale zaogniona wciąż sytuacja społeczna (nierozwiązana sprawa więźniów politycznych, „wojna o krzyże” itd.) niewątpliwie również wpływa na odraczenie ostatecznej decyzji. Jak się wydaje, abp Poggi wybierze się powtórnie do Polski za dwa miesiące w celu kontynuowania pertraktacji z rządem, odwiedzenia szeregu diecezji i oswojenia biskupów z myślą, że w niedługim czasie, być może jeszcze w ciągu tego roku, pewien określony obszar spraw w kontaktach z rządem przejmie pro-nuncjusz apostolski.

Dominik MORAWSKI

Debaty w Oxford Union

Uwaga massmediów angielskich skupiła się ostatnio na obradach Oxfordzkiego Towarzystwa Dyskusyjnego (Oxford Union). Towarzystwo uzyskało po raz pierwszy światowy rozgłos gdy 9 lutego 1933 roku po burzliwej debacie uchwaliło rezolucję: „Członkowie tego zgromadzenia w żadnych okolicznościach nie będą walczyć za Króla i Ojczyznę”. Debata uznana została przez prasę za spiszek działającej w Oxfordzie siatki komunistycznej, a sam Winston Churchill już w tygodniu później potępił tę „nędzną, plugawą, bezwstydną rezolucję” uchwaloną przez „smarkatych, niedouczonego młodzieńszków oxfordzkich” i przytoczył ją jako przykład zgubnego wpływu agitacji socjalistycznej na ducha narodu. Oxfordzkich panicy przeciwstawił „wspaniałej, jasnokokiej młodzieży Niemiec, głośno domagającej się zaciągu do wojska, palącej się do poświęceń za Ojczyznę”. Następnie rezolucja ta jako „przysięga oxfordzka” uchwalona została przez wiele uniwersytetów w Anglii i w USA. Churchillowi zapadła ona głęboko w serce. W 1944 roku oświadczył jako premier Izbie Lordów: „Debata w Oxford Union wstrząsnęła Europą, wstrząsnęła naszym prestiżem. Mamy dowody na to, że przekonała ona Mussoliniego, iż nie będziemy walczyć. Miała decydujący wpływ na jego decyzję przystąpienia do wojny po stronie Niemiec”. Gdy w 1965 roku Towarzystwo debatowało nad wnioskiem o podobnej treści, *Daily Telegraph* opublikował list Ericha von Richthofena „Jako były oficer Wehrmachtu i członek niemieckiego Sztabu Generalnego w czasie tzw. 'rezolucji oxfordzkiej' oświadczam z całą odpowiedzialnością naoczego świadka, że nie nie umocniło Hitlera bardziej w jego planach wojennych niż 'odmowa walki za Króla i Ojczyznę'. Miała ona decydujący wpływ na nasze wyobrażenie o morale Anglii, gdyż pochodziła od ludzi, których uważano za intelektualną elitę waszego kraju”.

Jeśli nie bezpośrednio, jak to sugerował Churchill i prasa, to przynajmniej pośrednio Towarzystwo wpływa na życie polityczne Wielkiej Brytanii. Jest to przede wszystkim wylegarnia talentów politycznych. W przeszłości wielu członków Towarzystwa zostawało premierami Wielkiej Brytanii i wybitnymi dygnitarzami: Gladstone, Manning, Macmillan, Heath, Foot (do niedawna przywódca opozycji; głosował „za” w debacie „o Króla i Ojczyznę”), Thorpe (do czasu słynnego skandalu seksualnego przywódca liberałów), Benn (Lord z urodzenia, przywódca skrajnej lewicy), Heseltine (minister obrony). Wnioski zgodnie z tradycją formułowane są w prowokacyjny sposób; debaty są komentowane w prasie, często pokazywane w TV.

Sposób debatowania nie zmienił się wiele od czasu założenia Towarzystwa w 1823 roku. Po uroczystej kolacji funkcjonariusze z prezydentem na czele, we frakach, z goździkami w klapach, wprowadzają na salę obrad orszak mówców i gości. Tu, na wzór Izby Gmin, strona zgłaszająca wniosek zajmuje miejsce po prawej stronie fotela Prezydenta, a opozycja po lewej.

10 lutego 1984, w dzień ogłoszenia śmierci Andropowa Oxford Union debatowało nad rezolucją „że narzucona stabilizacja w Polsce jest niezbędnym warunkiem pokoju w Europie”. W najlepszej angielskiej tradycji poprzedzania poważnych obrad krotoczwilami przedstawiono też wniosek wyjątkowy: „Aby Izba ta uczciła minutą ciszy pamięć Jurija Andropowa, w ten sposób wyrażając swe współczucie dla narodu sowieckiego”. Wniosek wśród salw śmiechu odrzucono.

Po krótkich, kilkuminutowych przemówieniach studentów, głos zabrali goście. Pierwotnie przemawiać miała Hella Pick, korespondentka wschodnio-europejska londyńskiego *Guardiana*, rzeczniczka ekipy generała Jaruzelskiego. W ostatniej chwili zmieniała jednak zdanie i nie przyjechała do Oxfordu. Jej miejsce zajął James Sherr, kierownik Royal United Services Institute w Londynie. Powiedział on:

„Przypuścimy, że Solidarność byłaby w stanie przekonać ZSSR, że można przebudować Polskę zgodnie z życzeniami ludności polskiej, jednak w taki sposób, aby Polska mimo to pozostała pełnym i lojalnym członkiem Paktu Warszawskiego. Czy sowieci zaakceptowaliby taką ofertę? Otóż nie, nie zaakceptowaliby, gdyż byłby to precedens, który szybko znalazłby naśladowców w całej Europie Wschodniej. Problem idzie jeszcze dalej: tylko przekonanie, że obecny reżim raz na zawsze rozwiązał problem fizycznego zagrożenia granic Rosji utrzymuje zdemoralizowaną ludność ZSSR w posłuszeństwie. Porażka na tak wielką skalę w Polsce nie tylko osłabiłaby międzynarodową pozycję ZSSR, lecz także stanowiłaby śmiertelne zagrożenie dla reżimu ze strony własnej ludności”.

Sherrowi przeciwstawił się Timothy Garton Ash, znany dziennikarz, autor „Polskiej Rewolucji”. Powiedział on między innymi:

„Mówcy po przeciwnej stronie Izby formułują swe argumenty w górnolotne konstrukcje intelektualne. Jednak sedno ich rozumowania jest proste: jest to teza o nieszcześliwym niedźwiedziu. Imperium Sowieckie jest zbyt rozprzestrzenione, jest targane konwulsjami sprzeczności swego systemu ekonomicznego i obezwładnione zaawansowanym uwiązaniem swego systemu politycznego. Doznaje ono ataków łękowych — nieszcześliwy miś. Każdy nowy kryzys czyni niedźwiedzia bardziej nerwowym, zwiększa prawdopodobieństwo, że wyrwie się on z klatki i wyładuje agresję w sposób niszczący nas wszystkich. Za wszelką cenę trzeba więc misia uspokoić, mówić do niego łagodnie, usuwać mu pchły z sierści, karmić piernikiem. Argument ten jest podwójnie fałszywy: historycznie i moralnie. Jest błędny historycznie, gdyż nie ma dowodu na to, że w okresach gdy próbowaliśmy przekupić ZSSR stawał się on mniej agresywny. Wręcz przeciwnie: w takim właśnie okresie, gdy daliśmy niedźwiedziowi więcej piernika niż przedtem — Helsinki, ZSSR zajął Afganistan. Niedźwiedziowi apetyt rośnie w miarę jedzenia! Argument ten jest też błędny moralnie, gdyż piernik, który tak szczerze chcemy niedźwiedziowi ofiarować, nie do nas należy. To Polacy, nie my, doświadczyliśmy 'narzuconej stabilizacji' a my, nie Polacy, korzystamy z pokoju w Europie” (huczne brawa).

Następnym gościem był George Walden, konserwatywny poseł do Parlamentu, bliski współpracownik Pani Thatcher. Ze zreczenie sformułowanych ciągów myślowych trudno było wywnioskować, dlaczego George Walden przemawiał za rezolucją.

Profesora Leszka Kołakowskiego przedstawiono jako „jedyne filozofa, który podjął poważną (choć nieudaną) próbę pogodzenia marksizmu z polskimi tradycjami intelektualnymi”. Prof. Kołakowski powiedział między innymi:

„Proszę, aby zastanowili się państwo nad prostym faktem: od końca pierwszej wojny światowej upłynęło 65 lat. Świat doznał w tym czasie niezliczonych konfliktów, małych i dużych wojen. I wśród wszystkich tych wojen nie było ani jednej pomiędzy państwami demokratycznymi. Jest to prosty fakt, który dowodzi, że to despotyzm jest źródłem wojen.

Tak, Sowieci czują się zagrożeni. Nawet wtedy, gdy legalizujemy „porządek jałtański”. Będą się oni czuli zagrożeni tak długo, jak długo będą istniały państwa, nad którymi nie mają kontroli. Lecz był w powojennej historii moment, kiedy Sowieci czuli się zagrożeni w znaczeniu normalnym,

a nie dialektycznym. Był to okres mniej więcej dwóch lat, zaraz po śmierci Stalina. Naprawdę byli w rozsypce i nie wiedzieli, w którą stronę się obrócić. Czuli się zagrożeni i co się stało? Wycofali się z wojny koreańskiej i pogodzili z niepodległością Austrii”.

Wniosek został odrzucony 253 głosami przeciw 118.

27 lutego starli się Caspar Weinberger, amerykański minister obrony i prof. E. P. Thompson, rzecznik angielskiego ruchu pacyfistycznego. Debata przyciągnęła niezwykłą uwagę, gdyż było to pierwsze publiczne spotkanie członka administracji prezydenta Reagana z przedstawicielem europejskiego ruchu rozbrojeniowego. Wniosek brzmiał: „nie ma żadnej moralnej różnicy między polityką zagraniczną USA a ZSSR”. Przemówienia studentów po obu stronach Izby były popisami krasomówstwa. Weinberger i Thompson byli ostrożniejsi. Obaj powtórzyli znane poglądy administracji amerykańskiej i ruchu pacyfistycznego na temat dostarczenia do Europy nowych rakiet średniego zasięgu. Obaj powoływali się wielokrotnie na Polskę: Caspar Weinberger dowodził różnicy moralnej między obecnością wojsk amerykańskich w europejskich państwach NATO a sowiecką okupacją Europy Centralnej. Prof. Thompsonowi zacytowano określenie „polski patriota”, jakiego użył w artykule w *Times*'ie opisując działalność gen. Jaruzelskiego. Prof. Thompson bronił się, że określenie użyte zostało ironicznie, a nie dosłownie. Następnie przyrównał niedawną decyzję Pani Thatcher o zawieszeniu prawa do strajku i prawa do zrzeszania się pracowników niezwykle czułego ze względu na bezpieczeństwo kraju centrum komputerowego w Cheltenham do zniszczenia Solidarności w Polsce. Nie zdobyło mu to sympatii sali.

Debata była filmowana przez BBC i transmitowana przez radio i telewizję w Anglii, USA i wielu krajach anglojęzycznych.

Wniosek odrzucono 271 głosami „przeciw”, przy 232 „za”.

Radek SIKORSKI

Kraj

Aby nie zdziścić

Oczekujemy pomocy! Ci, którzy tej pomocy nam udzielą lub będą chcieli i mogli jej udzielić, nie od dziś oceniają nasze szanse, oceniają czy tę pomoc spożytkujemy właściwie, czy zagwarantujemy, że nie obróci się ona przeciwko nam. Ostatecznie Zachód bardzo nam pomógł po 1956 roku, wydatniej niż jakimkolwiek państwu „bloku wschodniego”, a po 1970 roku Polska miała być pozytywnym przykładem zachodnioeuropejskiej polityki wschodniej.

Wszystko, co się dzieje w Polsce jest w jakimś tam sensie ważne dla Europy. To tylko my twierdzimy, że nasze położenie geograficzne jest naszym nieszczęściem, Europa widzi to inaczej.

Dlatego nie jest dla nas obojętne, jak Europa ocenia nasze zachowania, jak je wkalkulowuje w swoje bliższe i dalsze plany.

W tej części Europy trzydziestosiedmiomilionowy naród, szósty co do wielkości i liczebności w Europie nie może żyć w czterdziestoletnim marazmie, przerywanym raz na dziesięciolecie wybuchami entuzjazmu.

Po raz trzeci w ciągu ostatniego czterdziestolecia zadziwiliśmy Europę „polskim zrywem” i po raz trzeci wprawiamy Europę w zdumienie, jak łatwo i gładko przyszło zniechęconej przeciw władzy przywrócić stary „ład i porządek”.

Te trzykrotne zrywy nie zrodziły jednak żadnej „nośnej” polskiej doktryny politycznej. Nie zrodziły polskiej szkoły myślenia i działania. Nie powołały reprezentacyjnej kadry polityków i działaczy.

Władza, umiejętnie wykorzystując nasze euforie, wraca do swych wypróbowanych doktryn, tworzy nowe ekipy tylko trochę

KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety

i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.

Skład elektroniczny — także „na wynos” —

zapewniający najwyższą jakość druku.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

odmłodzone świeżymi ludźmi. Nam pozostają z tych zrywów mity, legendy i złudzenia.

I dziś znów działamy pod naporem mitów i legend, niezdolni do bezwzględnej — może i bolesnej — analizy tak niedalekiej przeszłości. Taka ocena jest konieczna. Legendy mogą być miłą lekturą na zimowe wieczory, ale są fatalnym podręcznikiem politycznej edukacji.

W prasie podziemnej i w wielogodzinnych dyskusjach „ułatwionych” mi przez pobyt w „internie”, w dyskusjach zdawałoby się z poważnymi ludźmi, spotykam się z „niezłomnym przekonaniem”, że tumulty i zadymy uliczne podtrzymują naszego ducha oporu, są wyrazem naszej determinacji.

Trzeba być naprawdę nieodpowiedzialnym albo po prostu głupim, by podstawianie się pod bicie bez możliwości odparowania ciosów, na traktowanie przez zomowców, narażanie się na represje nazywać „podtrzymywaniem ducha narodu”.

Ulicznymi awanturami nie przykujemy na długo uwagi światowej opinii. Nasze zachowania są dla Europy coraz bardziej niezrozumiałe i nieczytelne. W tych tumultach gaśnie gniew społeczny, wypala się w bezskutecznych zrywach. Wściekłość nie może być naszym jedynym kapitałem politycznym. „Duch oporu” nie może być tylko i jedynie chęcią dopieprzenia „czerwonemu”. W takim „oporze” można tylko zdziczeć i w następnej fali autentycznego kryzysu znów dać się zaskoczyć. W tej części Europy trzydziestosiedmiomilionowy naród nie może mierzyć temperatury swych uczuć wielkością krzyży kwiatowych, a siły władzy brutalnością zomowców rozrzucających te kwiaty.

Świat zna, niestety, wiele przykładów triumfu siły nad prawem, dyktatury nad demokracją. Po dyktaturze Salazara, Mussoliniego, Hitlera, Franco i czarnych pułkowników w Grecji, przyszła kolej na Polskę, na dyktaturę Jaruzelskiego i Urbana, na sojusz wojskowej siły z propagandową mistyfikacją.

Nie dyktatury kształtują historię, lecz te siły, które podejmują z nią walkę. W tej walce kształtują się nowe idee, wyłaniają się nowe przywódcze siły narodu, wyrastają przywódcy. Nie może się więc ta walka ograniczać do rzucania kamieniami.

Spółceństwo nie da sobie narzucić jakiegokolwiek wizji czy struktury trwania w podziemiu. Samo wytwarza struktury odpowiadające potrzebom chwili. Spółceństwo samo wchodzi tak głęboko w swoje własne struktury podziemne, na ile będzie do tego zmuszone i nie zrobi ani jednego kroku dalej niż będzie to konieczne. Spółceństwo samo będzie działało tak, by ponosić jak najmniej ofiar. Euforia, histeria, brawura, bohaterstwu przynoszą więcej szkód niż tropicielskie działania służb bezpieczeństwa, niż bezduszny terror władzy.

Przyczyną w wszystkich naszych klęsk, poczynawszy od Października 56, było traktowanie naszych własnych nastrojów i uniesień jako „poglądów politycznych”. Za każdym razem mieliśmy dość znienawidzonej władzy, za każdym razem wystarczyło to prawie do jej obalenia i za każdym razem nie mieliśmy żadnego programu, żadnej wizji, jak ta autentycznie nasza władza ma wyglądać w przyszłości. Dlatego też za każdym razem wystarczyło Gomułce czy Gierkowi parę hasłek, parę obietnic, parę kłamstw, by zdobyć zaufanie społeczeństwa i co tu dużo gadać, porwać za sobą ludzi. Od czterdziestu lat nie posiadamy własnej reprezentacji politycznej i nie wykazujemy bądź chęci, bądź zdolności wyłonienia takiej reprezentacji.

Tumulty uliczne mogą być tylko świadectwem naszych nastrojów, ale w żadnym wypadku nie mogą być „programem”. I tak to widzi Europa i według tego nas ocenia.

Nie idealizujemy, nie mitologizujemy Sierpnia '80. Był to zryw na tyle potężny, by bez mitów, wymową samych faktów, długo zadziwiać świat.

W roku 1980 totalna władza pezetpeerii totalnie zbankrutowała w wyniku popełnionych totalnych błędów. Gigantomania pezetpeerii objawiła się nie tylko w jej szaleńczych pomysłach inwestycyjnych, ale i w jej upadku.

Wydarzenia sierpniowe wykazały nie tylko bezsilność skompromitowanej władzy, ale też i nasze nieprzygotowanie do sytuacji, której byliśmy autorami. Okazało się, że wspaniały dorobek KOR-u, wystarczający, by powstrzymać rozbestwienie pezetpeerii, przerażonej czerwcem 1976, to za mało, by przeprowadzić robotnikom w sytuacji jaka zaistniała w sierpniu 1980. Działania różnych ROPCIO, KPN podgrzewały nastroje, ale to nie mogło zastąpić programu. Nie idealizujemy wydarzeń sierpniowych. Dyskusje nad mrzonkowatymi koncepcjami ekonomicznymi na zjeździe „Solidarności” w Oliwie najlepiej świadczyły, jak byliśmy niedojrzali.

Nie mieliśmy w roku 1980 nie tylko partii politycznych, wokół których organizowałyby się nasze działania, ale nie mieliśmy nawet poglądów politycznych. Sama nienawiść do Rosji nie może zastąpić ideologii. „Kroniki bezprawia” uświadamiały nam ogrom zbrodni, ale to było za mało, by powołać trybunał do osądzenia zbrodni ludobójstwa, dokonanego pod stoczną w grudniu 1970. Chociaż piorunem zorganizowaliśmy komitety i wybudowaliśmy pomniki ofiarom tych zbrodni, zbrodniarze pozostali nie osądzeni. Żyją i działają wśród nas do dziś.

Nienawiść do Rosjan nie zrodzi nam ideologii. Czekanie na amerykańską pomoc nie zrodzi doktryny politycznej. Odezwy, manifesty, protesty, dyskusje „przy płonącej fortepianie” i wy-

wiady „samych z sobą”, wypełniające szpalty prasy podziemnej, nie wytworzą nośnego, dynamicznego ruchu społeczno-politycznego, bez którego nie może żyć żadne współczesne społeczeństwo. Tym ruchem politycznym nie staną się przypadkowe manifestacje religijne, bo intencje zgromadzonych milionów ludzi rozprężają się w dymie kadzideł i kunsztownej celebrze. Od kilkunastu miesięcy demonstrujemy światu groźną dla nas ignorancję w sprawach gospodarczych i cielejącą naiwność w polityce.

Ekonomia już dawno zajrzała do naszych garnków, a polityka do fabryk, miejsc zamieszkania, do domów rodzinnych. Autentyczna ekonomia w postaci niedożywienia i autentyczna polityka.

Mieliśmy literaturę „socjalistyczną”, „socjalistyczną” moralność, „socjalistyczną” pedagogikę, „socjalistyczne” planowanie i „socjalistyczną” sprawiedliwość. Czterdziestoletnim dorobkiem pezetpeerii jest totalna nienawiść do socjalizmu, nienawiść do rządów „komucha”, jak pieszczotliwie określają władzę w Polsce robotnicy. Jest coś prawidłowego w tej wciąż demonstrowanej obsesji Rakowskiego, który — nie prowokowany — stale nawraca w swoich wystąpieniach do „problemu” wieszania. Obsesja, czy prawidłowe przewidywanie Rakowskiego? Rakowski, aby się z tej obsesji wyzwolić lub w niej umocnić, niech zafunduje sobie poddyplomowe studia w jakimś uniwersytecie marksizmu-leninizmu. Gilotynowanie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, rozstrzelywanie i wieszanie Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej określane jest przez najwybitniejszych teoretyków marksizmu-leninizmu sprawiedliwym gniewem ludu do znienawidzonego systemu władzy. Jeżeli naród nie ma żadnej innej możliwości wypowiedzenia się, wypowiada się gniewem i nienawiścią. I ten gniew, sprawiedliwy gniew Polaków, jest niezaprzeczalnym dorobkiem pezetpeerii. Tego dorobku nie da się zakwestionować.

Na próżno kaznodzieja z Komorowa nawołuje, by Polacy ułożyli jakoś swoje stosunki z pezetpeerią i żyli obok siebie w „pokojowej koegzystencji”. Było to jeszcze możliwe przed 13 grudnia, lecz po wojnie polsko-polskiej, po wojnie wypowiedzianej przez pezetpeerię całemu narodowi jest to niemożliwe. Nie można pod koniec XX wieku, nie można w Europie proponować społeczeństwu apartheidu rządów „czerwonej” mniejszości nad bezpartyjną większością.

Społeczeństwo, mimo różnych wariactw ekonomicznych pezetpeerii, czegoś się jednak dorobiło. Nędzny był to dorobek jak na Europę, ale Polakom nie zaglądał w oczy głód, nie groziła bezdomność, bezrobocie. Straciliśmy wszystko. Los emerytów jest *memento* dla tych, którzy mają jeszcze siły pracować. Nieunikniona co najmniej piętnastoletnia luka inwestycyjna, przy-

spieszana brakiem remontów, dekapitalizacja resztek tego, co posiadamy, niewymierna w żadnych kategoriach przepaść technologiczna — oto dorobek pezetpeerii, którego nie odrobimy w żadnym wyobraźnym, liczącym w latach okresie. Do tego potrzebny jest zorganizowany wyteżony wysiłek pokoleń, wysiłek zintegrowany wokół spójnych, współczesnych ideologii, reprezentowanych przez żywe, odpowiadające ludzkim aspiracjom partie polityczne. Pezetpeeria nie może być taką partią. Los, jaki swym własnym przywódcom z Gdańska, z Poznania, z Krakowa zgotowała pezetpeeria dowodzi, że we własnych szeregach tępi ona wszystko, co ma jakikolwiek cień autentyzmu.

Młode pokolenie, aby nie popełniać naszych błędów, musi i będzie szukało nowych, sprawniejszych doktryn, bardziej wiarygodnych ideologii. I musi to zrobić, bo inaczej zginie. W poszukiwaniu tych ideologii musi zejść do podziemia, bo nie ma dla tego procesu legalnej drogi. Nie osiągnie tego obrzucając zomowców kamieniami.

Szarpią nas nie jakieś tam problemy ekonomiczne ale widmo, że głodowa racja mięsna zostanie jeszcze okrojona, że na przednówku nie starczy masła i tłuszczu. Jest dla nas Polaków coś uwłaczającego w tym, że serów i masła dostarczają na podbiegunowe kraje, takie jak Finlandia i Norwegia, a w mięso zaangażujemy się w Chinach. Jednocześnie w Polsce wyludniają się i dziczeją przebogate tereny rolnicze w Sudetach, Bieszczady zieją pustką. Tak dogodnych terenów rolniczych nie ma w Norwegii.

Na wszystkie nasze biedy znaleźliśmy uniwersalne samousprawiedliwienie: winien system. Nikt w Europie nie uwierzy, że w kraju tak szczerze wyposażonym przez naturę, w tak spokojnej strefie klimatycznej jak nasza, w kraju w którym na jednym kilometrze kwadratowym żyje prawie 30 osób przygotowanych zawodowo, w tym 10 osób z wyższym wykształceniem, różnych docentów, profesorów, inżynierów, magistrów, filozofów, matematyków, cybernetyków, krytyków teatralnych, socjologów itp., w kraju, który dysponuje dziesięciokrotnie większą ilością instytucji naukowych niż mieszalni pasz, jakikolwiek system może doprowadzić ludność do samozagłodzenia. Zmniejszająca się pomoc charytatywna Europy dla głodujących Polaków jest miarą wygasającej wiary Europy w nas, jako współczesne, europejskie społeczeństwo. I to jest to wielkie zagadnienie polityczne i ekonomiczne zarazem, które gości w naszych garnkach, w naszych żołądkach, w naszych domach. Trzeba było aż dwuletniej blokady amerykańskiej, odcięcia dostaw amerykańskich farmerów, aby jeden z przywódców pezetpeerii, kierownik rolny jej KC i zarazem inżynier „rolnik” dostrzegł związek między rodzimą produkcją pasz a produkcją mięsa i mleka. Każdy pastuch w Polsce

wiedział, że krowa najpierw je, potem robi kupę, a potem daje mleko, a nie odwrotnie. Widać niewłaściwych pastuchów pezetpeeria wykreowała na wicepremierów.

Druga połowa XX wieku w Europie zapisała się już w historii jako epoka integracji sąsiadujących ze sobą państw, wygaśnięcia międzysąsiedzkich nienawiści, które w pierwszej połowie tegoż XX wieku doprowadziły Europę i świat do dwóch nieprzytomnych rzezi.

Nie wolno nam zapominać, że żyjemy w Europie i chociaż wypadliśmy z niej jako liczący się partner współpracy gospodarczej, nie wolno nam wypaść jako liczący się element polityki europejskiej. Ta polityka europejska to nie erupcja nienawiści i pogardy do sąsiadujących narodów, to szukanie za wszelką cenę pomostów współpracy i współzycia. Anglicy bombardowali bezbronną francuską marynarzy w Mars el-Kebir, Niemcy rozstrzelali mieszkańców francuskiej wioski Oradur, a dziś te trzy państwa i trzy narody są filarami zachodnioeuropejskiej wspólnoty. Jeżeli chcemy się w tych stosunkach liczyć, i my musimy dążyć do uregulowania współzycia z naszymi sąsiadami. Nie zrobi tego za nas pezetpeeria. Pezetpeerii nie zależy wcale na uregulowaniu konfliktów polsko-rosyjskich, przeciwnie — stałym podkreśleniem, że jest ona i jej rządy „mniejszym złem” podgrzewa tylko nienawiść i strach przed Rosją. Pezetpeerii zależy przede wszystkim i wyłącznie na utrzymaniu się przy władzy i wybornie posługuje się rosyjskim mieczem wymachując nim nad naszymi głowami. I to jest ta polityka, która zagraża naszym domom. Jeżeli chcemy przeżyć do końca dwudziestego wieku, musimy się pozbyć pezetpeerii chociażby jako pośrednika w stosunkach polsko-rosyjskich.

„Solidarność” udowodniła, jak potężny potrafi być ruch robotniczy. Jednocześnie okres „Solidarności” dowiódł, że sam ruch bez integrujących doktryn, bez spójnych ideologii, bez przywódców i wiarygodnych sposobów wyłaniania tych przywódców jest za słaby, by stworzyć coś trwałego.

Żaden system nie może usprawiedliwiać naszego intelektualnego lenistwa i politycznego marazmu, nie do tolerowania we współczesnej Europie. Żaden system nie może nas uwolnić z dwóch podstawowych obowiązków — wyżywienia się i dogadania i ułożenia współzycia z sąsiadami. Finowie, Norwegia, Chińczycy, dobroczyńcy z Holandii czy z Francji nie będą nas bez końca dożywiać. Ani Mitterrand, ani Reagan nie będą za nas normowali stosunków polsko-rosyjskich. To jest nasz obowiązek, z którego nas nic i nikt nie uwolni. Nie wypełnimy tego obowiązku organizując tumulty uliczne i układając później krzyże z kwiatów. Nie wypełnimy go mnożąc w prasie podziemnej przy-

kłady z „Kroniki bezprawia”. Zacytuję tu tekst homilii wygłoszonej przez czterestu księży z Navarry w 1973 roku: „... Pragniemy jeszcze raz wyjaśnić coś, co ma olbrzymie znaczenie: różniamy wyraźnie to, co jest stanem permanentnego gwałtu od poszczególnych aktów gwałtu. Stan permanentnego gwałtu polega na pozbawieniu większości społeczeństwa jego najistotniejszych uprawnień. Jest to sytuacja, w której — na oczach wszystkich — dokonuje się największego rabunku: pozbawienia większości jej praw na rzecz mniejszości”. „(...) wyrażamy jasno nie tylko prawo, ale i obowiązek przeciwstawienia się ustalonemu porządkowi i prawom, które nim rządzą”.

„Solidarność” była pierwszą naszą próbą zorganizowanej obrony przeciwko prawom, którymi rządziło się bezprawie. Taki związek jest nam potrzebny i dziś. Potrzebny jest on nie tym, którzy są gotowi jeszcze raz i jeszcze raz wdać się w uliczną zadymę, ale tym milionom, które codziennie wstają o czwartej, piątej, szóstej rano i idą do nie swoich fabryk, by wytwarzać rzeczy nie zaspokajające ich potrzeb. Potrzebny jest związek, który by ich bronił na miarę ich aspiracji, związek na miarę ich potrzeb i na miarę ich wielkich możliwości.

Bez takiego związku możemy tylko zdziczeć.



Bóg jeden wie, co dla pezetpeerii oznacza „wyjście z kryzysu”. Pezetpeeria obiecywała to „wyjście” w planie trzyletnim, obecnie mówi o pięcioleciu, ale pokątnie rozpowiada, że „wycho-dzenie” potrwa do końca dekady. Jak ma wyglądać Polska „po kryzysie”, nikt nie wie. Może wypowiedzieliby się na ten temat pyszni panowie z Komitetu „Polska 2000” Polskiej Akademii Nauk!

Czy tym wyjściem będzie osiągnięcie poziomu produkcji z lat osiemdziesiątych? Przecież ogonki gnębiły nas w połowie lat siedemdziesiątych, mimo że stopa życiowa już wtedy odstawała od poziomu NRD, Czech czy Węgier. Luka zaopatrzeniowa rozszerzała się w ostatnim dziesięcioleciu (nawis inflacyjny!!!), a obecnie jest to otchłań nie do wypełnienia. Już trzeci rok rodzi się siedemset tysięcy nowych Polaków i szybko przyrasta grupa emerytów. Dekada lat siedemdziesiątych, kiedy stosunek roczników produkcyjnych do nieprodukcyjnych był tak korzystny, już się nigdy nie powtórzy. Z każdej szuflady rodzinnej ubywa koszul na zmianę, bielizny pościelowej, z szaf ubywa ubrań. To co się wydrze, spierze, znosi, nie jest uzupełniane nowym zakupem.

Na co dzień donaszamy „garnitury wyjściowe” pozostałe nam z lat dobrobytu.

W żarcu wypadliśmy już z tabel, w których można byłoby nas porównać z najędźniej żyjącym narodem Europy. Wydzielamy sobie cukier, kaszę, mąkę, a dwa i pół kilograma mięsa, wolny obrót tłuszczami podtrzymywane są importem. Brak herbaty, kawy, prymitywnych słodczy, owoców cytrusowych podtrzymujących minimum witaminowe sprawia, że zadowolamy się coraz chudszyimi posiłkami regeneracyjnymi. Pod tym względem jesteśmy porównywalni z poziomem życia ludności republik sowieckich i to z lat dwudziestych i trzydziestych.

Utrwała się protekcyjny system zaopatrzenia. Mnożą się różnego rodzaju przydziały, talony, rozdzielniki wzmagające z jednej strony prymitywną działalność spekulacyjną, a z drugiej pogłębiające uczucie niesprawiedliwości przy podziale dóbr. Pod tym względem upodobniamy się w przerażającym tempie do Rosjan. Już teraz cieszymy się ze zdobycia każdej pary kalesonów czy skarpet, nie zauważając, jak ten właśnie system zaopatrzenia staje się jedynym bodźcem do przychodzenia do pracy. Dzięki temu upodobnieniu się do sowieckiego systemu zaopatrzenia może udać się pezetpeerii „poderwać” robotnika polskiego do pracy, zrównać jego wydajność z wydajnością robotnika sowieckiego.

Rosja w każdej epoce cierpiała na niedostatek mocy wytwórczych nawet w stosunku do swoich prymitywnych potrzeb, a dzisiaj ten brak mocy wytwórczych eliminuje ją z wyścigu Wschód-Zachód.

Nikt w Polsce nie wie, ile jest właściwie „unieruchomionych” inwestycji. Nikt w Polsce nie wie, co oznacza termin „uruchomienie inwestycji”. Czy uruchomieniem jest dym z komina? Ruch maszyn na jałowych obrotach? Wyplata premii za wykonanie nieustalonego planu?

Na dobrą sprawę nie ma w Polsce ani jednej fabryki, która byłaby dokończoną inwestycją. Wszystkie nasze zakłady, dosłownie wszystkie są w jakimś sensie kalekie, niepełnosprawne, a cały system wąskich gardeł sprawia, że nigdy nie były one kompletnymi fabrykami. Dwudziestoletnia luka remontowa powoduje, że pracujemy coraz gorzej i coraz drożej. Pod względem energochłonności, stalochłonności i roboczołonności bijemy na głowę gospodarkę rosyjską, chociaż wydawało się, że w marnotrawstwie jest ona nie do prześcignięcia. Tak, ale Rosja może sobie na to pozwolić, bo jest wciąż kontynentem wielkich możliwości i bardzo małych potrzeb.

Dla Rosji uruchomienie i dokończenie naszych porzuconych inwestycji za lat pięć czy za lat dziesięć może się okazać bardzo

efektywne. Rosję i jej konsumenta nie będzie raziło, że podejmuje się produkcję towarów na licencjach z lat siedemdziesiątych czy nawet sześćdziesiątych. Przy głodzie towarów na rynkach rosyjskich każdy wyrób jest cenny. Dla wybranych i uprzywilejowanych grup konsumentów w ZSSR będzie do podziału produkcja fińska, łotewska, estońska czy mołdawska, dla szarego człowieka wystarczy produkcja białoruska, polska czy każdej innej republiki. W tej sytuacji przy „podziale pracy” nie będziemy nawet samodzielną republiką gospodarczą, tak jak Łotwa, ale jakąś dobudówką gospodarki białoruskiej.

W ogólnym bilansie gospodarka Rosji skorzysta, bo włączy do prymitywnej wytwórczości te 20 milionów polskich rąk, te miliardy dolarów, utopione w fundamentach i murach ponad tysiąca obiektów w Polsce, zwiększając tym możliwości przerobowe rosyjskich surowców.

Rosja liczy, że osiągnie zwycięstwo polityczne! Przecież szowinizacja Polski odbywa się w prymitywnym, szowinistycznym „patriotycznym” sosie, wśród hasel „umacniania” polskiej gospodarki i rozbudowywania polskiej demokracji. Gestów patriotycznych nie będą nam szczędzili. Niedługo po żołnierzach w rogatywkach kompanię honorową przemundurują się w stroje wojsk Królestwa Kongresowego. Może nawet na rewersie i awersie szczerozłotego bilonu przeznaczanego do numizmatycznego obrotu ze Stanami Zjednoczonymi dopuszczą orła z koroną i Matkę Boską Częstochowską. Patriotyczne pajacowanie pezetpeerii nic nie kosztuje, przeciwnie, jest zyskowne, jeżeli tylko będzie odwracało uwagę od faktów gospodarczych, od polityki gospodarczej.

Nowe roczniki wchodzą do produkcji i na razie znajdują zatrudnienie. Przyjdzie jednak czas, kiedy nie będzie już wystarczająco samo przychodzenie do pracy, trzeba będzie także trochę popracować. Trzeba będzie zapracować i na tych emerytów, i na tych siedemset tysięcy nowonarodzonych Polaków. Pezetpeeria udostępni Rosji wszystkie inwestycje tak, by mogła ona nimi dowolnie rozporządzać. Przyjdzie czas, kiedy będziemy się cieszyli z każdej pracy, aby tylko była jakaś praca. I to nas najbardziej zbliży do statusu republiki sowieckiej. Będziemy się coraz bardziej oddalali od Europy. Będziemy nieprzydatni w europejskim podziale pracy, a przydatni do podziału pracy w ramach republik sowieckich. Stajemy się klasycznym przykładem działania neokolonializmu.

Nasi eksperci mieli piętnaście miesięcy czasu, aby stworzyć program samoobrony przed penetracją gospodarczą Rosji. Stracili ten czas na studiowanie poczji metafizycznej.

Naszym jedynym bogactwem jest nasza ziemia orna. Tym bogactwem względnie suwerennie i względnie samodzielnie mogliśmy gospodarować, gdybyśmy rolnictwo i jego produkcję potraktowali jako koło napędowe gospodarki. Własny warsztat pracy — gospodarstwo rolne, w miarę decydująca o sobie siła robocza — chłop polski, własne narzędzia, własne przetwórstwo zaopatrujące przede wszystkim własny rynek — to ostatnie szanse obronne przed całkowitą sowietyzacją Polski. Wylizałem już niejednokrotnie, ile to surowców dostarcza rolnictwo dla potężnych gałęzi przemysłu. Tymczasem propaganda pezetpeerii żeruje na antychłopskich nastrojach głodujących miast, szermując rzekomym nadmiernym bogaceniem się chłopstwa. Zanim przyjdzie czas na kolektywizację, my sami tak zaszczujemy rolnika polskiego, że będzie się wstydził swojego zawodu.

Podkreśliłem znaczenie własnych narzędzi dla rolnictwa. Bez nich we współczesnej Europie nie jest możliwa żadna wydajna gospodarka. Tymczasem koła klerykalne pod pretekstem, że nie chcą budować „komuchowi” fabryki czołgów, odwracają się od f a k t u, że rolnictwo zalewane jest dostawami sowieckiego traktora — „włodzimierca”. Trudno ten traktor nazwać najgorszym w Europie. Jest tak zły, że nie wytrzymuje żadnych porównań między dobrym a gorszym wśród europejskich traktorów. Ale dla chłopca polskiego jest to jedyna maszyna, którą może względnie swobodnie nabyć. Po względnym nasyceniu naszego rolnictwa tymi traktorami będzie ono całkowicie i bezpośrednio zależne od Rosji, od dostaw części wymiennych, a przede wszystkim od maszyn towarzyszących. Prawie żadna maszyna produkcji rodzimego przemysłu sprzętu rolniczego nie pasuje do „włodzimierca”. Ale to są fakty zbyt przyziemne, zbyt prozaiczne, by zainteresować nimi naszych metafizyków. Wcześniej czy później Rosja zacznie dostarczać PGR-om swój ciężki sprzęt i wszystkie większe gospodarstwa chłopskie — chcąc nie chcąc — zaczęły wypożyczać ten sprzęt, by uprawiać nim swoje pola. I PGR-y dostaną instrukcje, by ten sprzęt chętnie wypożyczać na „dogodnych warunkach”. Już raz wciągnięto gospodarke chłopską do „kooperacji” w dziedzinie hodowli. Ta kooperacja maszynowa będzie groźniejsza. Od hodowania pegeerowskich byków we własnych oborach można było odstąpić, ale jak odstąpić z korzystania pegeerowskich maszyn przy uprawie pól, jak nie będzie żadnych innych? I tak przy sejmowych gwarancjach własności chłopskiej, przy biciu w patriotyczne bębny i kościelne dzwony wkroczy kolektywizacja i umocni się f a k t a m i d o k o n a n y m i. Przy monopolu GS-u w dziedzinie zaopatrzenia i zbytu, przy monopolu Agromy w skąpym rozdzielaniu maszyn, przy nieograniczonej wszechwładzy pezetpeerii na szczeblu gminy, uza-

leżnienie naszego rolnictwa od dostaw maszyn rosyjskich będzie dla nas groźniejsze niż wkroczenie fizycznych, sowieckich dywizji. To byłaby już formalność ostatnia, by uczynić z Polski republikę sowiecką.

Józef KUŚMIEREK

Październik 1983

List z kraju

2 stycznia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym napisać Panu kilka słów o nastrojach panujących ostatnio w Polsce i o naszym codziennym życiu. Już na początku jesieni można było zaobserwować znaczne ożywienie w niezależnym ruchu wydawniczym. Stare wydawnictwa, takie jak „Krağ”, „Nowa” itp., po letniej przerwie wznowiły swoją działalność. Ale i nowe zaczęły rosnać jak grzyby po deszczu. Od dawna nie pamiętam takiej lawiny książek i czasopism (pomijając naturalnie okres „Solidarności”). Przekrój tematów i rodzajów literackich jest bardzo szeroki — od tomików poezji po poważne monografie naukowe, w których głównie specjalizuje się „Krağ” — chyba najlepsze polskie wydawnictwo podziemne. Najwięcej jest pozycji z dziedziny historii i ta tematyka jest też najbardziej poszukiwana przez czytelników. Oprócz książek i prasy podziemnej wydaje się też różnego typu kalendarze, kartki świąteczne, zdjęcia i „pocztówki z okazji nagrody Nobla”, znaczki z Wałęsą, tzw. „cegiełki” na fundusz wydawniczy, na rozwój kultury niezależnej itp. Jest też sporo taśm z nagraniami homilii papieskich, przemówień, z programami radia „Solidarność” i z piosenkami. Niestety taśmy są bardzo drogie, każda kasetka kosztuje 700 zł (nowych kaset na rynku nie można dostać, więc trzeba je sprowadzać z zagranicy).

Wzmógł się ruch wydawniczy nie wyczerpuje sprawy. We wszystkich większych miastach takich jak Warszawa, Wrocław, Kraków, Gdańsk, Poznań odbywają się liczne imprezy kulturalne. Nie ma tygodnia, żeby w jakimś kościele nie było koncertu, wieczoru autorskiego, odczytu, nie mówiąc o wystawach grafiki i malarstwa. Czasem w ciągu jednego tygodnia jest kilka imprez i nawet trudno jest uczestniczyć we wszystkich, np. w jednym kościele Maja Komorowska recytuje wiersze, a w drugim — w tym samym czasie — Marek Nowakowski ma spotkanie z czytelnikami. Niektóre imprezy są jednorazowe, inne mają charakter bardziej stały, np. w każdy trzeci czwartek miesiąca w kościele Panny Marii na Nowym Mieście odbywa się panel dyskusyjny. Pierwszy z tej serii, który miał miejsce w listopadzie, zapropo-

nowa! jako temat referatów i dyskusji pojęcie narodu w oparciu o wypowiedzi Jana Pawła II. Następny, grudniowy — twórczość, twórca, dzieło. Wszystkie imprezy są otwarte i w zasadzie każdy może w nich uczestniczyć. Większość imprez jest bezpłatna, ale są i takie, które pobierają opłaty za wstęp. Dla przykładu, żeby się dostać na koncert w gmachu archiwum kurii warszawskiej na Solcu, trzeba wykupić bilet co najmniej o kilka dni wcześniej. Uczestnictwo w życiu kulturalnym poza zasięgiem cenzury jest spontaniczne, masowe i ma tendencję wzrostu. Zastanawiając się nad przyczyną tego zjawiska, doszłam do wniosku, że w ciągu ostatniego roku nastąpiła reorientacja postaw wśród dużej części naszego społeczeństwa. Ludzie z coraz większymi oporami biorą udział w manifestacjach ulicznych. Frekwencja spada z miesiąca na miesiąc. Wytworzyło się błędne koło: garstka manifestantów to objaw słabości a nie siły opozycji. Ci, którzy mimo wszystko wychodzą na ulicę, narażają się tym bardziej, im mniej jest ludzi. A więc lepiej nie wychodzić, bo to nie daje żadnych pozytywnych rezultatów, a wręcz przeciwnie, przynosi straty. Po takim rozumowaniu jeszcze mniejsza grupa bierze udział w następnej demonstracji, za to tak zwane „siły porządkowe” rosną i stosunek jednego do drugich staje się odwrotnie proporcjonalny. Ostatnia zalecana przez TKK manifestacja 16 grudnia miała w Warszawie przebieg nieomal groteskowy. Mój przyjaciel szedł po godzinie 16-tej wzdłuż Marszałkowskiej, tak jak było nakazane. Spojrzał w lewo — pięciu milicjantów, spojrział w prawo — drugie tyle; przed nim i za nim — mrowie. A więc z kim idzie? Z milicją? Manifestacje są niewątpliwie potrzebne. Należy od czasu do czasu zaznaczyć swoją obecność w sposób bezpośredni i namacalny, ale tylko w wyjątkowych dniach, przy okazji szczególnej wagi, np. 11 listopada lub też specjalnych okolicznościach, jak 1 maja. I zawsze po mszy św., bo już sam fakt wyjścia tłumy z kościoła organizuje pochód, co ułatwia nam zadanie, a utrudnia działanie milicji.

Zupełnie inaczej wygląda sprawa z drukowaniem i rozpowszechnianiem niezależnych wydawnictw. W tym ruchu bierze udział ogromna liczba ludzi, szczególnie w kolportażu, obejmując swoim zasięgiem wszystkie środowiska i docierając do najdalszych miejscowości w całej Polsce. Oczywiście duże miasta są pod tym względem uprzywilejowane, a środowiska inteligencji twórczej i naukowej — najaktywniejsze. Niemniej — jeśli chodzi o prasę podziemną, krąży ona głównie wśród robotników i młodzieży.

Wielu ludzi uważa, że książka jest teraz najważniejsza, gdyż jest nośnikiem wartości i niezależności sądów, i że naszym moralnym obowiązkiem jest dostarczyć ją możliwie najszerszym kręgom ludności, a szczególnie młodzieży. To jest nasza „praca organiczna” i nasz codzienny tryb życia. Idzie się do pracy, stoi w kolejkach, robi zakupy i przy okazji, mimochodem przenosi z miejsca na miejsce książki i pisemka.

Odnoszę wrażenie, że niemal każdy człowiek z mojego otocze-

nia przyczynia się w jakiejś mierze do rosnącego z miesiąca na miesiąc ruchu oporu. Każdy coś robi w miarę swoich sił, możliwości, talentu: pisze książki i artykuły, bierze udział w koncertach, drukuje, tłumaczy, recytuje wiersze, przynosi pisemka, zbiera składki, maluje obrazy, kolportuje książki, organizuje dyskusje. Jest w to wszystko zaangażowana ogromna ilość ludzi. Trudno oszacować wielkość naszego ruchu, ale na pewno w tej chwili są to już setki tysięcy.

Jest też duża liczba ludzi skupiona wokół pomocy charytatywnej (często są to ci sami ludzie, którzy dzielą swój czas pomiędzy pracę zawodową, kolportaż i dyżury u św. Marcina). Pomoc zagraniczna kurczy się, czemu nikt w Polsce się nie dziwi, ale z czego należy wyciągnąć wnioski. Sytuacja materialna społeczeństwa jest bardzo trudna, nadziei na wyjście z kryzysu nie ma żadnej, wręcz przeciwnie, spodziewamy się, że będzie jeszcze gorzej, że stopa życiowa ludności będzie się obniżać i że coraz większa liczba ludzi znajdzie się w krytycznej sytuacji. Na jesieni, po opublikowaniu w gazetach proponowanej podwyżki cen na artykuły żywnościowe, ludzie wpadali w panikę — każdy obliczał swój budżet rodzinny i stwierdzał z przerażeniem, że nie wystarczy na zaspokojenie elementarnych potrzeb. Przewidywano, że na wyżywienie jednej osoby trzeba będzie wydać przeszło 8 tysięcy złotych, ograniczając się do produktów na kartki, chleba, białego sera, kartofli i jarzyn. Być może podwyżki cen nie będą tak wysokie jak zapowiadano; mimo wszystko ludzie się tego boją, zaś władza boi się reakcji społeczeństwa, a więc zwleka z ostateczną decyzją. Niezależnie od spodziewanej „dużej” podwyżki, istnieje proces ciągły podwyżek „małych” na różne artykuły, głównie przemysłowe. Wszystko po prostu drożeje z dnia na dzień. W tej sytuacji wzajemna pomoc, a szczególnie pomoc dla rodzin aresztowanych i zwolnionych z pracy staje się problemem numer 1.

Komisja Charytatywna Episkopatu ma coraz mniejsze zasoby na udzielanie takiej pomocy. Drastycznie zmniejszyła się ilość transportów z żywnością i odzieżą, przychodząca z zagranicy i coraz mniej jest pieniędzy na niezbędne wydatki. Ten problem będziemy musieli rozwiązać sami, opierając się coraz bardziej na zbiórkach krajowych. Nie tylko Kościół zajmuje się uwiezionymi i ich rodzinami, ale także ludzie świeccy (np. w listopadzie pojechał do Lubinia duży transport z odzieżą i żywnością dla rodzin 17-tu skazanych w ostatnim procesie. Całą zbiórkę zorganizowało parę osób, ale wielu ludzi brało w niej udział jako ofiarodawcy).

Może wyda się Panu, z tego co tu napisałam, że jest to obraz zbyt optymistyczny, jakby „życzeniowy” i że w rzeczywistości społeczeństwo polskie jest znacznie bardziej pasywne, przygnębiające pogłębiającym się kryzysem, beznadziejnością walki i brakiem perspektyw na bliższą, a nawet dalszą przyszłość. Sądzę, mimo wszystko, że są w naszym narodzie ogromne pokłady energii, żywotności i woli nie tylko przetrwania, ale także niepodda-

wania się narzuconej nam przez władzę sytuacji i że symptomy tej woli oporu widoczne są na każdym kroku.

Nazwisko znane Redakcji

DO REDAKCJI KULTURY

W nawiązaniu do tekstu Stanisławy Bogdańskiej ze styczniowego numeru *Kultury* chciałbym podzielić się uwagami o RWE, pisanymi z perspektywy słuchacza krajowego, przebywającego od niedawna za granicą. W świadomości słuchaczy polskich rozgłośnia monachijska funkcjonuje na zasadzie mitu pozytywnego; dostarcza wiarygodnych — jakby się zdawało — wiadomości o Zachodzie, i jest ważnym czynnikiem kształtowania opinii społeczeństwa. Słuchając obecnie nie zagłuszanych audycji dostrzegam szereg negatywnych zjawisk, po części opisanych w artykule S. Bogdańskiej.

Jako przybysza z Polski uderza mnie rozbieżność pomiędzy rzeczywistością Europy Zachodniej a obrazem, jaki przedstawia „Wolna Europa”. Jednym z przykładów jest komasacja informacji o przejawach solidarności Zachodu ze społeczeństwem polskim, co spowodowało, że przed wyjazdem z kraju byłem przekonany o jednolitej antykomunistycznej postawie, panującej jakoby w tej części Europy. Jest to szczególnie nieprawdziwe w odniesieniu do RFN, gdzie Radio Wolna Europa ma swoją siedzibę, ale o kraju tym trudno w programach rozgłośni cokolwiek usłyszeć... Jak wiadomo, bardzo duży procent społeczeństwa i elit intelektualnych Niemiec Zachodnich drażony jest przez chorobę pacyfistyczno-odprężeniową, manifestującą się antyamerykanizmem, skierowanym w swej istocie przeciwko Zachodowi. *Post factum* mogłem stwierdzić, że od początku stanu wojennego w czołowych tygodnikach zachodniemieckich odbywał się flirt pomiędzy miejscowymi dziennikarzami i dygnitarzami PRL, którzy ochocho zapewniali, że „spokój panuje w Warszawie”. Sprawy te, znane czytelnikom *Kultury*, obce były krajowemu słuchaczowi RWE.

Sprawa komentarzy politycznych na tematy krajowe: w pierwszym po 13 grudnia artykule Adam Michnik napisał, że „Solidarność” nie zmierzała do „socjalizmu o ludzkim obliczu”; zamiast tego miał być „komunizm z wybitymi zębami”. Jakby wbrew immanentnej logice wydarzeń i odczuciom społecznym redaktorzy RWE często dostarczają obydwu stronom konfliktu rad, jak zęby te należy leczyć. Czyż nie za często daje się zauważyć w programach rozgłośni naiwna wiara w reformowalność komunizmu i dobrą wolę Jaruzelskiego?

Nie potrafie zrozumieć stanowiska rozgłośni wobec brazylijskiego wywiadu kardynała Glempa, którego wcześniejsze wypowiedzi przyjmowane były w kraju jako co najmniej kontrowersyjne. 2 marca, gdy zachodnie środki przekazu omawiały ten wywiad jako sensację, Wolna Europa milczała. Oczekującym na reakcję polskiej radiostacji słuchaczom zaaplikowano w tym dniu rozmowę specjalistów od spraw Kościoła — redaktorów *Cywińskiego* i *Nowakowskiego* — na temat zgoła inny. Omawiano, posługując się językiem eufemistycznym, sprawę przeniesienia księdza Nowaka z parafii w Ursusie na prowincję, starannie wyciszając akcenty o zabarwieniu konfliktowym. I tym razem instytucja powołana do szybkiego i rzetelnego informowania — zawiódła.

Jako osoba przebywająca czasowo na Zachodzie nazwisko i adres podaje wyłącznie do wiadomości Redakcji.

Z wyrazami szacunku

(Powyższy list otrzymaliśmy 15 marca 1984 — Red.).

Sprawy i troski

Rzymska szansa

WYWIAD ZE ST. FRANKIEWICZEM

W ostatnim (8-10) numerze *Więzi* ukazała się rozmowa Cezarego Gawrysa ze Stefanem Frankiewiczem, członkiem kolegium redakcyjnego miesięcznika, krytykiem literackim (jemu zawdzięczamy doskonałe dwutomowe wydanie „Pism zebranych” Jerzego Lieberta), od przeszło trzech lat współredaktorem polskiego wydania *L'Osservatore Romano*. Przedrukujemy z *Więzi* obszerne fragmenty tej rozmowy, z pominięciem rzeczy mniej ważnych i mniej ciekawych dla czytelników *Kultury*.

— Od przeszło trzech lat współredagujesz polskie wydanie *L'Osservatore Romano*. Zacznijmy zatem naszą rozmowę od dziennika watykańskiego o tej właśnie nazwie, a także od charakterystyki jego polskiej wersji.

— Historia watykańskiego dziennika liczy już 122 lata. Powstał on w roku 1861 za panowania papieża Piusa IX, trzy lata przed encykliką „Quanta cura”, potępiającą liberalne prądy polityczne i umysłowe, zasadę wolności sumienia i prasy, a dziewięć lat przed ogłoszeniem przez Piusa IX dogmatu o nieomylności papieża w sprawach wiary i moralności, a także skazaniem siebie i swoich następców na sytuację „więźnia Watykanu”. Patron watykańskiego dziennika znany jest polskiej historiografii jako papież, który był niechętny powstaniu styczniowemu. (...)

Dziennik *L'Osservatore Romano*, choć nie jest oficjalnym organem Stolicy Apostolskiej (taką funkcję spełniają *Acta Apostolicae Sedis*), dość powszechnie odbierany jest jako taki właśnie, najbardziej autorytatywny głos Watykanu. Ta opinia odnoszona jest także do tej części dziennika, którą sygnalizuje już jego podtytuł: „Codzienne pismo polityczno-społeczne”. Informacje na temat wydarzeń politycznych we Włoszech i w świecie zajmują niemałą część każdego numeru, umieszczane są nierzadko już na pierwszych kolumnach dziennika. Zarzuca się czasem pisemu, że poprzestaje na informacji, że nie opatruje ich własnym

komentarzem. Myślę, że częściową odpowiedzią na tego rodzaju dziennikarskie zarzuty są słowa wieloletniego wicedyrektora pisma, Federico Alessandrino, zamieszczone w pierwszym numerze polskiej edycji: *Im bardziej dziennik wierny jest faktom i rzeczywistości, im wierniej ukazuje dzień po dniu te fakty, tym mocniej tkwi w historii.* (...)

Wręczony Ojcu Świętemu w Wielką Sobotę 1980 pierwszy numer pisma, a jeszcze bardziej numery następne — różniły się od naszych pierwotnych zamierzeń, nie tylko zresztą przez brak w nich informacji na temat wydarzeń politycznych, tych szczególnie dotykających sumienia i zbiorowej odpowiedzialności świata, ale i planowanej kroniki wydarzeń kulturalnych czy w ogóle publicystyki. W listopadzie tego właśnie roku zostały podpisane ostatecznie dokumenty, umożliwiające stałe docieranie pisma do Polski. W odróżnieniu od innych edycji językowych — polskie wydanie nie może korzystać z tego punktu regulaminu *L'Osservatore Romano*, który przewiduje publikowanie informacji o życiu Kościoła na tym obszarze językowym, do którego pismo jest adresowane.

Polska edycja *L'Osservatore Romano* ukazuje się co miesiąc, rzadziej niż pięć pozostałych wydań: francuskie, niemieckie, hiszpańskie, portugalskie i angielskie; wydania te, powstałe jeszcze za pontyfikatu Pawła VI, ukazują się co tydzień. Miesięcznikowy charakter pisma zmusza do takiego wyboru papieskich wypowiedzi i dokumentów, aby lektura pisma, liczącego 32 strony, pozwalała na zapoznanie się z zasadniczymi kierunkami działalności Ojca Świętego i Stolicy Apostolskiej. Czasami, gdy chodzi zwłaszcza o liczne przemówienia wygłoszone podczas podróży apostolskich, nie jest to zadanie łatwe. Szczególnie znaczenie w przypadku polskiego czytelnika posiadają niewątpliwie dwa fakty: to, że pismo przynosi najczęściej teksty w języku polskim wcześniej niepublikowane, i że są to teksty integralne, a więc umożliwiające poznawanie papieskiego nauczania i życia Kościoła w sposób obiektywny i udokumentowany, a więc wolny od wszelkich dziennikarskich manipulacji. (...)

Ten polski akcent edycji uzupełniają ważniejsze dokumenty Konferencji Episkopatu Polski, których publikacja — wobec ograniczonych możliwości wydawniczych w kraju — posiada na pewno szczególne znaczenie.

Przeszło trzyletni okres ukazywania się polskiej edycji potwierdził całkowicie celowość jej powstania. Najbardziej wymownym tego świadectwem jest nakład pisma, wynoszący obecnie 130 tysięcy egzemplarzy. Nakład wyjątkowy w historii wszystkich wydań językowych, rozchodzących się w nakładach wielokrotnie niższych od naszego; nawet sam dziennik *L'Osservatore Romano* ukazuje się w nakładzie zaledwie kilkunastu tysięcy egzemplarzy. To żywe zainteresowanie pismem stanowi dla przygotowującego go zespołu, złożonego, podobnie jak w edycji niemieckiej, niemal wyłącznie z ludzi świeckich (trzy osoby w samej redakcji, w tym

redaktor naczelny pisma, ks. Adam Boniecki, jedna osoba pisząca na teletypie i jedna zajmująca się sprawami prenumeraty) — potrzebną zachętę w codziennej pracy. (...)

— *Wybór Jana Pawła II stworzył przed pięciu laty historyczną szansę dla obecności polskiej kultury w świecie. Uprzywilejowanym miejscem, w którym obecność ta mogłaby się wyrażać, jest Rzym. Jak oceniasz wykorzystanie tej szansy na przestrzeni czterech lat spędzonych w Wiecznym Mieście?*

— Wiele razy w ciągu tych lat przypominały mi się wypowiedzi wybitnych przedstawicieli polskiej kultury, które po 16 października 1978 opublikowała *Więź* w ankiecie związanej z wyborem Jana Pawła II; wypowiedzi, w których — już na wstępie obecnego pontyfikatu — była nie tylko radość z powodu nieoczekiwane powstania tej szansy, ale i świadomość, że zadanie nie będzie łatwe, że będzie ono wymagało trudnego odejścia od postawy tryumfalizmu, od zachłyśnięcia się „naszym” szczęściem... Od tamtego czasu minęło pięć lat. Pięć lat, podczas których sam Papież wielokrotnie zdawał się pośrednio przypominać nam wszystkim — i to przed światem — o ważności tej szansy, mówiąc i o życiowym znaczeniu kultury w polskiej historii, i o naszym miejscu wśród narodów Europy. To „korzystanie” samego Papieża z możliwości mówienia o kulturze jego rodaków zawsze ujawniało precyzyjny model kultury i pełnionych przez nią dziejowych powinności. Tak było np. w przypadku przemówienia w siedzibie UNESCO 2 czerwca 1980 roku, w którym podkreślona została zwłaszcza prawda o tym, że polska kultura jest wyrazem suwerenności społeczeństwa i suwerenności człowieka.

Wyraźnie zarysowany model kultury, uporządkowany hierarchicznie obraz jej społecznych zadań wczoraj i dziś — bez tego wszystkiego niemożliwe wydaje mi się jakiegokolwiek zorganizowane działanie, mające na celu krzewienie naszej kultury wśród obcych. Od ethosu tej kultury w nas samych, od pełnej świadomości zachodzących w niej przemian zależy w dużej mierze „co” i „jak” staramy się przekazać innym. Dotyczy to także kultury chrześcijańskiej.

Kultura chrześcijańska... Wiosną 1975 roku, podczas dnia skupienia na Jasnej Górze z okazji 30-lecia *Tygodnika Powszechnego*, ówczesny Arcybiskup Krakowa — mówiąc o zadaniach środowisk laikatu na polu kultury — zwrócił się do zebranych z następującym wezwaniem: *Nie pozwólcie zamknąć się w zakrystii.* Tę przestrożę obecnego Papieża odebrałem wtedy nie tyle jako przypomnienie historycznych związków, łączących polską kulturę z chrześcijaństwem — to oczywiście dla wszystkich, ile jako wyraz tej świadomości, która na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat coraz bardziej kształtowała naszą wizję kultury. Tę wizję, w której niezwykle ważne miejsce zajmuje polski fenomen: z jednej strony otwarcia się Kościoła na świat wartości nie zawsze powstałych w kręgu jego bezpośredniego oddziaływania, z drugiej zaś —

ciążenia ku Kościołowi najbardziej niezwykłych indywidualności, często nawet bez identyfikowania się z całym jego systemem ocen i wierzeń. O tym, jak silnie ów podwójny proces ukształtował nasze dzisiejsze rozumienie chrześcijańskiej kultury, nasze przekonanie, że literatura chrześcijańska to nie tylko i nie przede wszystkim poetyckie inwokacje do Boga, kantyczki i hymny, mogłem się przekonać przed dwoma laty podczas wygłaszania serii odczytów w środowiskach polonijnych w Londynie, m.in. w tamtejszym duszpasterstwie akademickim oraz w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Proces ten rozumieli szczególnie wyraźnie i bezbłędnie ci studenci, którzy wychowali się w Polsce i dla których np. pisarska współpraca Antoniego Słonimskiego z *Tygodnikiem Powszechnym* czy *Więzią* stanowiła jedno z najbardziej znamienitych, symbolicznych świadectw głębokiej przemiany w naszej powojennej świadomości i kościelnej, i kulturowej.

Wydaje mi się, że tej właśnie prawdy o współczesnym Kościele w Polsce jako miejscu spotkania czy — jak to określił kardynał Stefan Wyszyński — azyłu dla wielu najwybitniejszych przedstawicieli narodowej kultury, zwłaszcza kultury literackiej, nie wolno pomijać w realizowaniu tej szansy, o której była mowa na początku. Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, Sacrosongi, działalność wielu duszpasterstw akademickich i dawnych Klubów Inteligencji Katolickiej, inicjatywy w zakresie kultury podejmowane na KUL czy w warszawskiej ATK — to szczególnie ważne fakty społeczne, w których od lat wyraża się prawda o naszej współczesnej kulturze chrześcijańskiej jako zjawisku otwartym, nie gettowym, nie zakrytym. Te i wiele innych faktów, znamienitych i dla powstającej u nas w kręgu Kościoła kultury, i dla utrwalających się form uczestnictwa w życiu kulturalnym, warto by pokazywać zwłaszcza tutaj, w Rzymie, gdzie ze szczególnym zainteresowaniem obserwuje się Papieża z Polski, z dalekiego kraju, a także Kościół jego rodaków. Kościół, którego prawdę wymownie wyrażały przed paru laty telewizyjne obrazy gdańskiej stoczni z wizerunkami Matki Boskiej Częstochowskiej i Jana Pawła II, a ostatnio — nieprzebranych tłumów na szlaku papieskiej pielgrzymki. W obrazie tego Kościoła, utrwalanym zwłaszcza przez środki masowego przekazu, brakuje mi bardzo często tej niezwykle ważnej prawdy o nas, jaką stanowi chrześcijańska kultura: nie folklor, nie zasypane śniegiem górskie kościołki, nie świadectwa paternalistycznego mecenatu, ale zapisywane językiem kultury ślady naszej drogi ku zbiorowej dojrzałości, ku intelektualnej i artystycznej niezależności. O tej właśnie rzeczywistości, która w znacznym stopniu jest próbą odpowiedzi na to, co Tadeusz Mazowiecki określił jako *pytania ludzkiego losu w drugim świecie*, wyrażając w pierwszych miesiącach polskiego pontyfikatu nadzieję nas wszystkich, że pytania te *wejdą i w zbiorowe doświadczenie chrześcijaństwa, i w obieg uniwersalnej kultury* — trzeba by właściwie zacząć tutaj mówić. Poważnego dzielenia się z innymi prawdą o naszej duchowej rzeczywistości nie zastąpią działania przypadkowe, odczyty dla pol-

skich zakonnic i księży, uczestnictwo w szlachtetnych skądinąd włoskich inicjatywach wydania — niestety, po amatorsku — wierszy Norwida i Jastruna, Wyspiańskiego i Miłosza — z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej na okładce... Potrzebny jest precyzyjny program. Program, który by uwzględniał pogłębiony, nie zakryty obraz polskiej kultury. I który by odpowiadał soborowej zasadzie subsydiarności — właśnie w tej dziedzinie, która w Polsce jest niewątpliwą zasługą i terenem szczególnego świadectwa ludzi świeckich. Dojrzały, całościowy program zabezpieczyłby też nasze działania przed anachronicznym odstawianiem od tego, co w niełatwych przeciw warunkach udało się osiągnąć w kraju. Zabezpieczyłby we wszystkim — od dzisiejszych „koszmarków” językowych poczynając, które dość powszechnie towarzyszą ukazującym się tutaj polskim książkom o obecnym pontyfikacie.

Pogłębiony i integralny program naszych przyszłych działań to także sprawa potrzebnych sojuszników, sprawa życzliwych nam ludzi i instytucji. Myślę, że i tutaj, analogicznie do nieintegrytacyjnego charakteru współczesnej kultury chrześcijańskiej w Polsce, nasza współpraca z innymi nie może stwarzać wrażenia getta. Kryterium naszych wyborów i sojuszy nie może stanowić jedynie temperatura entuzjazmu wobec polskiego pontyfikatu i polskich spraw. Rozszerzając tę uwagę chciałbym powiedzieć, że wydaje mi się, iż Polacy w ogóle, we wszystkich swoich działaniach tutaj podejmowanych, winni się znajdować w ostatnim szeregu tych, którzy głośno demonstrują swój tryumfalizm i poczucie swej jedyności. Pokora i roztropność, cnoty na pewno niełatwe, potrzebne są zwłaszcza nam, w szczególności sposób zobowiązany do pójścia w głąb tej tajemnicy, która została nam powierzona przed pięcioma laty. A także później — 13 maja 1981. Zetknięcie się z tajemnicą, zwłaszcza taką, która dotyka nas wszystkich — domaga się jednego zwłaszcza: milczenia. Milczenia, które pozwala w prawdzie i z pokorą zobaczyć siebie w obliczu znaków. Siebie i swoje zadania. Także te historyczne, jak określiłeś na wstępie naszą kulturową szansę. (...)

— *Na jesieni 1980 roku uczestniczyłeś w pielgrzymce Jana Pawła II do Republiki Federalnej Niemiec. Co z tej niezwykle ważnej papieskiej podróży utkwilo ci przede wszystkim w pamięci?*

(...) Może nade wszystko przyjęcie, jakie wieczorem 15 listopada, w pierwszym dniu podróży, odbyło się w rządowej rezydencji Augustsburg w Brühl, nieopodal Bonn. Przyjęcie, podczas którego oficjalne przemówienia wygłosili prezydent Carstens, a potem Jan Paweł II (...) Oslepiające światła reflektorów pozwalały uchwycić każdy najdrobniejszy szczegół w postawie przemawiającego papieża, który mówił bardzo wolno, z wyraźnym wysiłkiem, z pauzami... Mówił o potrzebie pracy na rzecz pokoju w świecie, o odpowiedzialności krajów rozwiniętych za Trzeci Świat, o przyszłej zjednoczonej Europie, o procesie pojednania

Niemców i Polaków, dotykając przy tym najczarniejszego okresu we współczesnej historii niemieckiego narodu. Od wielkiej doniosłości i moralnej, i politycznej tych tematów nie mniej ważna wydała mi się wtedy — i ją zapamiętałem przede wszystkim — sama postawa przemawiającego Jana Pawła II. Postawa, która zdawała się mieć na uwadze także i ten problem, o którym Maritain pisał, że wszystkich nas trzyma za gardło: problem winy niemieckiego narodu. *Nie jest dobrze dla jakiegoś ludu — czytamy w „Humanisme intégral” — upokarzać się przed innymi. I nie jest dobrze dla ludu — zeszywnieć w pysze. Jest sposób bicia się w piersi godzący się na pohańbienie, który niweczy godność narodu. Jest sposób bicia się w piersi z jednoczesnym zakłamaniem swego sumienia i syceniem nienawiści, która nie mniej okrutnie niweczy tę godność.* Jan Paweł II zdawał się całym sposobem swej papieskiej służby godność tę przywracać i podkreślać: z pokorą i po ludzku — bardzo wiarygodnie. (...)

Irackie rozmowy (3)

W Bagdadzie odprawiane są każdej soboty nabożeństwa dla Polaków: dwie msze między szóstą a ósmą wieczór. Niewielki kościółek znajduje się w bocznej uliczce, w pobliżu nowoczesnego gmachu Teatru Narodowego. W godzinach nabożeństw spotkać można w okolicy wiele pojazdów z napisami polskich przedsiębiorstw — Polimex-Cekop, Polservice, Budimex... Pomiędzy japońskimi łazikami i mikrobusami stoją stare, rozklekotane polskie autobusy marki San, żuki, nysy... Mijani przechodnie mówią po polsku. Idą do kościoła. Mój przewodnik Wiesiek, obeznany w tych sprawach, mówi mi: „Dla niektórych wyjazd do kościoła jest jedną z nielicznych okazji dostania się do miasta. Idą na lody, popatrzeć na ludzi i przeciskające się ulicą samochody. To duża atrakcja dla kogoś, kto cały swój czas dzieli pomiędzy pustynny camp i plac budowy”.

Kościół pod wezwaniem św. Józefa na co dzień służy parafii arabskiej. Na prawo otwarte wąskie drzwi, za którymi zakonnica prowadzi niewielką księgarenkę. Wszystkie teksty są w języku arabskim. Dalej na prawo szerokie wejście, zza którego dobiegają uderzenia piłeczki ping-pongowej. Trochę bliżej na lewo wisi oszklona gablotka na ogłoszenia. Widnieje tam napisana po polsku informacja o zmianie godzin mszy św. oraz przypięta pineską karteczka: „Józek S. — będę tutaj 15. 10 o godz. 6.00 — Adam”.

A więc i w Bagdadzie, jak w wielu innych miastach świata, kościół jest miejscem spotkań rodaków.

— Aby się tu znaleźć, niektórzy muszą pokonać sto, dwieście kilometrów — mówi Wiesiek.

Czy mają z tym jakieś trudności? — pytam.

W takiej odległości od kraju — odpowiada Wiesiek — nawet „czerwoni”, którzy przeważają wśród kierownictwa, obawiają się sprzeciwić Bogu. Jednak trudności transportowe sprawiają, że nie wszyscy potrafią tu dotrzeć.

No cóż, „trudności transportowe” to jedna z autentycznych specjalności kraju nadwiślańskiego.

Na ścianie wisi przyklejony taśmą rozłożony egzemplarz *Tygodnika Powszechnego*. Zwraca uwagę zakreślony kolorowym pisakiem ustęp o fundacji pomocy rolnictwu indywidualnemu. W tym miejscu zgromadziło się kilkanaście osób.

— To byłaby jakaś prawdziwa pomoc z Zachodu — mówi mężczyzna w średnim wieku; ogorzała twarz, spracowane żylaste ręce — robotnik. — Ale utopią i to, chyba żeby wzięli do tej fundacji na pół etatu urzędników z ministerstwa rolnictwa. — Wszyscy się śmieją.

— Nie posmarujesz, nie pojedziesz — usiłuje ktoś inny kontynuować dowcip.

Dalej pisak podkreślił fragment poświęcony moralnym aspektom złamania umów gdańskich. Już nie ma się z czego śmiać.

Przez szerokie drzwi wkraczamy do świątyni, która wyglądem i kształtem przypomina niedużą halę fabryczną. W wąziutkiej prawej nawie zwracają uwagę wylizane kratki klimatyzacji. W lewej nawie błyszczą gołe, grube przewody z blachy cynkowej. W środku stoją ciemnobrązowe drewniane ławki z pulpitem na modlitewnik. W nawach bocznych siada się na niewygodnych metalowych krzesłach, pokrytych plastykiem, jakich pełno jest w irackich instytucjach. Ściany są pokryte cienką warstwą jasnego tynku, spod której przebijają spoiny muru. W niektórych miejscach tynk zaczyna odpadać. Na suficie pomalowanym bordową farbą widać regularne ślady deskowania. Można podejrzewać, że jest to efekt zamierzony.

Prezbiterium zajmuje co najmniej trzecią część sali. Z przodu, na dwustopniowym podniesieniu, ołtarz obok połączanego krzyża. W głębi ustawiono z lewej strony ambonę, z której wystaje mikrofon. Razem przypominają świecką mównicę. Po prawej stronie wisi nisko zawieszony niewielki współczesny wizerunek głowy Chrystusa.

Skromnie wygląda kościół, przeznaczony dla tych kilkunastu tysięcy rodaków Ojca Świętego, którzy przybyli do Iraku sprzedawać swoją pracę w nadziei, że wrócą do kraju bogaczami.

Wiesiek dodaje: „To nie jest jedyne miejsce. Podobne msze odprawiane są na północy w Mosulu i na południu w Basrze”.

Razem kilka nabożeństw tygodniowo. Nie jest to wiele. Jed-

nak w kościele nie ma tłoku. Niezwyczajny to widok dla przybysza z krainy, w której kościoły pękają w szwach.

Na sali przeważają mężczyźni w wieku produkcyjnym, wygoleni, starannie uczesani, w odprasowanych spodniach i koszulach. Niektórzy przyszli nawet w marynarkach, ale z powodu upału ściskają je w rękach.

Przyglądam się twarzom. Niełatwo jest w roku 1983 odróżnić inteligenta od robotnika. Zaryzykuję jednak twierdzenie, że obok robotników są tutaj inżynierowie oraz urzędnicy z campów. Jest ich nawet sporo. Może dlatego, że dysponując samochodami, łatwiej mogą dojechać do kościoła. Wchodzące między ławki nie liczne kobiety odprowadzane są ukradkowymi, pełnymi napięcia spojrzeciami samotnych mężczyzn. Wspomnienie żony, rodziny, czy tylko pożądanie? Niektórzy przez całą mszę nie spuszcza pełnego zadumy wzroku z kilkorga dzieci, które znalazły się między wiernymi. Gdzieś daleko, tysiące kilometrów stąd rosną i mądrzeją ich własne — pozbawione całymi miesiącami ojcowskiej opieki.

Wśród przybyłych widać kilka kobiet w towarzystwie arabskich mężów. Jedna z nich mówi mi: „Mieszkam z mężem w dużym domu wśród licznej arabskiej rodziny. Przyznam się, że w kraju nie bardzo znajdowałam czas na religię. Ale teraz kościół jest jedynym miejscem, gdzie raz w tygodniu mogę odechnąć polskością. Tutaj zrozumiałam, co to znaczy ojczyzna i patriotyzm, a chyba nie byłam patriotką wychodząc za mąż za cudzoziemca. Przepraszam za wielkie słowa, ale tak zaczyna się myśleć, jeśli jest się zamkniętym dzień po dniu w obcym środowisku i do tego wszystkiego obserwuje się, jak własne dzieci oddalają się od nas... Niech Pan sobie wyobrazi, że moja trójka dzieci śmieje się ze mnie, że nie rozumiem wszystkiego po arabsku”.

Wszedł kapłan. W białych liturgicznych szatach wyprostowany, barczysty trzydziestolatek o wyglądzie intelektualisty, z brodą i w okularach. Francuz. Po każdej wypowiedzi zdejmuje okulary i przeciera czoło białą chusteczką. Usiłuje mówić po polsku. W walkę z tym trudnym językiem wkłada wiele wysiłku i starań. Tłumek wiernych jakby na przekór zagranicznemu celebrantowi wymawia słowa modlitwy nieprawdopodobnie dokładnie, równo, wyraźnie, jakby to była lekcja zbiorowej deklamacji w warszawskiej szkole aktorów, a nie zwyczajna msza święta na końcu świata.

Ewangelię czyta i niektóre modlitwy prowadzi już zwyczajnie po polsku pomocnik księdza. Przyjechał kilka tygodni temu z Wrocławia na trzyletni kontrakt w bagdadzkich wodociągach. Młody, przystojny, panie są weń zapatrzone, ubrane zwyczajnie, sportowo. Może chciał kiedyś zostać księdzem? Jest mechanikiem, ma żonę, niedawno doczekał się upragnionego syna.

— Polski ksiądz mógłby dla nas zrobić dużo dobrego. Mógłby odwiedzać nasze campy i tam odprawiać nabożeństwa. Pocz-

libyśmy się mocniejsi, ważniejsi w tej międzynarodowej gromadzie. Wśród Europejczyków chyba tylko Jugosłowianie są liczniejsi od nas. Krażyła wśród ludzi petycja o księdza-rodaka. Podobno zebrano kilka tysięcy podpisów... i nic. Proszę cię, napisz o tym koniecznie”. Więc napisałem. Niech to będzie kolejny podpis na petycji do władz kościelnych.

Msza jest krótka. Kapłan przystąpił do złożenia Najświętszej ofiary. Komunię św. przyjęło kilkanaście osób. Wracają na swoje miejsca poważni, trochę speszeni tym wystawieniem na ogólny widok w pustawym, jasno oświetlonym kościele. W ruch idą koszyki na datki. Trzy. Osobno dla każdej nawy. Dzwonią zagraniczne monety. Jednak niezbyt często. Polak drugiej połowy XX wieku jest za granicą oszczędny. Nawet w kościele. Może zbiera dary dla swej rodzinnej parafii?

Celebracja dobiega końca. Mechanik z wodociągów intonuje wielką pieśń „Boże, coś Polskę...”. Odpowiada mu mocny chór głosów, posłusznych bez dyrygenta jednemu przeżyciu, jednej myśli, jednemu pragnieniu. Pieśń potężnieje z każdą chwilą, wypełnia budynek. Przy kolejnych zwrotkach ani chwili wahania — wszyscy znają słowa i melodię.

Teraz to już nie jest kościółek na skraju Ziemi. Jest to mocny polski Kościół. Pieśń daje nam uczucie wspólnoty: jesteśmy z jednego plemienia. Moment przerwy w codziennych swarach, nieporozumieniach, zawiściach. Komuś bardzo zależy, żeby ten nastrój współpracy nie opuścił murów świątyni, bo wtedy powstaje solidarność... „Solidarność”. Inaczej, gdzie dwóch się bije... Komunistyczna socjotechnika, wypróbowana, skuteczna.

Pieśń milknie. Cisza. Nikt nie rusza do wyjścia, mimo że ksiądz już nie ma. Krótkie oczekiwanie, jakby Msza św. miała rozpocząć się od nowa. Dopiero po chwili wierni kierują się do wyjścia.

Tymczasem na dworze zapadł zmrok, gwałtownie, jak to bywa pod tą szerokością geograficzną, bez naszego długiego, północnego zmięrczu. W ciemności rozpoczynają się poszukiwania pozostawionych w wąskich uliczkach pojazdów. Zwyczajne rozmowy: „Jak do Ciebie trafić?”, „Czy jutro będzie czynny Resident Department?”, „Za ile kupiłeś ten zegarek?”.

Skończył się kolejny polski wieczór w Bagdadzie.

Danek TURCZYŃSKI

Październik 1983

P.S. Z OSTATNIEJ CHWILI. ZADUSZKI W BAGDADZIE.

Polacy spotkali się na cmentarzu brytyjskim, gdzie Polska Armia Wschód pozostawiła kilkanaście grobów. Mnóstwo świeczek i kwiatów złożyła polska ambasada. Wszystkie nagrobki zostały opasane wąskimi białoczerwonymi szarfami ze znakiem „S”. Zapytany w tej sprawie przedstawiciel ambasady uśmiechnął się: — „To jest z innej Polski”. Było to proste stwierdzenie, bez emocji, pretensji, agresji. Sądząc z wieku, dyplomata należy do pokolenia „marcowego”. Jakie będzie pokolenie „Solidarności”?

Studia polskie w USA — jakie rozwiązanie ?

Sally Boss słusznie stwierdza („Uczelnie polskie w USA” — *Kultura* nr 436/437), że tzw. uczelnie polskie w Stanach Zjednoczonych — mowa jest o *Alliance College* Związku Narodowego Polskiego i *St. Mary's College* w Orchard Lake — nie spełniają żadnej prawie roli jako instytucje, których zadaniem powinno być krzewienie znajomości i wartości kultury polskiej oraz w najszerszym ujęciu spraw polskich zarówno wśród Polonii jak i w społeczeństwie amerykańskim. Małe, borykające się z poważnymi trudnościami finansowymi, mieszczące się z dala od amerykańskich centrów akademickich, są uczelniami peryferyjnymi; wegetują, nie mając szans na spełnienie roli, która usprawiedliwiłaby duży wysiłek finansowy Polonii na ich utrzymanie.

Zanim przejdę do sedna sprawy, kilka sprostowań nieścisłości, które znalazły się w artykule Sally Boss. Otóż Związek Narodowy Polski — ZNP (*Polish National Alliance* — PNA) jest w zasadzie instytucją ubezpieczeniową, tzw. bratnimi ubezpieczeniami — *fraternal insurance*. Ubezpieczenia dają Związkowi podstawę finansową. Majątek sięga obecnie \$ 176.000.000. Stanowi to podstawę do działalności społeczno-kulturalnej, którą autorka charakteryzuje, niezupełnie trafnie, ale nie spierajmy się o szczegóły, jako folklorystyczno-rozrywkowo-towarzyską. Mieści się w tym utrzymywanie *Alliance College* — Szkoły Związkowej.

Jako jedyne instytucje polonijne jako tako ustabilizowane finansowo Sally Boss wymienia ZNP i *Polish American Congress* — Kongres Polonii Amerykańskiej — KPA. To jakieś nieporozumienie. KPA jest chronicznie niedofinansowany. Cierpi na tym jego sprawność organizacyjna wskutek braku funduszy na utrzymanie sztabu programowego i wykonawczego. Stąd nieraz improwizacja, dorywczość, niedostateczny zakres problematyki, którą KPA winien obejmować i brak odpowiedniej reprezentacji interesów polskich i polsko-amerykańskich w Waszyngtonie. Takie są fakty.

Krzywdzi też autorka polonijne fundacje charytatywne i kulturalne twierdząc, że ich administracja pochłania „czasem więcej... niż 50 % donacji”. Tak bywa w niektórych fundacjach amerykańskich. Z działających w Stanach fundacji polonijnych zarówno Fundacja Kościuszkowska jak i Fundacja Charytatywna KPA, koncentrująca się na pomocy żywnościowej i medycznej kierowanej do kraju za pośrednictwem Komisji Charytatywnej Episkopatu, operują bardzo oszczędnymi budżetami administracyjnymi, finansowanymi z dochodów (odsetek) inwestycyjnych, podczas kiedy donacje powiększają kapitał zakładowy — *endow-*

ment. To samo odnosi się do innych fundacji, jak na przykład Jurzykowskiego itp.

Wróćmy teraz do *Alliance College*. Istnienie jego miałyby sens, gdyby istniały możliwości przekształcenia go w postawione na wysokim poziomie naukowo-badawczym centrum studiów polskich. Ale i tak, choćby ze względu na jego prowincjonalne położenie, jego wpływ na amerykańskie środowiska intelektualne i naukowe oraz studium młodzież byłby minimalny. W tej sytuacji prawidłowym sposobem uczynienia ze spraw polskich przedmiotu poważnych studiów i badań jest ufundowanie instytutu spraw polskich na jednym z czołowych, prestiżowych uniwersytetów amerykańskich, o czym zresztą wspomina Sally Boss. Mało tego. Należałoby poprzeć funkcjonujące na kilku uniwersytetach (na ogół w centralnych skupiskach Polonii) wydziały polonistyczne, w których zakres wchodzi literatura i język polski oraz poszerzyć je o historię i problematykę współczesnej Polski. W końcu niezwykle istotna jest sprawa stypendiów dla studiującej młodzieży. Podjęcie takiego programu wyeksponowałoby zagadnienia polskie w naukowych środowiskach amerykańskich, oraz — co nie mniej ważne — wśród rzeszy studiującej młodzieży, zarówno polskiego jak i nie polskiego pochodzenia.

Dr Wojciech Juszcak, prezes Fundacji Kościuszkowskiej, uskarżał się kiedyś na trudności z wyszukiwaniem w amerykańskich środowiskach naukowych kandydatów na studia w Polsce w ramach prowadzonej przez Fundację wymiany naukowej. Tłumaczył to tym, że wskutek ich nieobecności na amerykańskich uniwersytetach nauka i kultura polska pozostają dla większości jakąś egzotyczną, a przez to mało atrakcyjną, niewiadomą. A cóż dopiero mówić o młodzieży. Realizacja naszkicowanego powyżej programu niewątpliwie przyczyniłaby się do poprawy tej niekorzystnej sytuacji. Jan Paweł II i „Solidarność” stworzyły atmosferę dużego zainteresowania i sympatii dla Polski. Trzeba to utrwalić solidnym zapleczem wiedzy o kulturze tego kraju i o jej wartościach ogólnoludzkich. Jest też oczywiste, że szczegółowe opracowanie takiego programu wymagać będzie współpracy zainteresowanych ekspertów i naukowców. Ci się znajdują. Trzeba tylko znaleźć i zapewnić odpowiednie fundusze rzędu kilku milionów dolarów.

Otóż, proszę się nie śmiać, rozwiązaniem jest likwidacja *Alliance College*. To wcale nie żarty. Opierając się na sprawozdaniu prez. A. Mazewskiego złożonym na Sejmie ZNP we wrześniu ub. roku, w ciągu czteroletniego okresu sprawozdawczego ZNP subwencjonował *Alliance College* łączną sumą \$ 1.872.000. Z tego ok. \$ 1.500.000 pochodzi z funduszy Związku, które zgodnie z odpowiednimi przepisami stanowymi i federalnymi mogą być użyte na cele kulturalno-educacyjne. Reszta pochodzi z różnych donacji składanych przez bractwo związkowe na swoją szkołę. Suma ta, zainwestowana w program, o którym mowa, przyniosłaby Polonii i Polsce niewspółmierne dywidendy.

Sprawa jest, zdawałoby się, prosta. Wielu działaczy ZNP w

zasadzie rozumie, że 350-400 tysięcy dolarów rocznej subwencji dla *Alliance College* jest w istocie pieniędzmi wyrzuconymi w błoto, które przynoszą Polonii minimalne korzyści. Na 266 studentów w roku akademickim 1982/1983 (Sally Boss podaje cyfrę 280 — mała różnica) tylko 31 korzystało z nauki języka i historii polskiej. Brak niestety determinacji i konsekwencji w rzeczowym przedstawieniu całości zagadnienia na forum publicznym. *Alliance College* ma wśród braci związkowej żarliwych „patriotów”. „Nasza szkoła” pozostaje dla wielu przysłowiową świętą krową. Jest w tym oczywiście więcej emocji i sentymentu starszego pokolenia związkowców niż obiektywnej oceny. Zdecydowana inicjatywa przywództwa ZNP potrafiłaby te opory łatwo przełamać, wykazując oczywiste interesy Polonii i Polski w przeprowadzeniu tej niewątpliwie bolesnej, ale koniecznej operacji. Tego zdecydowania brakuje i i dobre fundusze związkowe dalej się marnują. Niepowetowana to szkoda.

ZET

Ś. † P.

MARIA MASZTAK Z OLECHNOWICZÓW

Mgr filozofii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (z zakresu historii, słuchaczka prof. S. Kościatkowskiego), kapitan S.P.K. w P.Z.S. — 2-gi Polski Korpus, ur. 18 lutego 1908 roku w Wilnie, zmarła 17 stycznia 1984 roku w Salisbury, Zimbabwe (Rodezja).

Aresztowana przez władze sowieckie, rok pobytu w więzieniu w Baranowiczach, skazana na 5 lat przymusowej pracy na terenie Rosji (Poema). W formujących się Polskich Siłach Zbrojnych na terenie Rosji była pierwszą komendantką punktu zbornego kobiet w Buzułuku, ochotniczka P.S.K. w 2-gim Polskim Korpusie, zastępczyni Głównej Inspektorki P.S.K. płk B. Wysłouchowej do zakończenia drugiej wojny światowej i do demobilizacji; odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem za Wojnę 1939-1945, Gwiazdą Afryki, Gwiazdą Italii, Kombatanką Srebrną Odznaką; niezłomna Polka, najlepsza żona i matka.

Z głębokim bólem i żalem żegnają ukochaną Żonę, Matkę i Babeię

Mąż Stanisław, syn Andrzej, synowa Jackie,
wnuki Nicole i Andrzej oraz rodzina w Kraju.

Sąsiedzi

Oslo — Praga — Gorki

Podobnie jak Natalia Gorbaniewska, nie znam okoliczności powstania czesko-polskiego apelu o uwolnienie więźniów politycznych w obu krajach, ogłoszonego w Pradze 12 lutego br. Autorka artykułu „Solidarność?” (*Russkaja mysl* nr 3506 z 1 marca br.) nie myli się jednak; apel nie wspomina działaczy demokratycznych prześladowanych w ZSSR (dysponuję angielskim tłumaczeniem tekstu przekazanego w Pradze korespondentem zachodnim).

Teksty obu noblowskich mów Lecha Wałęsy są dobrze znane. Nie będę ukrywał zażenowania; fakt, że pierwsza krytyka tych przemówień wyszła spod pióra Rosjanki nie jest dla nas, Polaków, powodem do dumy. Podzielałam zdanie Gorbaniewskiej — fakt, że przewodniczący „Solidarności” nie wspominał Andrieja Dmitriewicza Sacharowa stawia szereg istotnych pytań natury zarówno politycznej jak i moralnej. Autorce artykułu w *Russkoi myśli* nie chodzi tylko o Sacharowa, tak jak nie chodzi jej tylko o Rosjan. Chodzi jej o powody, dla których ani w dokumencie praskim, ani w norweskich przemówieniach Wałęsy nie odnajdujemy dowodów solidarności działaczy demokratycznych z poszczególnych krajów bloku sowieckiego, solidarności, której wyrazem były dwa przypomniane przez autorkę dokumenty: apel w obronie uwięzionych sygnatariuszy Karty 77, podpisany 31 lipca 1979 roku przez KSS „KOR” i 21 obrońców praw człowieka z ZSSR oraz „Przesłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” uchwalone na I zjeździe „Solidarności” we wrześniu 1981 roku.

Trzeba by długich wywodów i budowania niesprawdzalnych w tej chwili hipotez, by szczegółowo uzasadnić, dlaczego nie wydaje mi się celowe łączenie apelu z Pragi i mów z Oslo. Wszelako decydujący jest jeden czynnik: przemówienia Wałęsy od czytane w stolicy Norwegii były podporządkowane obecnej taktyce przewodniczącego „Solidarności” i jego doradców. W kon-

tekście tej linii problemy podniesione w artykule N. Gorbaniewskiej uwidaczniają swój ciężar gatunkowy.

Być może było tak, jak przypuszcza p. Natalia; dylemat przypominania losu Sacharowa w ogóle nie istniał. *Nie podumali, nie przyszło w gotowu...* Nie zmienia to jednak problemu. Zarówno apel Tadeusza Mazowieckiego o unikanie w czasie demonstracji po wręczeniu nagrody Nobla „haseł antyradzieckich”, jak i pominięcie milczeniem (nie przeczę, że było ono wymowne) operacji 13 grudnia i stanu wojennego nie są dziełem przypadku. W tekście przemówienia, odczytanego w Oslo przez Bohdana Cywińskiego, znajdujemy *passus*:

Nadal — wbrew wszystkiemu, wbrew temu, co dzieje się w moim kraju od dwóch lat — uważam, że jesteśmy skazani na porozumienie i że trudne problemy sytuacji polskiej mogą zostać rozwiązane tylko na drodze prawdziwego dialogu władzy ze społeczeństwem.

Można to traktować jako wykładnię obecnej taktyki działającego jawnie kierownictwa „Solidarności”. „Niedrażnienie przywództwa sowieckiego” — jak to ujmuje Gorbaniewska — jest wtórne wobec przyjętego celu — rozmów z władzami. Aby zgodziły się one podjąć te rozmowy — trzeba wykazać dobrą wolę i unikać pewnych akcentów. Nie popełniłem błędu językowego — celem jest „powrót do stołu rozmów”, natomiast warunki „porozumienia władzy ze społeczeństwem” — od momentu przyjęcia tej taktyki — są stopniowo ograniczane; poprzeczka wymagań stawianych reżymowi obniża się coraz bardziej, co w niczym jego stanowiska nie zmienia.

Nie chciałbym tutaj przypominać banalnych prawd o tym, że komuniści ustępują tylko pod naciskiem i że koncesje z ich strony mają wyłącznie charakter tymczasowy. Ciekawsze jest pytanie, w jaki sposób taktyka wezwań do dialogu kształtuje orientację polityczną zdecydowanej większości społeczeństwa, która odrzuca system panujący w Polsce.

Sytuacja w kraju po rozbiciu legalnie działających struktur „Solidarności” jest osobliwa. Historia systemu sowieckiego zna różne zrywy — bardziej lub mniej krwawe — i różne modele normalizacji. Ich cechą wspólną był zawsze powrót do *status quo ante*, tj. nieuszczipionego monopolu władzy partii komunistycznej (poddanego pewnym zabiegom kosmetycznym) i — poprzez pacyfikację oporu — przywrócenie właściwych systemowi reguł zachowań społecznych. W Polsce normalizacja nie została do tej pory uwieńczona sukcesem; po pierwsze istnieją zorganizowane struktury podziemne (zjawisko bez precedensu, bowiem do tej pory podziemny ruch oporu powstawał tylko jako reakcja na zdobycie władzy przemocą przez komunistów). Po drugie sprzeciw społeczeństwa wobec reżymu wyraża się w sposób jawny i w formach masowych, co również precedensu nie ma. Drugi czynnik jest istotniejszy: przemiana postaw psychicznych w systemie opartym właśnie na zniewoleniu duchowym jest potencja-

łem, który może przynieść rozmaite skutki. Są one trudno przewidywalne, można jednak starać się ten potencjał zorientować w takim czy innym kierunku.

Trudno przewidzieć wpływ wydarzeń w Polsce na inne kraje bloku sowieckiego. Podstawowym wszelako założeniem strategicznym musi być solidarność ponad granicami poszczególnych państw obozu. Tej solidarności zabrakło w noblowskich przemówieniach Lecha Wałęsy. Wydaje mi się, że powodów tego stanu rzeczy należy szukać w taktyce przewodniczącego związku, czy raczej w jej duchu. Taktyka jednak nie może ignorować pewnych zasad moralnych, których przemilczanie staje się w praktycznym wymiarze ich zapoznaniem.

Sprawa Sacharowa wykracza poza dziedzinę taktyki politycznej, którą przyjął Lech Wałęsa. Przewodniczący „Solidarności” ma za sobą realną siłę — poparcie milionów. Andriej Sacharow ma tylko swoje sumienie, a przeciwko sobie — cały Związek Sowiecki. W tym zmaganiu nie wolno go pozostawić samego.

Byłem w Polsce w czasach, gdy opozycja demokratyczna, wtedy jeszcze klasyczny ruch dysydencki, działała w warunkach porównywalnych z sytuacją zesłańca w Gorkim; dysponowała siłą moralną, lecz nie możliwością nacisku na władze. Wówczas konieczność solidarnych działań ruchów demokratycznych w państwach bloku była powszechnie akceptowana i niejeden raz dawano temu wyraz. Andriej Sacharow, pomimo dramatycznej sytuacji w jakiej się znajduje, dotrzymuje tej postawie wierności. Głosy w jego obronie podnoszone są w całym świecie. Tym większą goryczą napawa fakt, że nazwisko zesłańca nie padło w Oslo, na uroczystościach przekazania nagrody, której i Sacharow jest laureatem.

W powstaniu „Solidarności” ruch demokratyczny, jeszcze z okresu „dysydenckiego”, odegrał rolę zupełnie podstawową. Obojętne, jak mało realna wydaje nam się w tej chwili sytuacja, w której w Rosji czy w innych krajach ZSSR będzie mógł powstać zorganizowany ruch oporu społecznego: każdy wolny głos stamtąd — *iz pod głyb* — jest naszym naturalnym sojusznikiem.

Jak wspominałem, nie znam okoliczności powstania apelu praskiego z 12 lutego. Skłaniam się do przypuszczenia, że tekst ten powstał w środowisku Karty 77 i może tam również *nie podumali, nie przyszło w gotowu*. Bliska znajomość i paroletnia współpraca z kilkoma spośród polskich sygnatariuszy apelu każe mi wierzyć, że nie odeszli oni od tych zasad, które były wpisane w etos KOR-u. I tą wiarą dzielę się z rosyjskimi przyjaciółmi.

Tomasz MIANOWICZ

marzec 1984

Sacharow do Wałęsy

Kiedy dowiedzieliśmy się o przyznaniu Lechowi Wałęsie Pokojowej Nagrody Nobla, leżałam akurat po ostatnim październikowym ataku serca i dlatego nie mogłam pojechać do Moskwy i starać się przekazać mu gratulacje Sacharowa. Dziś korzystam z tej możliwości i w imieniu Sacharowa i własnym przesyłam pozdrowienia Lechowi Wałęsie i wraz z nim całemu demokratycznemu społeczeństwu jego przepięknej i tragicznej ojczyzny. Myślę że uwaga świata, ponownie zwrócona ku Polsce po decyzji norweskiego komitetu ulży losowi więźniów sumienia tak w Polsce jak i na całym świecie. Podczas pięknej uroczystości wręczenia nagrody ponownie zobaczymy i pocujemy, jak nierozłączne są obrona pokoju i obrona praw człowieka, ponownie poczujemy, że broniąc człowieka, bronimy pokoju.

Helena BONNER

listopad 1983

W sowieckiej prasie

Wydawałoby się, że to było wczoraj — ów marzec 1969 roku, kiedy napisałem pierwszy przegląd prasy sowieckiej. Jak to jednak już dawno — Leonid Breżniew dopiero co zaczynał czuć się na Kremlu jak w domu, Jurij Andropow od niecałych dwóch lat zajmował stanowisko szefa KGB, a Konstantyn Czerienko był dopiero kierownikiem wydziału KC i pewnie nawet nie myślał kandydować na stanowisko Stalina. Polską rządził Gomułka, który pewnie nie wyobrażał sobie, że za rok zastąpi go inny I sekretarz, którego nazwisko mało kto dziś pamięta. A czy generał Jaruzelski podejrzewał piętnaście lat temu, że nosi w tornistrze marynarkę I sekretarza?

Minione półtorej dekady daje niejeden argument optymistom, mogącym się powołać na dzieje Polski ubiegłych lat. Jeszcze więcej argumentów okres ten dostarcza, jak mi się zdaje, pesymistom, którym wystarczy powołać się na dzieje Związku Sowieckiego. Po śmierci Stalina wydawało się przez chwilę, że mury obozu są tak porysowane, że wystarczy paru uderzeń, aby runęły. Czas pokazał, że nadzieje te były przedwczesne. Proroc-

two Franza Kafki z 1919 roku lepiej niż cokolwiek innego wyraża istotę minionych dziesięcioleci. Oficer, pokazujący podróżnemu kolonię karną objaśnia mu: „Słyszał Pan kiedy o byłym komendancie?... Organizacja całej karnej kolonii to jego dzieło. My, jego przyjaciele, jeszcze za jego życia wiedzieliśmy, że kolonia jest zorganizowana tak idealnie, że jego następca, nawet jeśli będą mu się snuły po głowie tysiące zamiarów, zrozumie, że nie sposób niczego zmienić, w każdym razie przez długie lata”. Nawet Kafce nie przyszło chyba do głowy, że jedynym zamiarem następców będzie utrzymanie kolonii karnej w tym idealnym porządku, w jakim ją zostawił zmarły komendant.

Na temat stanu, w jakim Jurij Andropow przekazał karną kolonię kolejnemu wcieleniu komendanta, Konstantynowi Czerienice, zdania są podzielone. Najsoczyściej odmalował go Władysław Machejek w korespondencji z Moskwy (*Życie literackie* z 19 lutego 1984). Najpierw miałem wrażenie, że Machejek napisał parodię sowieckiego dziennikarstwa: „J. Andropow w swej młodości szedł krawędziami Wołgi i Uralu” — tak pisano tylko w najlepszych stalinowskich czasach. Kiedy jednak przeczytałem, że „Mamy (kto?) do czynienia z systematycznym postępem w stopie życiowej człowieka Kraju Rad”, że widzimy „przepełnione półki i obciążone wieszaki”, że „Jurij Andropow do ostatniego momentu życia śle postania do Amerykanów i Zachodu” i że wreszcie „nieprzeliczone tłumy” odprowadzały jego zwłoki na Plac Czerwony, stało się oczywiste, że czytam nie parodię, lecz najczystszy, bezwstydnny przykład sowieckiego kłamstwa.

Dziś, kiedy nawet Machejkowi obeszły łyzy, bo wybrano już nowego komendanta, można podsumować krótką działalność nieboszczyka. A *propos* to za jego czasów zrodził się dowcip na temat „stopy życiowej człowieka Kraju Rad”: Przychodzi do sklepu człowiek i prosi o kawałek mięsa. Sprzedawca odpowiada: Mogę Panu dać radę. — Mnie nie rada potrzebna, ale mięso — upiera się klient. — A, po mięso to niech Pan jedzie do Argentyny. To jest kraj mięsa. My jesteśmy Krajem Rad”.

Erę Andropowa wyróżnia od innych naturalnie nie chroniczny brak mięsa (i wszystkiego innego). Przeczuwając jakby, że dni jego są policzone, były przewodniczący KGB „do ostatniego momentu życia” podpisywał nowe ukazy i dekryty, zwiększające represje i siejące strach. 1 października 1983 weszła w życie ustawa, dająca administracji obozów prawo do samodzielnego przedłużania wyroków. 11 stycznia 1984 wprowadzono poprawki do złowieszczonego 70-go artykułu kodeksu karnego, dotyczącego „antysowieckiej agitacji i propagandy”. Artykuł przewidywał dotychczas karę do siedmiu lat więzienia za „rozprzestrzenianie, sporządzanie lub przechowywanie literatury o treści antysowieckiej i szkalującej”. Dziś słowo „literatura” zastąpił zwrot „utwory w formie pisemnej, drukowanej lub innej takiej-że treści”. Słowo „literatura” brzmi przestarzałe, dziś przedmiotem procesu może być rękopis, taśma magnetofonowa lub video, rysunek, fotografia itd. Artykuł uzupełniono także następującym paragra-

fem: „Działania dokonane przy użyciu środków pieniężnych lub innych walorów materialnych, otrzymanych od zagranicznych organizacji lub osób działających w imieniu tych organizacji lub dokonane przez osobnika osądzonego uprzednio za szczególnie niebezpieczne przestępstwa przeciw państwu jak również za przestępstwa popełnione w czasie wojny”.

Zadaniem nowego paragrafu jest ucięcie wszelkich związków z zagranicą, w tym także pomocy materialnej dla rodzin więźniów, nawet w formie paczek żywnościowych. Nie wiem, czy podobny artykuł istnieje w polskim kodeksie karnym, ale zacytowana przez francuską prasę formuła sankcji prokuratorskiej, przedstawionej Markowi Nowakowskiemu w chwili aresztowania, brzmi jak wyjęta z sowieckiego kk.

1 lutego br., w tydzień po śmierci Andropowa, weszła w życie jeszcze jedna ustawa: „O przekazywaniu zagranicznym organizacjom informacji, zawierających tajemnice służbowe”. W tym miejscu trzeba przyznać stuprocentową rację W. Machejkowi, który pisze, że: „Związek Radziecki jest wielki i niedosiegalny w swych możliwościach”. Nowa ustawa jest tego niezaprzeczalnym dowodem. Zważywszy, że w Związku Sowieckim nawet imię kolchozowej krowy jest tajemnicą służbową, władze mają „niedosiegalne możliwości” karania każdego, kto przekaze „zagranicznym organizacjom i przedstawicielom” jakkolwiek gospodarczą, naukowo-techniczną lub inną (!) informację, „zawierającą tajemnicę służbową”. Kara wynosi od 2 do 3, a w razie „poważnej szkody dla państwa” — do 8 lat łągu.

W tekście ustawy szczególną uwagę zwraca formuła „lub inną”. W pamiętnym 1948 roku, w dobrych stalinowskich czasach, dwóch lekarzy oddano pod sąd za zdradzenie Amerykanom „tajemnicy” lekarstwa na raka. Niestety w ośmiu latach nie istniała jeszcze andropowska ustawa: lekarzy sądzono z „paragrafu o honorze”. Nie przeszkodziło to ich aresztowaniu — ale było ono bezprawiem. Ponieważ jednak lekarzom tylko zdawało się, że wynaleźli lekarstwo na raka, żadnej „tajemnicy” nie wydali, bo jej nie było, i po śmierci Stalina zostali zrehabilitowani.

Teraz bezprawia być nie może. Jurij Andropow przekazał obóz swemu następcy w idealnym porządku. Machejek natychmiast się ucieszył: nowy naczelnik, „prawie rówieśnik Andropowa” (starszy odeń zaledwie o trzy lata i trzy miesiące) także przebył „żmudną drogę kariery”, ale „wewnątrz organizacji KPZR”, czyli w aparacie, a „ten kierunek obowiązków zmuszał go do sporadycznych wyjazdów za granicę”. Dlaczego „kariera wewnątrz organizacji KPZR” zmusza do wyjazdów za granicę, nie wiadomo. Ale tak właśnie było. Konstanty Ustinowicz bywał w krajach obozu socjalistycznego, w USA, we Francji. We Francji np. dał wyraz swemu stosunkowi do wydarzeń w Polsce. Przyjechał jako przewodniczący delegacji KPZS na XXIV Zjazd francuskiej kompartii (1982), przyjęty jednak został przez premiera Mauroy. Francuski premier w czasie rozmowy wyraził pogląd, że Polacy przywiązują duże znaczenie do „nieba” (miał na myśli religię

i Kościół). Na to Czernienko odparł z właściwym mu poczuciem humoru, że „w niebie znajdują się nasi kosmonauci”.

W czasie pogrzebu Andropowa Czernienko przysięgł kontynuować dzieło poprzednich „komendantów”. Występując 2 marca przed wyborcami, wyłożył swój „program” bardziej szczegółowo. Powiedzmy od razu, że niezależnie od tego, że kandydat Czernienko ledwie mówił, jękał się, gubił wątek, pomylił akapity i (ku szczęściu audytorium) opuścił osiem stron tekstu, został triumfalnie wybrany do Rady Najwyższej ZSSR (jak zresztą wszyscy inni kandydaci — w ośrodkach wyborczych sprzedawano pomarańcze i kiełbasę!).

Czernienko zaczął swe wystąpienie od przeglądu sytuacji gospodarczej. Przemówienie generalnego sekretarza nie zawiera — bo nie może zawierać — żadnych nowych propozycji, zawiera natomiast jedną nieznaną liczbę. Przez dwa lata (1981, 1982) Centralny Urząd Statystyczny ZSSR po raz pierwszy od swego powstania nie opublikował danych dotyczących zbiorów. Nieznana też była wysokość zbiorów w roku 1983 — tę właśnie tajemnicę wyjawiał Czernienko, nazywając wyniki minionego roku „namacalnym rezultatem” i sukcesem: „Osądźcie sami. Pogoda nie sprzyjała także w ubiegłym roku, a zbiór zboża przewyższył mimo to 190 milionów ton”. Kto by chciał dać możliwie wyczerpującą i zwięzłą charakterystykę Czernienki, lepszej by nie wymyślił. „Osądźcie sami”, jak powiada nowy komendant: 190 mln ton zboża nazywa on sukcesem, chociaż plan przewidywał zbiory wysokości 238-243 mln ton.

Oczywiście to nie Czernienko wymyślił, że należy ogłosić kolejny sukces. W dopiero co wydanym „Krótkim słowniku gospodarki rolnej” na pierwszej stronie czytamy, że „obecny etap rozwoju gospodarki odznacza się wzrostem absolutnych przyrostów dochodu narodowego, produkcji przemysłowej i rolnictwa”. Na dowód słownik cytuje wybrane dane, w szczególności produkcję zboża w roku 1980 — 205 mln ton. Duży artykuł poświęcony jest „polityce rolnej KPZS”; wynika zeń, że partia osobiście zajmuje się rolnictwem. Ale jeszcze w ubiegłym roku Czernienko ostro krytykował sowieckich ekonomistów za „scholastykę”, a 24 lutego *Prawda* opublikowała specjalną uchwałę KC KPZS, wtykającą Instytutowi Ekonomii Akademii Nauk ZSSR poważne zaniedbania w pracy. W słowniku gospodarki rolnej, w którym nie pada ani słowo na temat wydajności sowieckiego rolnictwa, znajduje się sześć haseł poświęconych dyscyplinie: dyscyplina, dyscyplina państwowa, dyscyplina planowa, dyscyplina produkcyjna, dyscyplina technologiczna i dyscyplina pracy.

Znaczna część przemówienia Czernienki poświęcona była sprawom międzynarodowym. Także i tu nie znajdujemy niczego nowego w stosunku do linii poprzednika. Sowiecka polityka zagraniczna opiera się na założeniu, że „ostatnie lata odznaczały się znaczną aktywizacją polityki najbardziej agresywnych sił amerykańskiego imperializmu — polityki jawnego militarysty, pretensji do władzy nad światem, hamowania postępu, gwałcenia

praw i wolności narodów". Związek Sowiecki nie szczędzi sił, aby przeciwstawić się amerykańskiej agresji, rozszerzając „międzynarodowe wpływy krajów socjalizmu”.

Generalny sekretarz zatrzymał się dłużej na dwóch konkretnych przykładach polityki sowieckiej: „ZSSR był, jest i pozostanie u boku Kuby, zarówno w pogodne dni jak i w czasie sztormu” i ZSSR chciałby „unormować stosunki z Chińską Republiką Ludową”. Czernienko postawił tu tylko jeden warunek: „Nie możemy pójść na żadne układy, które przyniosłyby uszczerbek innym krajom”. Znaczy to, że Chiny mają przestać domagać się wyjścia wojsk sowieckich z Afganistanu. Przemówienie Czernienki punktowały wybuchające w ściśle wyznaczonych miejscach owacje: owacje zwykłe, burzliwe i niemilknące. Tylko jeden raz słowa komendanta spotkały się z „burzliwą i niemilknącą owacją”: „I niech wszyscy wiedzą, że żadnemu amatorowi awantur wojennych nie uda się nas zaskoczyć, niech żaden potencjalny agresor się nie łudzi, że uniknie miażdżącej riposty”.

Co to konkretnie znaczy, opisuje w zbeletryzowanej formie *Literaturnaja gazeta* nr 8 z 22 lutego 1984 (w najgorętszych chwilach kampanii wyborczej). Literacki reportaż „Helikoptery i ich piloci” opisuje walczące w Afganistanie sowieckie helikoptery, które „spełniają swój internacjonalistyczny obowiązek”, „dławia pojedyncze ogniska”, zrzucając na nie bomby i ostrzeliwując je z karabinów maszynowych i działek szybkostrzelnych.

Przeciętny czytelnik nie widzi w oświadczeniach Czernienki niczego nowego, ale politycy i dziennikarze są czytelnikami szczególnymi. Nie chcą oni (najwidoczniej nie są w stanie) wyrzec się nadziei na „dobrego komendanta”. Andropow nadziei nie spełnił, to fakt. Ale może nie starczyło mu czasu. O Czernienko nikt co prawda nie mówi, że lubi jazz, ale za to dowiadujemy się, że jego syn z całą pewnością gra na banjo. Co więcej jako człowiek blisko związany z Breżniewem, który był szermierzem odprężenia, Czernienko także powinien być zwolennikiem odprężenia. Moskiewski korespondent *New York Times'a* tak też pisze: „Przeszłość Czernienki może wskazywać na to, że jego przyszłością jest *détente*” (*International Herald Tribune* z 18-19 lutego 1984). Wpływowa publicystka Flora Lewis zapewnia: „Reagan i Czernienko nie mogą sobie pozwolić na zwłokę” (*International Herald Tribune* z 27 lutego 1984). Dlaczego nie może zwlekać Reagan, jest oczywiste — w listopadzie czekają go wybory prezydenckie. Ale dlaczego miałyby się spieszyć Czernienko, nie jest jasne. Wybrany został większością głosów, o jakiej amerykańscy prezydenci nie mogą nawet marzyć: 99,99%. Znany amerykański sowietolog prof. Seweryn Bialer opublikował w *New York Review of Books* z 16 lutego 1984 obszerny artykuł pt. „Niebezpieczeństwo w Moskwie”, który zrobił duże wrażenie. Tym większe, że artykuł zaczyna się od ważnej informacji: „Wróciwszy z trzeciej w ciągu ostatnich trzynastu miesięcy podróży do Moskwy...”. Znaczy to, że wywody autora nie są bezpodstawnymi spekulacjami, a wynikiem rozmów z wyższymi politycznymi, pań-

stwowymi, społecznymi i naukowymi działaczami sowieckimi. Seweryn Bialer przywiózł z Moskwy opis „atmosfery” i ostrzeżenie: istnieje poważne niebezpieczeństwo, zrodzone z „kombinacji amerykańskiej wojowniczości i sowieckiego gniewu i strachu”. Nietrudno zrozumieć, kto w tej kombinacji ponosi większą winę. To Reagan „dotknął” i „poniżył” swoimi wypowiedziami przywódców sowieckich cierpiących na uczucie „politycznego i ekonomicznego zagrożenia”.

Rozumowanie Bialera, profesora nauk politycznych i dyrektora instytutu badania stosunków międzynarodowych na Columbia University, jest proste: wojenna polityka Reagana „znacznie zwiększyła ryzyko konfrontacji nuklearnej”. Łatwo się domyślić, kto był w Moskwie informatorem prof. Bialera i z kim się widywał: profesor nie wymienia żadnych nazwisk, są one jednak powszechnie znane, bo nikt inny nie rozmawia z zachodnimi sowietologami. Żeby nie było żadnych wątpliwości co do tych informatorów: jeden z tych etatowych „rozmówców” wystąpił przed doborowym audytorium w Zachodnim Berlinie. Amerykański dziennikarz William Pfaff opisał to spotkanie w artykule „Groźne posłanie z Kremla”. Przedstawiciel ZSSR Radomir Bogdanow powiedział w Berlinie to samo, co przywiózł z Moskwy prof. Bialer i co przywożą wszyscy inni. Interesująca jest jednak sama osoba Bogdanowa. William Pfaff nazywa go wicedyrektorem Instytutu USA i Kanady. To się zgadza — dyr. Radomir Bogdanow istotnie jest wicedyrektorem instytutu Akademii Nauk ZSSR, ale poza tym jest jeszcze pułkownikiem KGB, jednym z bardziej znanych współpracowników XII departamentu i I Głównego Zarządu KGB.

Nie wątpię, że W. Pfaff o tym wie, podobnie jak prawdopodobnie wiedzą o tym wszyscy uczestnicy „prywatnego spotkania w Berlinie”. Wystarczy zajrzeć do książki Johna Barrona „KGB dziś” (1983). Ale właśnie przynależność do KGB sprawia, że płk Bogdanow wydaje się zachodnim „ekspertem” tak cennym źródłem. Choć nie mogą przecież nie wiedzieć, że jego praca polega na oszukiwaniu ich. Jego zadaniem jest przekonanie Amerykanów, że powinni zmienić politykę wobec ZSSR. „Eksperci” się z tym zgadzają. Udało im się wreszcie spotkać funkcjonariusza sowieckiego, który z nimi rozmawia, wszystko objaśnia, co więcej w doskonałej angielszczyźnie. Jak tu nie ulec jego urokowi?

Nie jest to najwyraźniej łatwe. Wystarczy spojrzeć na najnowszych polskich pisarzy, którzy bez przerwy siedzą w Moskwie i nie przestają się zachwycać swoimi gospodarzami. W dwu ostatnich numerach *Literaturnoj gazety* wiele się pisze o Polsce. W numerze 8-ym znajduje się na 2-jej stronie fotografia „przewodniczącej Głównego Zarządu ZLP” Haliny Auderskiej, a na stronie 15-jej długi donos „znanego polskiego publicyście i krytyka literackiego, członka prezydium, dyrektora itd., itp.” Andrzeja Wasilewskiego. Dopóki Wasilewski pisze donosy na Kazimierza Brandysa i Stanisława Barańczaka, można to uważać za wprawki

stylistyczne: Brandys i Barańczak znajdują się poza zasięgiem rąk jego gospodarzy. Kiedy jednak Wasilewski donosi na Marka Nowakowskiego, narzuca się pytanie, czy wiedział, że Nowakowski będzie aresztowany, czy też areszt nastąpił po moskiewskim donosie? W numerze 9-tym *Literaturnoj Gazety* znajduje się długi wywiad z Wiesławem Rogowskim, „naczelnym redaktorem popularnego polskiego tygodnika *Argumenty*”, zatytułowany „Na drodze odnowy”. W. Rogowski tłumaczy, że administracja Reagana „wydała nam wojnę nie tylko ideologiczną i polityczną, ale także ekonomiczną. Zadaje ciosy poziomowi życia każdego Polaka”. Za to „Związek Sowiecki i pozostałe kraje socjalistyczne” w ramach „bratniej pomocy” pomagają, pomagają i jeszcze raz pomagają.

Jak informuje W. Rogowski, w Polsce powstał nowy związek literatów polskich. W skład jego weszła „połowa wszystkich pisarzy Polski”. Ci, którzy nie weszli to „przeciwnicy socjalizmu” albo „oszukani”. Należy podkreślić, że Rogowski nie wymienia ani jednego wroga mieszkającego w Polsce. Za to nie żałuje śliny na obelgi pod adresem „przywódcy polskich kontrrewolucyjnych kręgów pisarskich za granicą” Kazimierza Brandysa. W. Rogowski wyjaśnia, że Kazimierz Brandys „wypracował nawet własny program wyrotowych działań przeciwko naszemu państwu. Brandys wzywa polskich pisarzy, aby publikowali swe utwory za granicą, a nie w kraju. Obiecuje im za to dolary”. Rogowski obawia się, że „przynęta” może się okazać skuteczna, bowiem koncepcja pisania za dolary jest mu dość bliska. Sam wyjaśnia, że nowy związek pisarzy zorganizował przede wszystkim sekcję „pomocy twórczej i materialnej”.

Sowiecki pisarz Aleksander Prochanow, bywający wszędzie, gdzie toczy się walka o pokój: w Afganistanie, w Kambodży itd., zobaczył w Nikaragui działo z czasów drugiej wojny światowej. Ten widok nasunął mu niezwykłą metaforę: „Pomyślałem sobie, że dzisiejszy artysta powinien być przede wszystkim podobny do tej armaty”. Bawiący w Moskwie literaci polscy nie mogą rzecz jasna pretendować do porównywania ich z armatą — to zbyt wielki honor. Mogą się natomiast porównać do karabinu z okresu pierwszej wojny światowej — zardzewiałego, ale wciąż jeszcze mogącego zabić. Jest to umiejętność niezbędna, jeśli chce się być pisarzem socjalistycznym.

Adam KRUCZEK

11 marca 1984

Kronika ukraińska

CO ROBI EMIGRACJA UKRAIŃSKA?

Ukraińska emigracja polityczna, wspomagana przez emigrację zarobkową, poświęciła w ubiegłym roku swój czas i energię na urządzenie manifestacji

w związku z pięćdziesiątą rocznicą śmierci głodowej wielu milionów chłopów ukraińskich. Fala publicznych wieców objęła Stany Zjednoczone i Kanadę. Udało się wciągnąć do tej akcji wielu polityków, niektórych związkowców i niewielu intelektualistów amerykańskich i kanadyjskich. Pozwoliło to przypomnieć światu zapomnianą ostatnio tragedię Ukrainy, ale mimo to istnieje obawa, że nie na długo. Niestety Ukraińcy, w odróżnieniu od Żydów czy nawet Greków, nie mają poważnych grup nacisku. Od czasu gdy minęła moda na dysydentów — jak Hryhorenko czy Pluszcz — sprawa ucisku na Ukrainie zniknęła z pola widzenia amerykańsko-kanadyjskiego. Poszukiwanie codziennej sensacji zabija wszystko. Ponadto Polska — mimo, że w porównaniu z Ukrainą prześladowania są tam minimalne — przesłoniła horyzonty Zachodu. Zresztą jest to także wina Ukraińców, którzy nie potrafili dokonać czegoś wyjątkowego, jednorazowego, co by na miarę tragedii głodu wstrząsnęło sytą opinią Zachodu. W Europie Zachodniej tragiczna rocznica przeszła zupełnie bez echa, jeśli nie liczyć kilku szybko zapomnianych artykułów prasowych i wzmianek radiowych. Podobno ukraiński ośrodek naukowy w Harvardzie przygotowuje poważną dokumentację. Nawet jeśli się to uda — to nie da potrzebnego efektu. Niestety, nie ma obecnie Ukraińców, którzy by nawet w przybliżeniu zdolni byli tak przedstawić swoje tragiczne losy jak Żydzi po latach zagłady. Ułatwiło to Moskwie taktykę przemilczenia okrutnego jubileuszu.

Możliwe, że w sumie nikły sukces apelów do zachodniej opinii publicznej splótł się z zaostrzonym rozbiem emigracji ukraińskiej. Jest to — być może — związane z dawnymi totalitarnymi ciągami skrajnego ugrupowania politycznego spośród nacjonalistów ukraińskich. Nie należy zapominać, że ukraińska emigracja cierpi na schorzenia, które wynikły ze specyficznego układu sił na wygnaniu, asymetrycznego wobec rzeczywistej sytuacji w ich kraju ojczystym. Przeważają wśród niej elementy z dawniejszej Małopolski Wschodniej albo — jak mówią Ukraińcy — Ukrainy Zachodniej, na niekorzyść większości narodu ukraińskiego, mieszkającego na wschód od dawnej granicy na Zbruczu. Zjawisko to powstało na skutek dwóch przyczyn: dominacji ruchu OUN na wspomnianych ziemiach, które weszły w granice II Rzeczypospolitej i nierównej symetrii pomiędzy zachodnią i wschodnią emigracją na Zachodzie. Skutki tej nierówności są fatalne. Nastąpił też w międzyczasie uwiad demokratycznych ugrupowań politycznych z Galicji. Nie zdołały one zapewnić sobie decydującego wpływu na wychodźstwie. Natomiast pośród nacjonalistów nastąpił potrójny rozłam, na tradycyjnych radykałów-totalitarystów (banderowców), konserwatystów (melnikowców) i konserwatywnych liberałów (koalicja Głównej Rady Wyzwoleńczej i zagranicznych oddziałów OUN lub tzw. „dwójkarzy” czy też „drugiego odłamu”). Banderowcy to jak gdyby dawni ONR-owcy, melnikowcy — to jak stara endecja, a UHWR to trochę jak lewica Sanacji. Ważne, że banderowcom udało się uzyskać duży wpływ na tzw. masy i drobnomieszczanstwo na emigracji. Banderowcy mają podobno swych ziomków utopijną propagandą rzekomych sukcesów w „walce rewolucyjnej”. Prymytywność ich propagandy odpowiada prymitywności propagandy komunistycznej w Kijowie. Zdaje się, że nie ma obecnie żadnych autorytetów i charyzmatyków na emigracji, którzy mogliby obalić propagandowe bzdury emigracyjnych insurgenatów.

Trudno się w tym wszystkim postronnemu obserwatorowi zorientować. Brakuje nam instrumentów. Nie znamy języka, nie ma solidnych analiz prasy ukraińskiej w naszych pismach. Jesteśmy zdani na słuchy i podśluchy. Ostatnio dochodzą wiadomości z Ameryki i Kanady, że środowiska demokratyczne i konserwatywne podjęły kontrofensywę przeciwko zakusom totalitarnej ekspansji. Niektórzy z Ukraińców twierdzą, że stało się to trochę późno i że nie da się już niczego dobrego zdziałać. Wspominają, że ekstremistom z prawicy udało się opanować Ukraiński Kongresowy Komitet —

coś podobnego do Kongresowego Komitetu Polonii Amerykańskiej. Ostatnio jednak doszło do próby kontrofensywy prądów demokratycznych. Utworzyli wspólny ośrodek w Ameryce, podjęli kontrakcję w Kanadzie. Ukraińscy demokraci twierdzą, że udało im się już przyhamować zapędy banderowców. Jako przykład wymieniają rozgrywki na niedawnym Światowym Kongresie Ukraińców, który pod koniec ubiegłego roku odbył się w Kanadzie. Żona przywódcy banderowców Stecka, tzw. „Pani Mucha”, zachowywała się ponoć tak rezolutnie, że oburzyła wszystkich. Nie wyszło jej to na dobre i ostatecznie banderowcy nie zdobyli władzy we wspomnianym kongresie. Cała zabawa skończyła się nie po ich myśli. Ale jak się wydaje, także demokratom nie udało się całkowicie osłabić banderowców.

A tymczasem dla Ukraińców zbliża się niezwykle ważna data historyczna: millenium chrztu Rusi Kijowskiej. Jest to sprawa ogromnej wagi, podobna do tysiąclecia chrztu Polski, o tyle jednak trudniejsza, że Ukraińcy znajdują się pod co najmniej potrójnym naciskiem. Największą trudność to uzurpacja Rosjan, którzy wbrew historii traktują ten jubileusz jako swoje święto, potem rozłam religijny Ukraińców na prawosławnych i unitów no i wreszcie niejasna ostatnio *Ostpolitik* Watykanu, który faworyzuje moskiewski patriarchat.

J. Ż.

Kronika niemiecka

Przebywający na emigracji w RFN rosyjski pisarz Lew Kopelew oraz laureat literackiej nagrody Nobla Heinrich Böll ogłosili apel w obronie Andrieja Sacharowa. W programie rosyjskim rozgłośni *Deutsche Welle* Kopelew potępił ostro brutalną kampanię prowadzoną przez władze sowieckie przeciwko Sacharowowi i jego rodzinie. Kopelew i Böll zaapelowali do polityków i przemysłowców świata zachodniego, by użyli swych wpływów dla ratowania Sacharowa i innych działaczy demokratycznych w Sowietach. Böll ponadto stwierdził, iż wielu ludzi pióra na Zachodzie ma fałszywe wyobrażenie o idei odprężenia. Uważają oni, że utrzymując kontakty z funkcjonariuszami oficjalnych związków twórczych ze Wschodu i rozmawiając z nimi wygładzonym, dyplomatycznym językiem budują odprężenie. ■ Nakładem kolońskiego *Federalnego Instytutu Badań Spraw Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych* ukazała się interesująca praca pt. *Nomenklatura in Polen. Die Kontroverse um ein Hauptinstrument politischer Kontrolle der Gesellschaft (Nomenklatura w Polsce. Kontrowersje wokół głównego instrumentu politycznej kontroli społeczeństwa)*. Autor prof. Takayuki Ito, jest dyrektorem *Centrum Badań Slavizmu Uniwersytetu Hokkaido* w Sapporo. Pracę z angielskiego na niemiecki przełożył prof. Helmut Wagner. ■ Azylanci z obozu w Zirndorf (Bawaria) mogą korzystać z miejsckiej pływalni pod warunkiem wylegitymowania się lekarskim zaświadczeniem. ■ Egon Bahr (*SPD*), specjalista od rozbrojenia, krytyk *Solidarności* i raketowego dozbrajania, stwierdził, że rakiety *Pershing* są w stanie zagrozić „poważnej części sowieckich rakiet międzykontynentalnych i przez to zmieniają równowagę strategiczną na korzyść USA”. ■ Tegoroczna nagroda (20 tys. marek) *Fundacji im. Gottfrieda von Herdera* z siedzibą w Hamburgu przyznano m.in. polskiemu kompozytorowi, Krzysztofowi Meyerowi z Krakowa. ■ *Galęzka z drzewa słońca* Jerzego Ficowskiego uka-

że się w RFN, gdzie jej przekład przygotowuje oficyna *Neuenkirchener-Verlag*. ■ H. Linnemeyer, dyrektor zachodniemiecko-polskiej firmy *Liminex* w Bremerhaven: „Dlaczego polski partner potrzebuje na przewóz towaru np. dwa dni, gdy tutejszy załatwia to samo w ciągu jednego dnia? Czyżby czas nad Wisłą miał tylko połowę wartości?” ■ W NRD na 16,7 mln mieszkańców 7,7 mln stanowią ewangelicy, 1,2 mln katolicy, różne sekty liczą ok. 200 tys. wyznawców. Do wspólnoty moźszowej należy zaledwie 600 osób. ■ Sąd Berlina Zachodniego zasądził od ośmiu Polaków, którzy w kwietniu 1982 roku uprowadzili do tego miasta samolot pasażerski *PLL „LOT”*, odszkodowanie dla *Polskich Linii Lotniczych* w wysokości 6.400 marek, m.in. z tytułu kosztów naprawy uszkodzonego przez porwany samolotu. ■ Restauratorzy zamojskiej *Pracowni Konserwacji Zabytków* odnawiają i wykuwają rzeźby dla zabytkowego pałacu rządowego w Brühl k/Bonn. ■ Z rozprawy Tadeusza Łepkowskiego *Myśli o historii Polski i Polaków* (wydanej przez podziemną oficynę *CDN*. Warszawa 1983, str. 70): „Propaganda rządowo-partyjna w PRL wykorzystuje codziennie, co minutę, zadawnione konflikty polsko-niemieckie i nieufność Polaków wobec Niemców, przywołując groźbę niemiecką, straszne wspomnienia okupacji, egzekucji i kacetów, całą — w dużym stopniu podfałszowaną — historię Niemiec (bez historii kultury niemieckiej) a także stosunków polsko-niemieckich dla „zintegrowania narodu” wokół władzy i wsparcia idei przyjaźni polsko-radzieckiej a więc zależności od Moskwy. (...) Idzie o to, by manipulując historią udowodnić, że problem rosyjski przestał istnieć (ZSRR gwarantuje trwałą niepodległość Polski), podczas gdy sprawa zagrożenia ze strony Niemiec jest wciąż aktualna”. ■ W roku 1983 przyjechało z RFN do Polski 250 tys. osób, to jest 75 % stanu z roku 1979; z tego największego dla Polski rynku turystycznego przyjechało w ciągu 10 minionych lat do PRL ok. 2,5 mln osób. ■ Zmniejszył się — głównie w wyniku cofnięcia możliwości zakupów na warunkach kredytowych — import Polski z RFN. Był on w 1983 roku o 0,7 % mniejszy niż w roku 1982. ■ W Berlinie Zachodnim odbyło się seminarium na temat planu Rapackiego, zorganizowane przez *Znak Pokuty*, *Akademii Ewangelicką* i *Comelius Club*. Z PRL przyjechali pracownicy *Państwowego Instytutu Spraw Międzynarodowych*: W. Multan, J. Prystrom i P. Wieczorek. ■ W Monachium odbyło się inauguracyjne posiedzenie *Oddziału Rady Narodowej w RFN* w nowej kadencji. ■ *Ossolineum* wznowiło ks. Paula Peikerta *Kronikę dni obłędnie*. Wrocław 22.1-6.5.1945. Wstęp i koment.: K. Janca i A. Konieczny. ■ 1 hektar użytków rolniczych żywi w Polsce 1,6 obywatela, w NRD — 3,3, zaś w RFN — 7,5. ■ Wystawę 53 tkanin 18 twórców z zachodniemieckiej grupy artystycznej *Textilkunst* otwarto w warszawskiej *Zachęcie*. ■ Jerzy Puchałowicz z Essen, pracownik *Zarządu Głównego Związku Polaków RODŁO* wystąpił ostatnio z inicjatywą utworzenia *Niezależnego Związku Polaków*. Z listu okólnego wynika, że chodzi o organizację, której „członkowie nie będą korzystać z ulgowych wyjazdów do Polski. (...) Musi być otwarta droga do szczyrych wypowiedzi poszczególnych osób i ugrupowań, co jednak dotychczas uzależniane jest obawą niektórych (większości) osób przed ewentualnym nieotrzymaniem wizy polskiej (...) „Ulgowe” wyjazdy do Kraju są powodem, że brak jest powagi narodowej wśród niektórych ugrupowań oraz brak otwartych wypowiedzi na tematy interesujące nas wszystkich. ■ Na zaproszenie rządowej organizacji *INTER NATIONES* przebywał z wizytą w RFN Henryk Boruciński, współpracownik tygodnika *Ład*. Starania o uzyskanie podobnych zaproszeń i stypendiów dla polskich działaczy opozycji demokratycznej nie przyniosły rezultatów. ■ *Chadecka Fundacja im. Konrada Adenauera* zaprosiła z odczytem do St. Augustin k/Bonn Kazimierza Kąkolę... Przedtem b. dyrektor *Urzędu do Spraw Wyznań* wygłosił odczyt na temat *Państwo i Kościół w PRL* w siedzibie prore-

zymowego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Düsseldorfie. Kąkol mówił na podobny temat w *Volkshochschule (Uniwersytet Ludowy)* w Hanowerze. Polaka, który zabrał głos w dyskusji i zadał kilka drażliwych, ale rozsądnych pytań, wyprowadzony z równowagi prelegent obrzucił inwektywami w rodzaju — „agent CIA i Wolnej Europy”. ■ Na zaproszenie kolońskiej rozgłośni *Westdeutscher Rundfunk (WDR)* bawiła w RFN delegacja *Komitetu d/s Radia i Telewizji* z dyrektorami — Henrykiem Pruchniciewiczem i Lwem Rywinem (*Politel*) na czele. W skład delegacji wchodził ponadto: Zygmunt Wiśniewski, Teresa Kalitka i Janusz Łęski. Omawiano możliwości rozszerzenia współpracy w dziedzinie produkcji programów radiowych i telewizyjnych. Już w zeszłym roku, w celu uatrakcyjnienia programów telewizyjnych, Polska zakupiła od *WDR* 65 tytułów filmów telewizyjnych, wyprodukowanych przez kolońską rozgłośnię. Zakupu dokonał Michał Misiorny, redaktor *Programów Filmowych Polskiej TV*. ■ Antyniemiecka fobia Mariana Podkowińskiego osiągnęła szczyt w jego najnowszej książce *Gdyby Hitler wygrał wojnę*, wydanej w 30 tys. egz. przez *Ministerstwo Obrony Narodowej*. ■ Wzajemne dostawy towarów między Polską a NRD mają osiągnąć w bież. roku wartość ponad 121 mld zł i będą wyższe od ubiegłorocznych o 6,5%. PRL zakupi m.in. samochody osobowe *Wartburg* (7.600 sztuk) i *Trabant* (4.600 sztuk) oraz 12.600 sztuk motocykli i motorowców; w polskich stocznicach będą remontowane energowskie statki morskie, a także modernizowane rzeczne barki śródlądowe. ■ Koncertem w sali rozgłośni *Sender Freies Berlin* zainaugurowało swoją działalność tamtejsze *Towarzystwo im. Karola Szymanowskiego*; jednym z wykonawców utworów tego kompozytora był polski skrzypek Edward Zienkowski. *Misja Wojskowa PRL* w Berlinie Zachodnim natychmiast pospieszyła z wręczeniem członkom zarządu *Towarzystwa* specjalnie wybitych na tę okazję medali pamiątkowych. ■ *Listy Chopina* Krystyny Kobylańskiej ukażą się w RFN. Umowę na ich przekład za pośrednictwem *Agencji Autorskiej* zawarł dom wydawniczy *S. Fischer-Verlag* z Frankfurtu. ■ Przeglądu stosunków gospodarczych między PRL a RFN dokonano w czasie rozmów w Warszawie między wiceministrem handlu zagranicznego Antonim Karasiem i dyr. gen. w *Federalnym Ministerstwie Gospodarki* — Helgą Steeg. Rozmowy dotyczyły także możliwości rychłego zwołania sesji mieszanej komisji gospodarczej PRL-RFN. ■ W Berlinie Zachodnim odbyło się seminarium na temat perspektyw współpracy gospodarczej i handlowej z Polską, zorganizowane przez miejscowy *Instytut Doskonalenia Kadr dla Przemysłu*. Ze strony PRL uczestniczyli m.in.: Wiesław Sadowski, z-ca pełnomocnika rządu d/s reformy gospodarczej i Zbigniew Karcz, dyrektor departamentu zagranicznego *Ministerstwa Finansów*. Heinrich Machowski, ekspert do spraw wschodnich *Niemieckiego Instytutu Badania Ekonomii*, entuzjasta „polskiego cudu gospodarczego” z okresu rządów Gierka przyznał w końcu, że Polska nie osiągnęła „na nowo poziomu swego eksportu z 1978 roku i to mimo pewnego wzrostu produkcji i wydajności, jak również zwiększenia eksportu surowców, i zapewne przed 1990 rokiem poziomu tego osiągnąć nie zdoła”. Reinhold Stössel z *Dresdner Bank*: „Ponieważ pertraktacje pomiędzy Polską a rządami zachodnimi na temat konwertowania zadłużen zostały zamrożone od grudnia 1981 roku, nowe i poręzione przez owe rządy kredyty są na razie nie do pomyslenia”. ■ W księgarni *M. Lengfeld* w Kolonii miał swój wieczór autorski Leszek Szaruga z Warszawy. ■ W księgarni *Herdera* w Monachium Władysław Bartoszewski wygłosił odczyt na temat stosunków między narodami polskim i niemieckim ze szczególnym uwzględnieniem elementów historycznych i psychologicznych. Wśród ponad 3000 słuchaczy obecny był bawarski minister oświaty i wyznań, prof. Hans Maier, prezes *Centralnego Związku Niemieckich Katolików*. Prof. Bartoszewski wykłada obecnie na *Uniwersytecie im. Ludwika Maksymiliana* w Monachium. ■ Kilku polskich działaczy emigracyjnych i dziennikarzy odmówiło wzięcia

udziału w dorocznym kongresie *Międzynarodowego Towarzystwa Obrony Praw Człowieka (IGFM)* we Frankfurcie n/Menam. Dr Ludwik Frenzl, przewodniczący *Polskiej Rady Narodowej w RFN*, stwierdził w liście skierowanym do *IGFM*, że szereg Polaków zerwało współpracę z *Towarzystwem* z powodu publicznego kwestionowania prawnego charakteru granicy na Odrze i Nysie przez prezesa *IGFM* — dra Reinharda Gnaucka. ■ Zachodniemieccy komentatorzy prasy i radia wyrazili zdziwienie, że kard. Józef Glemp „z bezpiecznej odległości (tzn. w czasie swego pobytu w Brazylii — A.J.Ch.) pozwolił sobie na bezpodstawną krytykę *Solidarności* i Wałęsy”. Z tenoru niektórych komentarzy niedwuznacznie wynika, że Prymas Polski powinien zająć się ważniejszymi sprawami, np. podjąć najrychlej rozmowy w Waszyngtonie, Bonn i Brukseli odnośnie zrealizowania projektu utworzenia *Fundacji Pomocy Rolnictwu*. ■ Roman Stefanowski z *Ośrodka Badań Radio Free Europe* w Monachium opracował już VI tom z serii *Poland: A Chronology of Events (Polska: Kronika wydarzeń)*. Ostatni tom nosi tytuł *Poland under Martial Law. A Selection of Documents. December 1981 - December 1982 (Polska w okresie stanu wojennego. Wybór dokumentów grudzień 1981 - grudzień 1982)*. Monachium, marzec 1984, str. 317. ■ Po 4-letniej przerwie odbyło się w Bonn posiedzenie *Wspólnego Komitetu Koordynacyjnego Forum PRL-RFN*. III sesja *Forum* odbyła się w maju 1980 roku w Darmstadt. Delegacja reżymowa (Ryszard Wojna) zaprosiła stronę RFN na IV sesję we wrześniu bież. roku do Krakowa. Niemieccy uczestnicy spotkań są dobierani przez zdominowane przez socjaldemokratów bońskie *Niemieckie Towarzystwo d/s Polityki Zagranicznej*.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Ona Lukauskaitė-Poškiene, której nekrolog ukazał się w poprzednim nrze *Kultury*, w młodości dla swych polskich znajomych zwała się Hanią Łukowską. Obie z siostrą były gorącymi socjalistkami i gdy w roku 1940 został utworzony rząd prosowiecki, ruszyły na czele tłumy, który uwolnił więźniów politycznych. Gdy po niejakiem czasie szwagier Hani trafił do więzienia, obie siostry powiedziały: „Nie wiedzieliśmy, dla kogo zrobiliśmy miejsce w więzieniu”. Może wtedy zaczęło się rozczarowanie, które spowodowało lata katongi i udział w Komitecie Helsińskim. ■ Z kursującej na Zachodzie odbitki litewskiego nielegalnego periodyku *Aušra* Nr 32 (72), z sierpnia 1982: W roku 1978 zmarł ks. Chodyka, proboszcz z Gervečiai, rejon Astravas, okręg grodzieński Republika Białoruska i zaczynają się zabiegi parafian o przysłanie księdza z Republiki Litewskiej. Były podania do miejscowych władz, niektóre adresowane „Najdroższy Leonidzie Ilczu”. Widocznie akcja była prowadzona energicznie i z litewskim uporem, bo po roku, w sierpniu 1979, zostało wysłane do Towarzysza Breżniewa pismo następującej treści: „50 razy zwracaliśmy się do organów władz sowieckich, w tym kilkakrotnie do Was, z prośbami o pozwolenie na przyjazd do nas księdza z Litewskiej Socjalistycznej Republiki Socjalistycznej. Wszystkie nasze podania zostały bezpodstawnie odrzucone: prosiliśmy o księdza z republiki sowieckiej, księdza, który pracuje pod rządami sowieckimi. Jeżeli w czasach polskiej okupacji władze polskie umożliwiały nam modlenie się w ojczyźnie

tym języku litewskim, to czyż władze sowieckie, głoszące, że wszystkim przysługuje prawo posługiwania się językiem ojczystym, miałyby nam odmówić tego prawa? I na jakiej podstawie chce się nas zmusić, abyśmy modlili się w niezrozumiałym nam języku polskim? Wiemy, że bronienie skrzywdzonych na całym świecie, dlatego pokornie prosimy, obrońcie nas od nacjonal-szowinistów". Gervečiai, 1979. VIII. 23. ■ W tymże numerze *Aušry* znajduje się wiadomość, że w roku 1981 obywatel republiki wydał na alkohol przeciętnie 755 rubli, co stanowiło 38 % wydatków na żywność. ■ Prasa emigracyjna cytuje wiadomości o masowych protestach i petycjach do Andropowa z racji uwięzienia ks. S. Tamkevičiusa, na których zebrano 50 tys. podpisów. Jeszcze w listopadzie ub. roku, kiedy nie wypuszczono biskupów litewskich na Synod do Rzymu, pełnomocnik dla spraw religii oświadczył, że wątpi by Papież został zaproszony do Wilna na jubileusz Św. Kazimierza, gdyż Związek Sowiecki i Watykan nie utrzymują stosunków dyplomatycznych. ■ W prasie niemieckiej ukazały się rozważania, że może Papież odwiedzi Litwę w roku 1987, w 600-lecie jej chrztu. ■ Ilość księży na Litwie spadła poniżej 700, a w roku 1940 było ich około 1.300. ■ Po śmierci szefa dyplomacji litewskiej St. Łozoraitisa jego następcą został dr Stasys Bačkis, poseł litewski w Waszyngtonie, któremu będzie pomagać jako radca poselstwa syn zmarłego szefa dyplomacji. St. Łozoraitis (jr) zachowa nadal stanowisko reprezentanta Litwy przy Watykanie. Ks. Bačkis, zajmujący wysokie stanowisko w administracji watykańskiej, jest synem pośła Bačkisa. ■ Emigracja litewska zebrała \$ 130 tys. na remont gmachu poselstwa w Waszyngtonie.

E. ŻAGIELL

STANISŁAW ŻOCHOWSKI

„NSZ — NARODOWE SIŁY ZBROJNE”

(Londyn — 1983)

Jest to obrona formacji, atakowanej ze wszystkich stron, której autor jest teraz najstarszym żyjącym oficerem. Nie jest to historia, ale relacja dynamiczna, interesująca, pasjonująca — irytująca i drażniąca. Pisana przez oficera Sztabu Generalnego, prawnika, historyka i publicystę. Odkrywa to, co wielu chciało zakryć przed światłem i drukiem.

Na składzie w **Katolickiej Drukarni VERITAS**
4-12, Praed Mews, London W2 IQZ, England

Z pustyni i z puszczy

Ad Rem

Motto: „Wyjaśniamy także, że nasi ZOMO-wcy wieczorami mdleją z przerażenia przy telewizorach, kiedy oglądają aktualne obrazki z rozpędzania w Paryżu różnych demonstracji”.

Jan Rem, „Samosądy”, *Tu i teraz* nr 51, 1983.

Polacy, jak wiadomo, są różni. Wiadomo, że obok patriotów, bohaterów, mędrców, ludzi prawych, uczciwych i odważnych mieliśmy i mamy w historii chamów, rzezimieszków, kupczyków, cwaniaków, handlarzy patriotyzmem, koniunkturalistów, plotkarzy, serwilistów, bandziorów, cyników, cudzych lokajów i zwyżających zdrajców. W okresach temu sprzyjających, na przykład kiedy rząd pragnie zmienić naród albo wypowiada mu wojnę, wielu ludzi potrafi łączyć wszystkie te cechy negatywne w jedną spójną całość, bądź prezentować tylko niektóre z nich. Nie omija to oczywiście żurnalistów, a nawet skłonny byłbym twierdzić, że są oni na to bardziej podatni niż inne środowiska czy grupy zawodowe. Dotyczy to zarówno starych żurnalistycznych chabet, jak i młodych koniunkturalistów. Racje tych ludzi nazywają się wówczas realizmem politycznym, ich mocodawcy wybacicielami narodu od zła jeszcze gorszego, ich uwięzieni przeciwnicy wicherzycielami i zdrajcami. „Opozycja mówna lub piśmienna przeciw władzy zowie się tu buntem, zdradą. Tak i cesarzewicz z Nowosilcowem rozumowali” — jak pisał Maurycy Mochacki w 1831 roku.

To dla ludzi tego pokroju stworzono w 1982 roku, w Warszawie, tygodnik *Tu i teraz*, który zapewne dla przyszłego badacza czasopiśmiennictwa polskiego będzie kroniką obrzydliwości naszych lat. Nawet gdyby ograniczyć lekturę do stopki redakcyjnej, to same nazwiska żurnalistów powiedzą wszystko. Nie mówiąc już o stałych współpracownikach.

Bo też kogóż tam nie ma... Autor „Piątki z ulicy Barskiej”, któremu nikt w porę nie zdjął harcercskich — a raczej pionier-

skich — majteczek i porządnie nie złożył skóry, Zbigniew Safjan, specjalista od fałszowania polskich losów wojennych, Klemens Krzyżagórski w garniturze odwiecznego liberała, który nigdy nie odmawia władzom, Stanisław Stanuch, subtelny znawca poezji Andrzeja Bursy i tez na kolejne zjazdy partii, Marek Wawrzkiwicz, poeta metafizyczny i naturalista partyjny, Zbigniew Niernacki, autor kryminałów będących przestępstwem kryminalnym, major Wiesław Górnicki, przyjaciel generałów, dobry duch ZOMO, felietonista, kumpel plutonowego, a może pułkownika Urbana, Jan Zbigniew Słojewski, który przez dwadzieścia lat udawał starszka Hamiltona w *Kulturze*, ale z młodzieńczą werwą zabierał głos na różnych zebraniach i zjazdach zawsze po właściwej stronie... I tak dalej. Jeszcze kilkunastu panów i kilka pań. Brakuje mi trochę chwalonego bez przerwy w piśmie Artura Sandauera, ale trudno; widocznie ten wnikliwy krytyk i esteta woli *Żołnierza Wolności*, wizytowanie poligonów wojskowych i zupę z żołnierskiego kotła.

Niektórzy żurnaliści uważają za stosowne wytłumaczyć szerszej publiczności, jeśli taka jest, swoją obecność w redakcji. Wzruszające wyznania pod tytułem „Wracam w starą skórę” czyni, na przykład, Hamilton (nr 3, 1984):

„(...) Zaczynając w 1982 roku kolaborację z zamordystowskim *Tu i teraz* zmieniłem tytuł 'Perswazje' na 'Pełzając pionowo', a pseudonim z Hamiltona na Karakallę, bo wcześniej — jeszcze we *Współczesności* — pisywałem tak podpisywane felietoniki, ale tego już nikt nie pamięta poza mną i Koźniewskim, który zna wszystkie pseudonimy i kryptonimy prasy polskiej. 'Pełzając pionowo', bo był slogan 'Pełzająca kontrrewolucja' i w 1981 roku studenci zaczęli nosić plakietki 'PK', na których ktoś zrobił ogromne pieniądze. Też dlatego, że zaczął się niedawno stan wojenny i nie wiedziałem, co się da w *Tu i teraz* drukować”.

Trudno o bardziej szczerze i ujmujące wyznanie, z którego w dodatku wynika, jak dobrze poinformowany jest o wszystkim żurnalista Koźniewski.

Nie mniej ciekawe są osoby stałych współpracowników pisma. Jest tu oczywiście Zygmunt Kałużyński, etatowy telewizyjny błazen wszechczasów, jest Jerzy Urban, felietonista rządu i rzecznik prasowy *Tu i teraz*, jest generał brygady Albin Żyto („Wojsko żyje kulturą narodową”, nr 41, 1983) oraz niejaki Jan Rem, felietonista bardzo hołubiony, którego artykułom warto przyjrzeć się uważnie.

Dla przypomnienia. Nie wszyscy wiedzą i pamiętają, że biednemu satyrykowi rządowemu — który zresztą sam jest jedną, wielką satyrą — Jerzemu Urbanowi zamknięto usta. Zamknęli mu usta: Episkopat i koledzy (m.in. Wojciech Żukrowski!) po felietonie „Wiosna nasza” (nr 41, 1983), w którym obrażał bezpartyjnych posłów w sejmie i Kościół, oraz po felietonie „70 lat później”, uwłaczającym pamięci ojca Maksymiliana Kolbe. Wszyscy jakoś zgodnie doszli do wniosku, że ten facet nie powinien pisywać niczego oprócz przemówień dla generała Jaruzelskiego.

Przed zamknięciem ust (?) Urban opublikował w stałej rubryce „Samosądy” ostatni felieton pod tytułem „Usta” (*Tu i teraz* nr 7, 1983), z którego pewne kwiatki warte są przypomnienia.

Pisze Urban:

„Nie wiem czy istnieje druga, poza PZPR, partia polityczna na świecie, która tyle razy, tak otwarcie, a nawet masochistycznie rozliczała się ze swoją przeszłością. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest wręcz obtłuczona od tych rozrachunków, od ujawniania i oceniania wszelkich gatunków zła, które przewija się przez jej dzieje. Dokonywała tych samokrytyk sama, przeciągając je do granic politycznej wytrzymałości”.

Urban oczywiście ma rację. Poza komunistyczną partią Bułgarii, Rumunii, Korei, Albanii, Węgier, komunistyczną partią Niemieckiej Republiki Demokratycznej, komunistyczną partią Wielkiego Brata, komunistyczną partią Czechosłowacji, komunistyczną partią Chińskiej Republiki Ludowej i Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą nie ma innych partii politycznych na świecie i w historii świata, które by tyle razy tak otwarcie rozliczały się ze swoją przeszłością i tyle razy i tak otwarcie nic by z tego nie wynikało. Nad obtłuczeniami będą się zastanawiali psychoanalizy i badacze aberracji społecznych i politycznych w przeszłości, mam nadzieję, już niedalekiej.

Kończąc — jak sam pisze — „tabędzi śpiew”, Urban oznajmia:

„Na czas pełnienia funkcji rzecznika oddaję 'Samosądy' w dzierzawę. Dzierżawcą mianuję zdolniejszego ode mnie kolegę. Niestety ma on poglądy o wiele mniej, niż ja umiarkowane”.

„Samosądy” Urbana doczekały się wydania książkowego („Książka i Wiedza”, Warszawa 1983, str. 190) oraz, oczywiście, recenzji w *Tu i teraz* pióra Franciszka Fruzińskiego (nr 44, 1983), o którym nie mogę nic powiedzieć, ponieważ nikt go nie zna. Z recenzji wynika, że Urban jest Antonim Słonimskim naszych czasów (biedny pan Antoni!), „jego impetyczne pióro nie cofało się przed niczym”, z tego wszystkiego został ministrem, ale pozostał również publicystą, a „książka 'Samosądy' to piękny owoc tej ambiwalencji”.

Pisze Fruziński:

„(...) cała plejada najwybitniejszych polskich publicystów — takich jak Urban, Toeplitz, Passent, Kałużyński, Górnicki opowiedziała się w 1980 i 1981 roku po stronie rządu, przeciw 'Solidarności'. I nic to nie dało do myślenia ogółowi ich czytelników spośród tak zwanej inteligencji! A przecież o ileż by się korzystniej potoczyły wydarzenia w Polsce, po sierpniu 1980, gdyby polska inteligencja zaufała rozsądkowi swoich ulubionych publicystów”.

Myślę, że Fruziński jednak nie ma racji. Ogół Czytelników bardzo dużo myślał o publicystyce wyżej wymienionych i doszedł do wniosku, że gdyby zaufała ich rozsądkowi, Polska w niedługim czasie zostałaby priwislanskim krajem.

Pisze Fruziński: „Urban, często dawniej jako dziennikarz sekowany, na koniec znalazł swój rząd!”

Warto przypomnieć, za co to Urban jako dziennikarz był dawniej sekowany. W czasach gomułkowskich Urban zaatakował przewodniczącego Krakowskiego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego doktora Marcinkowskiego. Wyśmiać doktora Marcinkowskiego i propagandę antyalkoholową w jego wydaniu nie jest trudno, ponieważ każdy tekst doktora sprawia wrażenie, jakby był pisany przez półanalfabetę po pół litrze czystej. Żeby nie być gołosłownym przytoczę fragment „Ulotki młodzieżowej”, wydanej przez Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy w 1976 roku i podpisanej przez doktora Marcinkowskiego:

„Kochane dzieci, Polska Ludowa dała Wam wszystko, dała Wam bezpłatną naukę, oświatę, leczenie, równy start życiowy i możliwość osiągnięcia najwyższych nawet stanowisk w naszej Ojczyźnie. Rodzicom Waszym zabezpieczyła pracę i wysoką stopę życiową w rozwijającej się Ojczyźnie Ludowej. Wszystko to zawdzięczamy ustrojowi sprawiedliwości społecznej, socjalizmowi, o który walczyli i ginęli w boju i więzieniach hitlerowskich najlepsi synowie naszej ziemi. Na jednym tylko odcinku naszego życia dzieje się źle. (...) Tym złem, tą starzyzną, jest panujące jeszcze wciąż pijaństwo i alkoholizm. Musicie poznać i zapamiętać na całe życie podstawowe prawdy o alkoholu — truciznie. (...) 1. Dlaczego alkohol jest niebezpieczny: bo jest najtańszym narkotykiem. 2. Co to jest alkoholizm: choroba społeczna, niestety prawie nieuleczalna. A pijaństwo? wynik ciemnoty i przesądów, że alkohol jest potrzebny. 3. Jakie są skutki używania i nadużywania alkoholu: prawie wszystkie choroby, katastrofy, zbrodnie, nieszczęście rodzin i dzieci pijaków. Dawka już szkodliwa: około 20 g = 1 kieliszek głębszy. 'Setka' wódki powoduje już nietrzeźwość kierowcy. Dawka śmiertelna? pół litra wódki — jest dawką śmiertelną. 4. Co wiesz o mózgu i alkoholu: alkohol rozpuszcza się w mózgu, a mózg w alkoholu. Mózg jest najlepszym skarbem człowieka: alkohol najgroźniejszą trucizną mózgu. 5. Czemu ludzie piją: z braku informacji o tej truciznie, przez głupie naśladownictwo, namawianie, zmuszanie, przez kłamstwa pijackie, że alkohol leczy i rozgrzewa i daje radość. Tymczasem, alkohol robi z nas najpierw błazna, potem szaleńca i topielca (Szekspir). 6. Jak walczyć z pijaństwem? własnym przykładem: samemu nie pić, innych uczyć i ostrzegać przed każdym alkoholem, jak przed nieszczęściem dla człowieka, rodziny, dziecka, całej naszej Ojczyzny. 7. Czy piwo jest napojem alkoholowym? tak, bo zawiera od 2-8 i więcej procent alkoholu. Piwo jest niebezpieczne w transporcie, na budowie i także może prowadzić do alkoholizmu i chuligaństwa. 8. Co najpewniej chroni przed alkoholizmem: abstynencja harcerska i lekarska. Bądź harcerzem. 9. Kto zabrania młodzieży do 18 roku życia używania napojów alkoholowych: Sejmowa Ustawa z roku 1959 — w trosce o zdrowie i bezpieczeństwo młodzieży. 10. Jakie choroby powoduje alkohol: alkoholizm i inne choroby nerwowe, uszkodzenie wątroby, serca, naczyń krwionośnych, żołądka i najważniejszych gruczołów jak trzustka, nadnercza, gruczoły płciowe. 11. Jaki napój alkoholowy jest najgroźniejszy: wódka — jako alkohol stężony. Niestety w spożyciu wódki mamy pierwsze miejsce. Musimy z tym skończyć, dla dobra Ojczyzny. Młodzież tj. Wy musicie w tym pomóc”.

Biedny Urban nie przewidział, że Władysław Gomułka, mąż stanu o umysłowości najbardziej tępego sołtysa w Polsce, w pełni zgadza się z doktorem Marcinkowskim, jego działalność

uważa za niezwykle pożyteczną, a jego ulotki za literaturę piękną na najwyższym poziomie krajowym. Taka jest historia Urbana jako odważnego publicysty, prześladowania go przez cenzurę i zakazu druku.

Powróćmy jednak do współczesności. Od czasu kiedy Urban „zakończył” publikowanie felietonów w *Tu i teraz*, jego „kolega” Jan Rem zaprezentował już w wielu numerach pisma szeroki wachlarz poglądów w dość jednolitym stylu. Zapomniał jednak, że styl to człowiek. A styl ten dziwnie przypomina felietony rzecznika prasowego *Tu i teraz* Jerzego Urbana.

I pomyślałbym, że to naprawdę Jerzy Urban, gdyby nie na przykład zdanie, które miałem przyjemność przytoczyć jako motto niniejszego felietonu. Czyżby nasz mądry rząd miał tak niedorzecznego satyryka? Przecież takiego zdania nie napisałby żaden żurnalistyczny półanalfabeta, których na kopy produkuje wydział dziennikarski. A w ogóle nikt o inteligencji przeciętnej pudła.

Zostawmy więc Urbana i przejdźmy *ad rem*. Jan Rem — jak już zostało powiedziane — zaprezentował szeroki wachlarz poglądów rzeczywiście niezbyt umiarkowanych. Ale też trudno o poglądy umiarkowane, gdy ma się konkurencję w osobach Kazimierza Koźniewskiego, Michała Misiornego, Bohdana Rolińskiego, Ignacego Krasickiego, Zygmunta Kałużyńskiego, Daniela Lulińskiego, Mieczysława F. Rakowskiego, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Daniela Passenta, Wiesława Górnickiego, przepraszam majora Wiesława Górnickiego, Andrzeja Wasilewskiego, Józefa Lenarta, Władysława Machejka, Artura Sandauera, Tadeusza Chróścielewskiego i innych.

W felietonie „Reżimowiec i Angielka” (nr 52, 1983) Jan Rem jako „reżimowiec” wyznaje: „Nasz ustrój polityczny i nasze państwo od początku jawnie oznajmia, że swobody nie dotyczą tych, którzy ten ustrój negują i zwalczają. Powoduje to, że skrajna opozycja polityczna działa nielegalnie, w podziemiu”.

W felietonie „Strauss nie wyśle paczki” (nr 33, 1983) Jan Rem dzieli z Franciszkiem Józefem Straussem pogląd, że do Polski nie należy wysyłać już paczek, bo uwłacza to godności narodu polskiego. F. J. Strauss jechał do Polski z obrazem nędzy, głodu i strachu w oczach, z obrazem malowanym na Zachodzie przez Wolną Europę, a zobaczył kraj mlekiem i miodem płynący, zobaczył, „że żyje się u nas nie tak źle i poprawiają się warunki tego życia”. Nie mógł zobaczyć czegoś innego, bo przecież „oczy takich ludzi z Zachodu są zdecydowanie zamknięte na wszelkie przewagi socjalizmu”, a zatem „jego sprostregawczość nie objęła dobrodziejstw, którymi nasz kraj góruje nad jego krajem: brak strachu o pracę, wolności pracownicze, egalitaryzm, opiekuńcze praktyki państwa itd. itp.”.

Zatem — zdaniem Rema — F. J. Strauss zobaczył w Polsce dobrobyt. Do tego kraju dobrobytu płynie z Zachodu szeroki strumień paczek, które demoralizują całe społeczeństwo. Robot-

nicy zamiast tyrać jak Lenin przykazał, poprawiać „swoją stosunek do pracy, jej sprawność i wydajność”, wyczekują na paczki z Niemiec. Dla pisarzy i aktorów paczki są honorariami za bojkoty i protesty. A przecież w Polsce „jest głód siły roboczej”, „system kredytowy otwarty jest na wspomaganie każdej drobnej prywatnej inicjatywy gospodarczej w mieście i na wsi”, „jesteśmy krajem wciąż stosunkowo łatwych możliwości materialnego awansu”, a gdyby komuś nie chciało się pracować, dokształcać, bądź korzystać z dobrodziejstw, jakie ustrój stwarza, to „Polska jest krajem niewykorzystywanych funduszy na pomoc społeczną”.

Z rzeczowego felietonu Rema jasno wynika, że Polska nie jest na poziomie Trzeciego Świata. „Powiedzcie obywatelowi Bangladesz albo Czadu, że do takiego kraju idą z Zachodu kontenery pełne paczek: szlag go trafi!” — krzyczy nasz satyryk.

„Poczynania charytatywne i ideologia filantropii są głęboko skłócone z sensem socjalizmu i to w tym jego wymiarze, który jest powszechnie w Polsce wyznawany, zakorzeniony. Marksizm uważa jałmużnę za zwrot ułamka wartości przywłaszczony sobie przez bogatych niesprawiedliwie, w wyniku wyzysku. Propagowanie jałmużny zawsze stanowiło wspieranie stosunków opartych na wyzysku, metodę łagodzenia złego samopoczucia wyzyskiwaczy. Potrzebującemu członkowi naszego społeczeństwa pomoc się należy, nie powinna więc ona być łaską, ani darem”.

Mówiąc innymi słowami Rem po prostu uważa, że kapitalistyczni wyzyskiwacze powinni, w ramach ekspiacji, przynajmniej połowę rocznej produkcji przeznaczyć dla krajów komunistycznych, które doprowadziły swoją gospodarkę do ruiny, ponieważ dobrobyt Zachodu jest w jawnej sprzeczności z marksizmem. Byłoby jeszcze lepiej, gdy kapitalistyczni wyzyskiwacze sami się rozbroili, oddali władzę w ręce partii komunistycznych w swoich krajach i zaprosili wojska Układu Warszawskiego na wczasy do baz wojskowych NATO.

Polemika z żelazną, marksistowską argumentacją Jana Rema jest niemożliwa. Jediną odpowiedzią może być 'list Kapitalizmu do Drogi Socjalizmu' z książki „Donosów” Sławomira Mrożka. Pisze Kapitalizm:

„Donoszę pokornie, że jestem brzydki i zły i bardzo się tego wstydę. Dawniej tej mojej brzydoty nie było jeszcze tak widać. Ale teraz, odkąd Drogi Socjalizm jest już na świecie, to wszyscy ją widzą przez porównanie. Bo Drogi Socjalizm jest piękny i szlachetny.

Ja bym też chciał być taki ładny i dobry. Ale cóż... morda u mnie podobno we francach, bo gnije, inteligencji brak, bo ona u Socjalizmu, kultury nie mam, zwłaszcza pod względem humanistycznym, zaś o sercu lepiej nie mówić, ono jest po prostu z kamienia, nic tylko bym wyzyskiwał i wyzyskiwał. Ohyda.

Więc jakby Drogi Socjalizm czego potrzebował, to ja bardzo chętnie służę. Z tego wstydu. A także żeby mnie Drogi Socjalizm nie bił. To znaczy, po twarzy owszem, proszę bardzo, nawet przyjemnie, tylko nie po oczach i gdzie indziej.

Może jakich pieniędzy? Albo coś na kredyt? To ja zaraz, ja wszystko... Ja wiem, że pieniądze są wstrętne i Drogi Socjalizm się nimi brzydki, bo

ma inne wartości, więc ja bardzo przepraszam, że proponuję. Mnie wypada mówić o pieniądzach, bo i tak jestem świnią, więc już wszystko jedno, ale Drogiemu Socjalizmowi nie, ja to rozumiem, więc jakby Drogi Socjalizm się jednak przełamał i zechciał łaskawie przyjąć, to obiecuję, że nawet mowy o tym nie będzie. Tylko przelew.

Zgodzi się Drogi Socjalizm? Przyjmie? Bo widzi Drogi Socjalizm, ja też bym coś chciał zrobić dla Ludzkości, a co może zrobić taka świnią i zbrodniarz jak ja? Nic, tylko poprzeć Socjalizm.

Więc niech mi Drogi Socjalizm nie odmawia. Łączę serdeczne ukłony. Kapitalizm”.

Omówienie wszystkich felietonów Jana Rema byłoby niemożliwe i niezmiernie nużące dla Czytelnika. Nie istnieją tematy, których Rem by nie poruszył, nie istnieją dziedziny, w których nie byłby wybitnym specjalistą. Jednakże szczególnie Jan Rem adoruje Mieczysława F. Rakowskiego, natomiast nie lubi prezydenta Reagana, Francuzów, lewicy francuskiej, sankcji gospodarczych wobec Polski oraz korespondentów zagranicznych akredytowanych w Polsce, oprócz tych, z którymi chodzi na kolację, co wśród felietonistów prasy krajowej jest raczej rzadkością. To właśnie z artykułu „Do panów korespondentów” pochodzi motto niniejszego felietonu, zdanie jakby wyjęte z ust satyryka rządowego Jerzego Urbana.

Przytoczmy kilka cytatów z tego samego artykułu:

„Ostatnio na Zachodzie urządzono znów festiwal propagandowy w sprawie Polski. (...) Zdążyliśmy się przyzwyczaić do tego, że w antypolskiej kampanii stosuje się metody bezwzględne, a wśród nich kłamstwa wszelkiego rodzaju. Jednakże ostatnia fala związana z uroczystościami ku czci Lecha Wałęsy ma już znamiona surrealistycznego szaleństwa. (...) Może panowie Francuzi nie wiedzą, że są zwerbowani (przez Reagana! — przypisek mój, J.B.) i maszerują w nogę, a fakty świadczą o tym, że już są w awangardzie. Szczególną aktywność okazuje tzw. lewica, aby odciąć się od historycznych pokrewieństw z komunizmem, wymazać grzechy wspólnych przodków. (...) Niektórzy Polacy o prosocjalistycznej orientacji (czyżby w ogóle byli inni? — przyp. mój, J.B.) niemądrze pytają kierowników polityki polskiej: po co wy jeszcze utrzymujecie stosunki dyplomatyczne z USA czy Francją? Dlaczego kłamiący korespondenci mają prawo pobytu w Polsce? Czemu nasza strona do zmagają wkłada aksamitne rękawiczki?”

Sztandarowym kłamstwem telewizji francuskiej jest film pokazujący, klatka po klatce, jak samochód milicyjny rozmyślnie przejeżdża jednego z demonstrantów. Zapewne telewizja francuska nakręciła ten film na Polach Elizejskich, wynajawszy przedtem kilku ZOMO-wców, ofiarę, oraz polską opancerzoną budę milicyjną, to znaczy samochód marki „Star” numer rejestracyjny MOP 6449. Dziwne tylko, że film jest w posiadaniu paryskiego Komitetu „Solidarności”, a ulica przypomina Wrocław, a nie Paryż. Gdyby jeszcze Rem chciał znać datę kręcenia filmu, to mogę mu podać — trzydziesty pierwszy sierpnia 1982 roku.

W polskim społeczeństwie — zdaniem Rema — istnieje taka mniejszość, a w ogóle margines uważany przez Zachód za cały naród. Ta mniejszość sprzymierzona jest z atakującymi Polskę

totalnie i frontalnie siłami Zachodu i prezydentem Reaganem. Wszystko to pogłębia w Polsce przepaść między samymi Polakami. Wszystko to bardzo martwi Jana Rema, ponieważ może doprowadzić do tego, że Polska będzie miała coraz mniej powinowactw z Zachodem, będzie miała poczucie obłożonej twierdzy, a Polacy przestaną czytać Balzaka i Sartre'a, czego przecież nikt nie pragnie. Jan Rem to naprawdę zdolny (do wszystkiego) felietonista.

Zarówno Jerzy Urban jak i Jan Rem nadużywają w swoich artykułach i felietonach zwrotów „przeciwnik polityczny” i „nasi przeciwnicy polityczni”. Obydwu panom należałoby przypomnieć — choć i tak będą udawali, że nie rozumieją — że władza, która od początku swojego istnienia fałszuje wszystkie wybory do Sejmu, władza, której jedyną legitymacją są obce wojska i rodzimi najemnicy, czyli kryminaliści ze Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej, że taka władza nie może być żadnym przeciwnikiem politycznym ani mieć „przeciwników politycznych”. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Wówczas — czego się tak lęka Jan Rem — pogłębi się przepaść między jednymi Polakami a innymi Polakami, a jak już napisałem na początku, Polacy bywają różni i lepiej wiedzieć, z jakimi ma się do czynienia. Mówiąc na czarne, że jest czarne pogłębimy przepaść sami i nie będą jej musieli pogłębiać Francuzi, Reagan i rakiety „Pershing”.

W numerze czwartym *Tu i teraz* z bieżącego roku, na pierwszej stronie tuż nad tytułem pisma, wydrukowany jest w czarnych ramkach, jak nekrolog, dowcip wymyślony zapewne przez Urbana, Koźniewskiego lub Rema. Cytuję.

„W kawiarniach warszawskich opowiadają: Po wizycie papieża Ali Agca został zwolniony z więzienia. Spotkał się z tajemniczym 'Carlosem'. A ten na niego: Ty idioto, kiedy mówiłem, że masz zabić Polaka w Świętym Mieście, to przecież chodziło o Begina w Jerozolimie...”

Nie wiadomo co bardziej w tym uroczym „dowcipie” podziwiać — jego antysemitkę, jego antypolskość czy jego antypa-pieskość. W każdym razie jedno chociaż jest pewne — dowcip jest KGB-owski. Tuż nad nim widnieje hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. Wynika z tego prosty i logiczny wniosek, że proletariusze wszystkich krajów powinni łączyć się z Ali Agcą, bądź z Carlosem, co by zapewne odpowiadało koncepcjom nieodżałowanej pamięci nieugiętego bojownika o ideały komunizmu i pokój na świecie, byłego szefa KGB Jurija Andropowa.

W chamstwie, arogancji i cynizmie trudno Rema prześcignąć. Wobec tego Rem postanowił być konkurentem sam dla siebie. Jego felieton „Gentleman gubi bobki” (*Tu i teraz* nr 3, 1984) nie ma sobie równych. Remowi nie podoba się opublikowane w pa-

ryskiej *Kulturze* i w Kraju opowiadanie Mariana Brandysa „Małpeczka”. Fabułą tego opowiadania jest pewien epizod z życia warszawskiego dygnitarza (Pieseczek) i warszawskiej dygnitarzowej (Małpeczka), którzy mają dachę na Mazurach. A przecież — według Rema — większość letnich domków na Mazurach jest własnością opozycji, a nie władzy! Píše Rem:

„To z tych rezerwatów politycznych wzięte są do opowiadania 'Małpeczka' kremowe ściany, zapachy włoskich olejków, widoczki motorówek na uwięzi, wielkie problemy zdobywania kury na obiad, lęki przed złodziejami, nagie słoneczne kąpiele dla ratowania ostatnich powabów i także wspomnienia z zetempowskiej młodości sprzed lat trzydziestu paru, kiedy jeździło się na akcję żniwną i deflorowało w sianie swe obecne, kwokowate małżonki.

Przepraszam, Pieseczek dmuchał Małpeczkę w słomie”.

Realia z opowiadania Brandysa są, zdaniem Rema, wzięte z audycji Radia Wolna Europa, ponieważ w czasach stalinowskich Małpeczka odcięta się od aresztowanego pod fałszywymi zarzutami ojca, przedwojennego oficera, a przecież — jak twierdzi Rem — „Eks-dziewczyn, które zaparły się trzydzieści z ha-kiem lat temu swojego tatusia raczej należy szukać w mazurskich rezerwach dla szczerych demokratów, na pastwiskach opozycji, niż w małżeńskich łóżach dzisiejszych prominentów”.

Małpeczka jest dość brzydka, ma zwiotczałe ciało i pogwizduje ostatni przebój Maryli Rodowicz. To wszystko także nie podoba się Remowi, uważa on, że jest to „zohydżanie komunistycznych dygnitarzy” i dygnitarzowych, więc replikuje:

„(...) prominenci opozycji również często ożenieni są z zupełnie takimi samymi babusami, podeszłymi w latach i egzaltacjach. Ożenieni są oni z szyjami, piersiami, brzuchami i udami w ruinie. Wręcz nie jest możliwe, aby dawny reporter i esteta Marian Brandys nie zauważył tego w swoim otoczeniu”.

Felieton Rema zaczyna się od następującego akapitu:

„Ostatnio byłem w kłozecie publicznego użytku, gdzie kontemplowałem literaturę i grafikę ścienną. Dominował głęboko żłobiony w tyńku członek męski ozdobiony skrótem literowym często widocznym w tytułach gazetowych. Smakując ten widok przyłapałem się na dziwnej myśli: byłby tu przede mną pan Marian Brandys?”

Czytelnikom, szczególnie spoza Kraju, chciałbym wyjaśnić, że eufemistyczne określenie Rema „skróć literowy często widoczny w tytułach gazetowych” oznacza litery PZPR (Polska Zjednoczona Partia Robotnicza). Gdyby Rem częściej chodził po ulicach większych i mniejszych miast w Polsce, a nie był po nich wożony samochodem, zauważyłby ten rysunek wraz ze skrótem powtarzający się w setkach odmian na murach, bramach i parkanach. Choć doprawdy trudno mi jest odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Polacy tak często i w taki sposób obrażają męskiego członka.

Ale wróćmy do pierwszego zdania felietonu. Rem był w kłoczcie publicznego użytku, gdzie kontemplował literaturę i grafikę ścienną. Myślę, że był to właściwy człowiek we właściwym miejscu, co w polskim aparacie władzy i wśród jego popleczników zdarza się bardzo rzadko.

Sądzę, że Rem powinien tam pozostać. Pozostać i spuścić nad sobą wodę.

Jacek BIEREZIN

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 381 — SERIA „DOKUMENTY”

PRAWA CZŁOWIEKA I OBYWATELA W PRL W OKRESIE STANU WOJENNEGO

(13. 12. 1981 - 31. 12. 1982)

Opracował Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce.
Z upoważnienia: Zbigniewa BUJAKA, Bogdana LISA, Władysława
HARDKA, Józefa PINIORA, Eugeniusza SZUMIEJKI.

Str. 224.

Cena F. 75,00.

TOM 382

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Rozmowy przeprowadzone w okresie od maja do końca listopada 1982 roku z 16-toma przedstawicielami polskiej inteligencji w kraju, które są świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego.

Str. 246.

Cena F. 75,00.

TOM 383 — MAREK NOWAKOWSKI

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

Nowy tom autora *Raportu o stanie wojennym*, dotyczący życia w kraju po zniesieniu stanu wojennego.

Str. 156.

Cena F. 50,00.

Kronika kulturalna

Ład

Mam szczęście, że pisząc w *Kulturze* o malarstwie, nigdy nie byłem do tej roboty przymuszany. Pisałem o różnych malarzach wówczas tylko, gdy miałem potrzebę o nich pisać. Jeżeli chodzi o malarstwo abstrakcyjne, pisałem o nim dość dużo, i te artykuły weszły do tomu *Patrząc*. Zaś o malarzach abstrakcyjnych pisałem — o ile sobie przypominam — jedynie o Janikowskim i ostatnio o Strzemińskim, bo oni jedni dali mi autentyczne przeżycia malarskie.

Idąc na wystawę Joanny Wierusz*, myślałem z niepokojem, czy naprawdę jej sztukę potrafię przeżyć. Spotkała mnie prawdziwa niespodzianka. Nie odnajdywałem tam żadnej widocznej genealogii, którą się zwykle krytyk ratuje, kiedy nie ma nic do powiedzenia i wpada w szeregowanie i przeciwstawianie przeróżnych „izmów”, odnajdując w jednym z nich miejsce danego malarza. Ta najprostsza krytyka, którą każdy malarz w artykułach o sobie znajduje nieraz irytuje, bo prawie nic nie mówi. Trzeba by pisać, jeżeli nie wyłącznie, to przede wszystkim o malarzu jako takim. Jeżeli go nie przeżyjemy w jego „jedyności”, znaczy to, że nie potrafiliśmy go zobaczyć.

Moja niespodzianka i moje zdziwienie polegały na tym, że patrząc na obrazy Joanny Wierusz, nie miałem żadnej potrzeby, nawet możliwości, wiązania jej z jakąkolwiek genealogią. To co zobaczyłem, stało się dla mnie przeżyciem wyłącznie jej malarstwa. Ten szereg wielkich płócien wydał mi się próbą rozwijania i pogłębienia jednego problemu i jednego widzenia. W każdym płótnie przeprowadzona jest jakaś fuga muzyczna, od głębokiej czerni do białości, która aż krzyczy; ale przejście od czerni do bieli zawiera za każdym razem niezliczone zestawienia kolorów: to szafirowych, to zielonych to brązów, aż na granicy czerwieni. Cała wystawa robiła wrażenie wielkiej harmonii, zadziwiającego

* Galeria Les Cimaisses Ventadour, 6-30 marca 1984.

ładu i dawała dzięki temu odczucie osobliwie autentycznej sztuki. Mniej potrafiłem to odczuć w jej tak czystych rysunkach, ale i wśród nich jeden duży rysunek, wąski i podłużny, dał mi silne przeżycie New Yorku, chociaż składał się prawie wyłącznie z kresek cieńszych czy grubszych czarnego koloru. Nie umiałbym porównywać i zestawiać malarstwa Joanny Wierusz z pracami malarzy, których znam. Jest ono samo w sobie istotnym wyrazem jakiegoś ładu wewnętrznego i muzyki wewnętrznej — czegoś, czego żaden człowiek nie potrafił zdobyć inaczej, jak przez długą i samotną pracę artysty. Za to wyjątkowe przeżycie trzeba być wdzięcznym Joannie Wierusz.

Józef CZAPSKI

Polcul Foundation

NIEZALEŻNA FUNDACJA POPIERANIA KULTURY POLSKIEJ

Istniejąca zaledwie od trzech lat POLCUL FOUNDATION może się poszczycić dużymi osiągnięciami. W roku 1981 Fundacja wyróżniła 32 osoby. W roku 1982, ze względu na specyficzne warunki wywołane ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego, zrezygnowano z przyznawania wyróżnień indywidualnych. Zamiast tego dotacja Fundacji przeznaczona została na wydanie książek autorów krajowych (pisarzy i uczonych), które nie mogły ukazać się w kraju. W roku 1983 powrócono do zasady wyróżnień indywidualnych; zostały one przyznane 40 osobom.

Wśród wyróżnionych przez POLCUL znaleźli się pisarze: Anka Kowalska, Piotr Wierzbicki, poeci: Janusz Szpotański, Lech Dymarski, historycy: Jerzy Łojek, Adam Michnik i wiele innych osób zasłużonych dla rozwoju niezależnej kultury polskiej. Dotacja Fundacji przyczyniła się między innymi do wydania książek: Jacka Majchrowskiego pt. „Katolickie ugrupowania polityczne”, Adama Michnika pt. „Szkice”, Władysława Bartoszewskiego pt. „Kronika walczącej stolicy” innych.

Warto przypomnieć kilka istotnych szczegółów dotyczących POLCUL FOUNDATION.

1. Fundacja założona została w Sydney, Australia i zgodnie z prawem obowiązującym w stanie Nowej Południowej Walii (New South Wales) zarejestrowana jako „company limited by guarantee” pod nazwą POLCUL FOUNDATION LIMITED, pod No. 265495-19.

Dyrektorami Fundacji są: Jerzy Boniecki — specjalista w dziedzinie urzędów przemysłowych, Krzysztof Nadolski — adwokat w Sydney oraz Jan Pakulski — wykładowca na Uniwersytecie w Hobart, Tasmania.

2. Celem Fundacji jest wyróżnianie indywidualnych osób w Polsce czynnie zaangażowanych w rozwoju niezależnej kultury polskiej (w dziedzinie nauki, literatury, sztuki czy innej) lub w ruchu praw człowieka i obywatela (niezależnych związków zawodowych, niezależnych związków chłopskich lub innych).

Jednocześnie, dla zaakcentowania przyjaźni i współpracy, wyróżniane są z krajów sąsiadujących z Polską lub związanych z nią wspólnym losem, osoby szczególnie zasłużone dla rozwoju niezależnej kultury polskiej.

3. Dochody Fundacji składają się z: (a) odsetków od zainwestowanego kapitału; (b) rocznych składek-dotacji; oraz (c) ewentualnych darów czy zapisów.

Od chwili założenia Fundacji przystąpiło do niej kilkanaście osób z Australii, USA oraz innych krajów. Indywidualne roczne składki-dotacje (\$25) oraz drobne wpłaty pozwalają pokryć bieżące koszty operacyjne (opłaty urzędowe, porta itp.). Wszelkie funkcje Fundacji sprawowane są na zasadzie honorowej; POLCUL nie zatrudnia żadnego personelu.

4. O wyróżnieniach Fundacji decyduje jury, w skład którego wchodzi, obok dwóch dyrektorów Fundacji (J. Boniecki i J. Pakulski) następujące osoby z różnych krajów:

Stanisław Barańczak — USA, Mirosław Chojecki — Francja, Jerzy Giedroyc — Francja, Gustaw Herling-Grudziński — Włochy, Jan Nowak — USA, Eugeniusz Smolar — Wielka Brytania, Bolesław Sulik — Wielka Brytania, Jakub Świąciecki — Szwecja.

Kandydatury do wyróżnień nadsyłane są z kraju przez osoby indywidualne lub instytucje. Mogą one także pochodzić od członków jury. Wyróżnienia przyznawane są raz do roku, drogą tajnego głosowania.

5. Jednorazowe świadczenie Fundacji wynosić może minimum \$500, a maksimum \$1.000. Chodzi o to, aby wyróżnienie takie nie było jedynie symboliczne, lecz stanowiło konkretną i znaczną pomoc finansową. W warunkach polskich wspomniana wysokość wyróżnień spełnia ten warunek.

Jak zapowiada się przyszłość POLCUL FOUNDATION?

Obecnie Fundacja jest w stanie wyróżnić co roku od 20 do 40 osób. Znaczne zwiększenie działalności Fundacji możliwe będzie w wypadku otrzymania większych darów lub zapisów (np. testamentowych). Wiele osób po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach życia na emigracji posiada majątek, który składa się przynajmniej z własności domu czy działki. Przy obecnych cenach wyraża się to wartością kilkudziesięciu tysięcy dolarów lub nawet więcej. Wiadomo jest, iż dla osób nie posiadających rodziny w Polsce lub kraju swego osiedlenia powstaje problem zapisu testamentowego. Jakże pięknym i trwałym gestem będzie przeznaczenie życiowego dorobku na pomoc tym ludziom w Polsce, którzy przyczyniają się do utrzymania i rozwoju niezależnej kultury narodowej. POLCUL FOUNDATION stanowi instytucję gwarantującą tego rodzaju działalność.

Informacje na temat działalności Fundacji oraz form jej poparcia otrzymać można pisząc na adres:

POLCUL FOUNDATION, P.O.Box 193, Rose Bay, N.S.W. 2029, Australia.

Wpłaty na rzecz Fundacji mogą być dokonywane czekiem przesłanym na adres Fundacji lub też przekazem na konto No. 751989 w Westpac Banking Corporation, Rose Bay, 2029, Australia.

bezszałość i okropność — miazgi. W wersji sprzed 20 lat, dziś już źle odbieranej, jeszcze nie „ucukrzonęj” działaniem czasu.

Na emigracji podejmowano próby mniej ambitne, choć np. Benjamin Józef Jenne nazwał „Muła Don Chucho” (2 tomy, 1979, PFK) „książką epoki”. Ale jakiej? Wydaje się, że chodzi tu o okres rozbudowy Caracas, stolicy Wenezueli, która z zaniedbanego nijakiego miasta zamieniła się w nowoczesną stolicę; w planowaniu jej rozbudowy bierze udział Polak, bohater powieści. Autor włączył do fabuły zarys dziejów Wenezueli, przeplatając tok powieści wstawkami o charakterze luźnych dygresji. Jedna z nich, opis zalewu ogromnych stad bydła przez nagłą powódź, świadczy dobrze o możliwościach autora. Pisząc powieść w wenezuelskiej pustelni Jenne doszedł do wniosku, że przeplatanie, jak to określił, „szkiców” z „esejami” daje powieść o „nieznanej dotąd formie”. Tej rzekomej odkrywczoci przeczy twórczość Józefa Mackiewicza czy Sołżenicyna, posługujących się podobną techniką z lepszymi rezultatami.

W Bibliotece „Kultury” poza wznowieniami powieści Gombrowicza, Miłosza i „Krótkiego żywota bohatera pozytywnego” Piotra Guzega ukazało się na przestrzeni ostatnich trzech lat tylko pięć pozycji powieściowych: Henryka Grynberga „Życie codzienne i artystyczne” (t. 324), Stefana Kisielewskiego „Podróż w czasie” (t. 363), Janiny Kowalskiej (pseud.) „Pogranicze” (t. 321), Kazimierza Orłosa nadesłane z Kraju „Trzecie kłamstwo” (t. 312) i Zofii Romanowiczowej „Skrytki” (t. 322). Ta ostatnia powieść, ważny etap w twórczości najwybitniejszej powieściopisarki nie tylko emigracji, ale i współczesnej literatury polskiej, wywołała żywe zainteresowanie krytyki i czytelników. Pisałam o niej w „K” (nr 4/403 z 1981) i po dalszym przemyśleniu konstrukcji powieści cenię jeszcze wyżej dobry warsztat pisarski autorki, a ponadto umiejętność zilustrowania na przykładzie dwu pozornie nietypowych małżeństw trudnych problemów związanych z różnymi formami nieuleczalnych chorób i życiowych sytuacji bez wyjścia. Powaga tych problemów i umiejętność ich ukazania decyduje o uniwersalnej wartości powieści.

„Pogranicze” Janiny Kowalskiej jest cyklem opowiadań, ujętych w ramy pór roku, związanych osobą narratorki i miejscem akcji. Jest także zbeletryzowaną monografią socjologiczną *housing estate* na pograniczu Anglii i Walii, zaludnionego polskimi *displaced persons*, składającymi się na środowisko ludzi różnych przedwojennych „klas” i zawodów zbratanych wspólnotą losów i pracy. Kontakty z walijskim otoczeniem nastroczają okazje studiowania konfliktu kultur na tle odrębności zwyczajów i reakcji na wydarzenia. „Pogranicze” jest syntezą osobistych doświad-

Książki

Rekonesans (dok.)

Proza powieściowa

Większość czytelników emigracyjnych postawionych wobec wyboru: powieść, opowiadania, pamiętnik, dziennik intymny, esej, reportaż opowie się po stronie autentyzmu, jeśli nie autobiografizmu i oświadczy, że presja wydarzeń jest tak silna, że uniemożliwia odbiór współczesności w przebraniu powieściowym.

Stosunek do powieści jako gatunku literackiego jest jednak ambiwalentny i zasadniczo różny u autorów i czytelników. Nie ulega wątpliwości, że dla wybredniejszych odbiorców tzw. literatury pięknej fabularna beletrystyka straciła sens, nuży, nie wciąga czytelnika dalekiego od utożsamiania się z postaciami fikcyjnymi. A przecież i w Kraju i na emigracji ukazują się imponujących rozmiarów przedsięwzięcia powieściowe, w większości wypadków przynoszące rozczarowanie. Klimat polityczny naszych czasów sprawia, że czytelnik odbiera każdą nową powieść jako *roman à clef*, przechodząc do porządku a nawet nie dostrzegając artystycznych wartości utworów.

Klasycznym przykładem tej postawy jest reakcja na „Miazgę” Jerzego Andrzejewskiego, wydaną w pełnym, nieocenzurowanym kształcie w 1981 w Londynie, niemal równocześnie z wydaniem krajowym (w 20.000 egzemplarzy!). Na skutek wieloletniej walki z cenzurą i przesunięcia daty akcji z 1964 na 1969 powieść zamieniła się — może wbrew intencjom autora — w powieść historyczną o ciepłej jeszcze, ale ostro potępionej przeszłości. Klisza „gorzkiego płaszu” z „Wesela” występuje w „Miazdze” w nowym wariantcie. Zastrzeżenia budzi jednak nieprzekonywujący dobór postaci na przeludnionej scenie; odbiera to „Miazdze” charakter panoramy PRL-u, co było do pokazania. A więc chaos,

czeń autorki z wielu osobliwych miejsc postojów i żonglerskim pokazem odrębności typów ludzkich i języka mówionego. „Polak jaki jest” ukazuje się tu w wielu odmianach i bardzo daleko jesteśmy od przyjętych w opisach emigrantów stereotypów. Książki dotąd nie odkryto, ale nie wątpię, że stanie się pewnego dnia rewelacją dla nowych emigrantów i dla Kraju. „A więc to było tak! Tak wyglądało 'pomiędzy' zsyłką czy obozem koncentracyjnym a domem i samochodem bogatych krewnych z Anglii”.

W produkcji wydawniczej Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie na pierwszy plan wybijają się w dziale prozy fabularnej dwie powieści Barbary Toporskiej (-Mackiewiczowej): „Spójrz wstecz, Ajonie” (1981) i „Na Mlecznej Drodze” (1982). Obie oparte są na podobnym schemacie — na nieszablonowym zachowaniu głównej bohaterki — Tesy w pierwszej, a Katarzyny w drugiej. Ze względu na szczegółowe opisy tła, potężny ładunek dokumentacji, czyta się te powieści jak modne dziś monografie „życia codziennego w...”, a więc: międzywojennej Warszawie, prowincji jak z „Dzienników” Żeromskiego (to w pierwszej powieści), a rzymskiego pensjonatu i polskiego Londynu z kończącego się już w tym kształcie Kensingtonu w drugiej. Dygresji jest tyle, a ludzkie problemy są tak banalne, że można mieć wątpliwości, czy Aeon, wzniosły symbol wieczności, znalazłby czas na zajmowanie się losami nijakiej w gruncie rzeczy warszawskiej dziwaczki, „odmieńca”, jakim jest Tesa? Choć, oczywiście, wieczność jest pakowna! — Graham Greene dzielił swe utwory na *novels* i *entertainments*. Stosując analogiczne kryteria, obie powieści Toporskiej zaliczyć można do tej drugiej kategorii, choćby ze względu na występujące w nich wątki kryminalne. Bliskie są także powieściom odcinkowym — tak częste są w nich zmiany miejsca akcji i taka jest mnogość „bohaterów” (w tym dobrze podpatrzona służąca Tesy, Sabina, jak z „Całego życia Sabiny” Boguszewskiej i poprzednicy „bezetów” w międzywojennej Warszawie). Słowem: użyteczne „czytała”, mile widziane w wypożyczalniach książek.

Na granicy powieści, reportażu i dziennika intelektualnego postawić należy „Ucieczki” Alicji Iwańskiej (1982, PFK) o tematyce meksykańskiej, nasycone wyrafinowaną autoironią (w tym bliska jest Janinie Kowalskiej z „Pogranicza”). Gorzej wypadł zbiór opowiadań o podkładzie autobiograficznym pt. „Karnawały” (1980, OPiM), choć niektóre z nich zdają się wiernie oddawać klimat konspiracji w Warszawie i specyficzne problemy okresu adaptacji w Meksyku po nagłym przerwaniu do innego świata.

Listę powieści wydanych na emigracji można by przedłużyć o firmowane przez PFK i OPiM tytuły. W tym: Henryka Grynerga „Życie osobiste” (PFK), Zygmunta Jabłońskiego „Kobieta

bez twarzy” (PFK), Tadeusza Nowakowskiego „Wiza do Hrubieszowa” (1979), Władysława Romanowskiego powieść australijska „Zaginiony czas” (1978, PFK), powieści niewypały J. Paweńczaka (PFK), A. Wiciak-Suchnickiej (PFK), J. Janina (OPiM). *Long short story* Mariana Pankowskiego „Rudolf” (1980, OPiM) mieści się dobrze w etosie „odmieńców” i doczeka zapewne entuzjastycznej oceny w krajowych „Transgresjach”; — *not my cup of tea*. Nie przemówiły też do mnie „kompozycje o zakochaniach i miłości” — „Stan łaska” Janusza Poray-Biernackiego (1982, OPiM) — ale to już wina zbieżności lektury tej książki z cięższego kalibru wydarzeniami krajowymi. O Gonczyńskim (OPiM) wypowiedziała się rzeczowo Janina Katz Hewetson, że książki jego „przynoszą wstyd wydawnictwu”.

W tomikach opowiadań na wyróżnienie zasługuje „Pasażer na gapę” Marka Święcickiego (1983, PFK), dziwne że odzywającego się tak rzadko i tak późno, Waława Lieberta „O miłości i tak dalej” (1982, PFK), Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej „Nadzieja — matka cierpliwych” — z Powstania Warszawskiego (1982, PFK), kanadyjskie opowiadania Waława Iwanika włączone do „Podróży do Europy” (1982, PFK) — i zapewne inne, do których nie dotarłam, np. Adama Strusia „Gaudeamus w cyrku cieni czyli Opowiadki uniwersyteckie” (Londyn 1978, Autor) albo Fr. Kmiotowicza „Bogiem sławiona” (Windsor, Ont. 1979, wyd. Tow. Orkana).

Wreszcie źle napisana dobra książka: „Deszcz pada wszędzie” Mieczysława Stawskiego (Sztokholm 1981, „Jedność”), pamiętnik układający się w „powieść życia”. Autor, warszawiak z krwi i kości, z zawodu lekarz ale i psycholog, pochodził z zdomowionej na Karmelickiej rodziny żydowskiej, uroczyście celebrującej sedery w gronie krewniaków schodzących się z „całej” Warszawy, której stanowili częstą. I tam i obecnie w szwedzkim Örebro autor przetwarzał otoczenie w świat „Lalki” Prusa; nie znam przykładu bliższego współżycia z utworem literackim, determinującym do tego stopnia reakcje autora. Wartość tej autobiograficznej opowieści kryje się w stoickiej postawie autora w stosunku do własnej biografii, do Warszawy i oceny stosunków polsko-żydowskich, w których „obcość i swojskość przeplatają się wzajemnie”. Autor urodził się i wychował w Warszawie, przeżywał w Kraju lata okupacji, pracował po wojnie. „W tym mieście siedział też w więzieniu w latach sześćdziesiątych. Powodem uwięzienia były 'nieprawomyślne' opinie autora zawarte w jego prywatnej korespondencji, której kopie dziwnym trafem trafiły na ulicę Rakowiecką”. Gdy po roku 1968 zmuszony był do rozstania się z Warszawą, nostalgia podyktowała mu w Szwecji książkę-dokument, wymowny obraz wierności niewiernemu krajowi. Staw-

ski pisze także, niestety, wiersze, i co gorsze pokażą ich ilość włączył do swej opowieści. Ale to też dokument.

Eseje, szkice, dzienniki intelektualne

O ile powieść zdecydowanie nie obrodziła na emigracji i na palcach jednej ręki można wyliczyć tytuły godne uwagi, o tyle nowe formy wypowiedzi z pogranicza eseju i dziennika intelektualnego weszły w okres rozkwitu. Predylekcje czytelników i wydawców świadczą wyraźnie o duumwiracie poezji i eseju z towarzyszącym temu zjawisku odwróceniem się od fikcji.

Na pograniczu, a jednak z przechyłem w kierunku powieści, mieszczą się książki Kazimierza Brandysa: „Nierzeczywistość” (1978, IL, Bibl. „K”, t. 285), monolog narratora odpowiadającego do magnetofonu na kwestionariusz o „dotkliwosciach naszego wieku” i „Miesiące” (t. I: 1978-1979, t. II: 1980-1981, IL, 1981-1982, Bibl. „K”, t. 335 i 357), rozpoczęte jako świadoma czy podświadoma kontynuacja „Listów do pani Z.” a przeobrażające się stopniowo w powieść o wzorowym małżeństwie, wspólnie przeżywającym kolejne kataklizmy w tle różnych krajów i różnych środowisk ludzkich. Wielkie przedsięwzięcie pisarskie Brandysa, jak wynika z radia nadal przedłużane, okazało się książką na dzień dzisiejszy, pojemną i chwytliwą. Jest to wymyślna „miskulancja” wrażeń aktualnych, zapisywanych na gorąco, ze wspomnieniami i refleksjami nad losami świata. Egocentryzm autora dyktuje mu kierunki narracji, jest on wszechobecny, rzadko się mylący, prowokujący zrozumienie i wybaczenie jego dawnych i obecnych słabości, żałośnie uśmiechnięty, przyjemnym mikrofonicznym głosem zwierzający się słuchaczom. — Fakt, że „Miesiące”, rozpoczęte w Warszawie, towarzyszą Brandysowi w adaptacji do życia poza Krajem, sprawia, że są nie tylko dobrą lekturą ale i dokumentem.

Maciej Broński (pseud.) określa „Teksty i preteksty” (1981, IL, Bibl. „K”, t. 340) jako artykuły i recenzje, używając jednak przemienne określenia „eseje”. Ów awans gatunkowy tłumaczy się w pojęciu autora tym że recenzje stawały się „pretekstem do powiedzenia swego *quam-quam*”, co sprawiło, że książka „jest czymś w rodzaju subiektywnego komentarza do ubiegłej dekady”. To właśnie decyduje o jej wartości. Tym więcej, że komentarze potrafią być wysoce kontrowersyjne, nawet wtedy, gdy dotyczą wielkości tak dziś wszechobecných jak Norwid, czy tak obsmarowanych wazeliną przepisowych zachwyków jak Iwaszkiewicz w PRL-u. Tomasz Staliński przeobraził się w Stefana Kisielewskiego, zrzucając maskę w gorączce „Solidarności”; Broński, wie-

dząc o tym czy nie wiedząc, śledził przez całe dziesięciolecie pseudonimowe obroty jego wyobraźni i kolejne fazy conradowskiego „oddawania sprawiedliwości widzialnemu światu”. W PRL-u czytający ogół jest u progu odkrywania Władimira Nabokowa; Broński w roku 1974, gdy ów wspaniały pisarz obchodził 75-lecie urodzin, poświęcił mu esej zdradzający dogłębną znajomość rozległego dorobku tego twórcy, będącego „najwybitniejszym — obok Solżenicyna — pisarzem rosyjskim; zdaniem wielu — także amerykańskim”. Dla Wojciecha Karpińskiego triumf pisarstwa Nabokowa będzie tym, co „czyni mu bliską wszelką literaturę emigracyjną, zwłaszcza polską” („Spotkanie z Nabokowem” w „Amerykańskich cieniach”). U Brońskiego — podobnie jak u Jeleńskiego — uderza swoboda obracania się w świecie wielkiej literatury światowej bez ulegania presji tego, co najnowsze, o czym się mówi i pisze dziś, a co jutro utonie „w niepamięci piasku”. — Eseje Brońskiego znane były w większości pilnym ich czytelnikom w miarę ukazywania się w *Kulturze*. — Jury nagród Fundacji Kościelskich wyróżniło je już w roku 1977, nie czekając — wbrew praktyce — na ogłoszenie ich w formie książki, zdając sobie sprawę z tego, że autor-perfekcjonista zwleka z jej wydaniem.

„Tumult i widma” Józefa Czapskiego (1981, IL, Bibl. „K”, t. 342) jest, dla odmiany, składanką wspomnień i recenzji, powstałych na przestrzeni trzydziestu kilku lat powojennych, ogłoszonych w większości w *Kulturze*. Z tym, że „Ludzie i książki” dotyczą w znacznym procencie książek autorstwa znanych osobistości Czapskiemu pisarzy czy osobistości: Andrzeja Bobkowskiego („Querido Bob”), Jerzego Stempowskiego („O Pawle Hostowcu”), Zygmunta Haupta czy Kajetana Morawskiego („Tamten brzeg” i własne wspomnienia) albo Stanisława Kota. Nie są to laurki: Czapski potrafi rozdeptać ofiarę od niechcenia a boleśnie (*vide*: „Lechoń i jego dziennik”). Krajowe wydanie malarskich esejów Czapskiego (wyd. Znak, 1983) opatrzone jest tytułem „Patrzac”; połowa tekstów z „Tumultu i widm”, figurująca w dziale „Ludzie i książki” mogłaby nosić wspólny tytuł „Czytając” — ale „czytając oczyma malarza”. Tam — kolor, tu — słowo. Równie ważne. W rozsianych po książce opisach ziemskich i morskich pejzaży zaciera się granica między opisem a powstającym w mózgu malarza obrazem. Czyta się słowa, myśli się kolorem. Ale: „malujemy tylko procent od kontemplacji” (Norwid). Czytelnik nie traci — jego udziałem jest całość kontemplacji.

„Dziennik pisany nocą (1973-1979)” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1980, IL, Bibl. „K”, t. 318), ciąg dalszy zapisków z 1971-1972 (t. 231) ukazał się w okresie wyraźnego nasilenia

popularności autora „Innego świata”. Cztery wydania w Bibliotece „Kultury”, przedruki w samizdatach krajowych, lektury radiowe (RWE) w wykonaniu Andrzeja Chomińskiego przeobrażające zapis wspomnień w monodram — to wywyższa „Inny świat”, ale przesłania artystycznie nie mniej ważne inne książki. W ich liczbie — „Dziennik pisany nocą”. Tom pierwszy (1971-1972) sygnalizowała w „Szkicach” (str. 229); w drugim uderza poszerzenie zasięgu zainteresowań i tendencja do sprecyzowania założeń teoretycznych tego wielkiego przedsięwzięcia. Jest więc „Dziennik” w zamierzeniu autora selekcją „zapisów typu kronikarskiego z towarzyszeniem komentarzy i refleksji, przy wystrzeganiu się pokus i maniery dziennika osobistego, 'intymnego'”. A także — dodam od siebie — z zanikiem *Lust zum Fabulieren*. Jest to w istocie wymyślna kronika czasów, którymi włada „historia spuszczona z łańcucha” (z określenia Jerzego Stempowskiego), płynąca trzema nurtami: polskim, włoskim i francuskim, oglądana z dwu głównych adresów autora: „naszego Neapolu” i Maisons-Laffitte. Autor wyrusza z nich do Pallotynów na wieczór Miłosza, do Beaubourg na wystawę malarstwa francuskiego w ekspozycjach ze zbiorów sowieckich, na spotkania z przybyłymi z Polski czy rosyjskimi dysydentami. To: Francja. A Włochy — to bardzo wyraźne dwa światy: kalejdoskop wydarzeń aktualnych i pielgrzymki do Duccia w Sienie czy Masaccia we Florencji, to Czerwone Brygady w kontekście rozważań o „Tajnym agencie” Conrada — to Nietzsche w Turynie — i — jak trafnie określił Stempowski — odcyfrowywanie „snów i majaczeń południowych wież i murów” — i szczeranie psów w Dragonei, nocą, daleko od gwaru Neapolu. Kraj trzeci — Polska — oglądana w pryzmacie wspomnień i odczytywana z prasy, książek i rozmów, Polska emigrantów politycznych, rozciągająca się na przestrzeni od „ostatniego cmentarza Rzeczypospolitej” na Monte Casino po wystawę „Bez cenzury” w Wenecji. To, co wyłania się z „Dziennika”, gdy odkładamy książkę, by czytać ciąg dalszy w *Kulturze* — to nie panorama dzisiejszej Europy, ale wskazywanie najistotniejszych problemów na jej mapie politycznej i scenie literackiej — w rzeczywistości lub we śnie (jak w sennym widzeniu Pragi kafkowskiej). Jest to w sumie doskonały formalnie dziennik intelektualisty, majstersztyk komunikowania zjawiska *genius loci*, znakomity pokaz trzymania na uwięzi strefy prywatności, gdyż — jak pisze — „w człowieku istnieje i powinna istnieć strefa, gdzie nikt prócz Boga nie potrafi i nie ma prawa go dosięgnąć” (str. 78).

Konstanty Jeleński tkwi w „Zbiegach okoliczności” (IL, 1982, Bibl. „K”, t. 352) we współczesności oglądanej z Paryża. A to znaczy wiarę w ciągłość wydarzeń historycznych obserwowanych

nych ze stoickim spokojem — czy rezygnacją. U Herlinga punkty obserwacyjne są zmienne — tu, u Jeleńskiego, adres jest stały, a „Zbiegi okoliczności” są w gruncie rzeczy kroniką wydarzeń politycznych (paryskiej „majowej rewolucji” z 1968), literackich (cała część II „O przeczytanych i przeżytych”) i artystycznych („Z Józefem Czapskim w Luwrze”) — oto trzy najbardziej charakterystyczne przykłady głównych nurtów „Zbiegów okoliczności”. W nurcie literackim dochodzi do głosu Jeleński-*kingmaker* — ujmujący niezachwianą wiarą w geniusz Gombrowicza, a trafnością w ocenach Miłosza (już w 1946, gdy we Włoszech ogłaszał w miesięczniku 1-ej Dywizji *Salamandrze* esej o „Klasyku na wygnaniu”, autorze „Ocalenia”). Jest naraz wierny ciotce Żółtowskiej z „Innych ludzi, innych czasów”, „ostatniemu polskiemu encyklopedyście” i prekursorowi Gombrowicza — Józefowi Michałowskiemu — i „Maryni” Czapskiej, której poświęcił „Dział wód” i wzruszające wspomnienie pośmiertne. Już to raz po raz olśniewa czytelnika wierność przyjaźni — raz ofiarowana trwa do grobowej deski — a najpiękniejszym tego świadectwem jest portret Zygmunta Hertza w eseju (bo nie nekrologu) „Zygmunt Hertz, mój przyjaciel”. Jest wreszcie Jeleński bystrym znawcą sztuk plastycznych z berensonowskim wyczuciem (np. „Lebensstein, mitotwórca ludzkiej natury”) nie tylko już spełnionych, ale i przyszłych możliwości wypatrzonych przez niego twórców. Imaginacyjna galeria obrazów wyłaniająca się z kart książki jest warta bliższego oglądu (*vide* „O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej”). Przywykliśmy zresztą, że jeśli Jeleński raczy zabrać głos, chodzi o sprawę wielkiej wagi. Wiecznie młody „Kot”, postarzający się brodą, stał się niepostrzeżenie autorytetem, raczej nieomylnym, bo próbe trzydziestu i więcej lat wytrzymały jego oceny z lat 1950-tych. Miłosz z „Poety i przyrody” (1968) jest logicznym dalszym ciągiem Miłosza z „Ocalenia” i „Światła dziennego” z esejów z roku 1946 i 1954. Rzecz prosta, że doszedł do Nobla — Jeleński wytyczył mu drogę! „Zbiegi okoliczności”, wydobyte z wieloletniego ukrycia noszą datę wydania 1982: oh! to dobry *vintage!*

Czytelnicy emigracyjni zainteresowali się pisarstwem Wojciecha Karpińskiego w roku 1975, gdy — razem z Marcinem Królem — otrzymał nagrodę Fundacji im. Kościelskich w Genewie za „Sylwetki polityczne XIX wieku”. W latach 1980-1983 bibliografia jego utworów powiększyła się o co najmniej 6 tytułów, wydanych „poza cenzurą”, w Paryżu i w Krakowie („Pamięć Włoch”, 1982, Wyd. Literackie). W dorobku tym dominują eseje — pierwodruki wielu ukazały się wcześniej w *Twórczości*, *Tygodniku Powszechnym*, *Znaku*, *Więzi*, *Res Publice* i in. Karpiński jest już dziś dobrze zdomowiony w publikacjach wolnej

literatury polskiej. Dwie opublikowane w Paryżu książki: „W Central Parku” (1982, Libella, w serii „Historia i teraźniejszość”, 6, wydawanej pod auspicjami Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu) i „Amerykańskie cienie” (IL, 1983, Bibl. „K”, t. 372) są wynikiem refleksji nad rozlicznymi aspektami Ameryki, od krajobrazu poczynając na trudnościach recepcji oczyma przybysza z PRL Anno Domini 1980 kończąc. Sześć esejów, składających się na „W Central Parku” jest intelektualną wędrówką po Stanach w roku 1978 „w towarzystwie” Nabokova, widma Lechonia, rozmyślań Alexis de Tocqueville o „La démocratie en Amérique”, pod wrażeniem rysunków Davida Hockneya i Saula Steinberga, wystaw w Muzeum Guggenheima w New Yorku, bogactwa zbiorów bibliotecznych, penetrowanych w każdej wolnej chwili. Esej o „Proroku” — Aleksandrze Sołżenicynie — jest pełną erudycji rozprawą z surowym osądem cywilizacji zachodniej ze słynnej mowy harwardzkiej, zestawionym z analogicznymi wybuchami sprzeciwu Herzena czy Dostojewskiego; tu ujawnia się Karpiński-rusycysta. Książkę kończy „Spotkanie w San Francisco”, dotyczące nie tyle „miłej rozmowy” z przyszłym (wówczas) laureatem Nobla, ile jego twórczości, z dłuższym przystankiem przy „Ziemii Ulro”. Nie unika Karpiński nawyku łącznego traktowania Miłosza i Gombrowicza, choć tak do siebie przystają jak Mickiewicz do Słowackiego (bo wielcy są). Karpiński mówi o imaginacyjnym ich dialogu, szukając *lieu commun* w sytuacji pisarzy-emigrantów?, wygnańców?, „dochowujących wierności światu, otwartych na rzeczywistość w całej jej złożoności”. — „Amerykańskie cienie” są formalnie dziennikiem z pięciodniowego pobytu w Ameryce — od 4. IX. 1981 do początku „wojny przeciw społeczeństwu” 12/13. XII. 1981. O ile w „Central Parku” sytuacja Kraju (1978) jest stale wyczuwalnym podtekstem, nie wybijającym się na plan pierwszy, o tyle stan „wolnej głowy” jest w „Cieniach amerykańskich” przywilejem autora w rzadkich tylko momentach, gdy cienie sprawy polskiej — mickiewiczowską *ośmę* — przedrze olśnienie obrazami w Metropolitan Gallery czy trudno dostępnej kolekcji, stworzonej przez miłośników i znawców malarstwa europejskiego. Bo poza tym panoszy się „sprawa polska” — przypatrzmy się tytułom rozdziałów: „Nowy Jork i polskie niepokoje”, „Wieczór polskich mitów”, „Dyskusja o Solidarności”, „Polskie rozmyślenia w amerykańskiej bibliotece” — i „długie, nocne rodaków rozmowy”. W zakończeniu, jak w poprzedniej książce, wraca widmo Gombrowicza. Że „Dzienniki” jego „to opis wędrówki przez świat. Nie jedermanna, to nie zadanie literatury. Tym zajmuje się filozofia. On zajmował się konkretną egzystencją: oto człowiek, Witold Gombrowicz”. „Amerykańskie cienie” ukazują Karpińskiego w

gombrowiczowskiej sytuacji powrotu do Europy — bez bliższego adresu.

„Chusteczka Imperatora” (1983, Pol.) jest nawrotem do „Sylwetek politycznych XIX wieku” i, zasadniczo, zbiorem artykułów, esejów i recenzji, napisanych i częściowo ogłoszonych w latach 1970-1980 w czasopiśmie, i — jak np. „Słowiański spór” — w niezależnych wydawnictwach w Kraju (1981, KOS). Cz. I — „Wolność i wiara” — w pełni uzasadnia przypisanie tomu Adamowi Michnikowi — jest w niej cykl artykułów politycznych, w tym „Droga do wolności”, komentująca „Road to Serfdom” F. A. Hayka. Część drugą („Słowiański spór”) wypełniają szkice o „zdeprawowanym konserwatyźmie” XIX-wiecznych kapitulantów z Henrykiem Rzewuskim na czele.

Leszek Kołakowski z charakterystyczną dla niego przekorą określa zbiór esejów „Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań” (1982, „Aneks”) jako zbiór „artykułików”, dobranych dość przypadkowo. Nie zgadza się to, na szczęście, z zawartością tomu, podzielonego na: kłopoty a) z kulturą, b) z chrześcijaństwem, c) z socjalizmem, d) z Polską. W tym ostatnim dziale znalazły się dobrze znane czytelnikom *Kultury* „Tezy o nadziei i beznadziejności” i „Sprawa polska”. W sumie jest to wszechstronne „wprowadzenie do Kołakowskiego”, a zarazem świadectwo, że „Główne nurty marksizmu” nie oznaczały monopolu tego kolosa, bo czas się znalazł nie tylko na okresowe diagnozy bliskich dolegliwości, ale i na opracowanie haseł o *Diable* dla encyklopedii Einaudi. W obliczach diabła brak mi swojskiej jego personifikacji z polskiego folkloru, występującego nie tylko w jaśkawkach, ale jak postać z *Alice in Wonderland* zdolnego do uczestnictwa w ludzkich perypetiach, i, rzec by można — dobrotliwego.

„Dziennik 1954” Leopolda Tyrmanda (Londyn 1980, Polonia Book Fund) jest podwójnym zaskoczeniem. Po pierwsze dlatego, że oznacza — lub może oznaczać — powrót autora; po drugie dlatego, że pokazuje innego Tyrmanda i odrywa go od tomów prozy fabularnej, ujawniając co potrafi, gdy jest sobą i pisze do szuflady. Rok 1954 — już niemal 30 lat temu! — to się już czyta jak powieść historyczną, z gatunku jednak utworów odzyskujących aktualność z woli złego losu. Z opisanych wyżej jest to dziennik najbliższy tradycyjnym pojęciom, jako „formy podawczej utworów literackich”, co by to nie miało znaczyć. To określenie ze „Słownika terminów literackich”. St. Sierotwińskiego (1966). Dla Anglików, rozkochanych w *diaries*, dzienniki są wehikułem informacji o wydarzeniach współczesnych z równoczesnym ukazaniem charakteru autora. *That's the case.*

„Czysta” literatura w esejach

Jest ich w języku polskim — a wydanych poza Krajem w formie „druków zwartych” — zastanawiająco mało, co w pewnym stopniu tłumaczy się tym, że np. Tymon Terlecki wydał esej o Wyspiańskim po angielsku, że Weintraub publikuje pisma zebrane w Wydawnictwie Literackim, że niejedno znalazłoby się w *The Polish Review*, a rozprawy o Tadeuszu Sułkowskim i Kazimierzu Wierzyńskim ukryły się w *Antemurale* w przekładach na angielski.

Poza Krajem, po polsku, poza omówionymi już wyżej książkami Wita Tarnawskiego i Ignacego Wieniewskiego ukazały się dwa tomy esejów zebranych Stanisława Barańczaka: „Etyka i poetyka. Szkice 1970-1978” (IL, 1979, Bibl. „K”, t. 303) i może nawet wcześniejszych w tomie „Czytelnik ubezwłasnowolniony. Perswazja w masowej kulturze literackiej PRL” (Paryż 1983, Libella w serii „Historia i teraźniejszość”, 7, wydawanej pod auspicjami Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu). W pierwszej z nich jest, dość przypomnieć, historyczny już esej „Fasada i tyły”, nakazujący by „nie podlegać nicości”, bezlitośnie odsłaniający małość i perfidię Bratnego, pokazujący, jak wygląda udratyzowana recenzja uwolniona od gorsetu IBL-owskich szablonów („O 'Kompleksie polskim’ — rozmyślenia wigilijne na stojąco”). „Czytelnik ubezwłasnowolniony” okiem socjologa literatury demaskuje podkopy reżymowej polityki kulturalnej pod wszelkie formy kultury masowej z kręgu dyskotek, stadionów, „akademii ku czci”, piosenki estradowej i powieści milicyjnej. Życie dopisało już dalszy rozdział o wyzwalaniu się spod ubezwłasnowolnienia i wzbierającej na naszych oczach nowej fali zakazów i wymyślnych form zastosowania metod psychologicznych do terroru.

W tej samej serii paryskiej „Libelli” wydano cykl esejów Ryszarda Przybylskiego „Wdzięczny gość Boga’ — rzecz o poezji Osipa Mandelsztama” (w serii „Historia i teraźniejszość”, 5, Paryż, 1980) — książkę zamyka wybór wierszy w przekładach Barańczaka, Jarosława Marka Rymkiewicza, Słobodnika i in. oraz w filologicznych tłumaczeniach Przybylskiego.

Wreszcie „Tematy i pisarze” Mai Elżbiety Cybulskiej (1982, OPiM), dobrze rokujące na przyszłość eseje krytyczne emigracyjnej debiutantki, polonistki i anglistki chowu krajowego, która po uzupełniających studiach w Oxfordzie pozostała w Anglii i w roku 1980 debiutowała tomikiem wierszy „Próby liryczne” (1980, OPiM). W ocenie Józefa Bujnowskiego eseje Cybulskiej są „rzetelnymi rozważaniami właściwości pisarskich” omawianych przez nią autorów emigracyjnych (w tym Iwaniuka, Pankow-

skiego, Anny Frajlich) i angielskich (Forstera, Virginii Woolf i in.).

W tomie esejów ks. Bonifacego *Miązka* pt. „Teksty i komentarze” (1983, OPiM) najmocniejszymi pozycjami są dwa, dotyczące: „Funkcji przyrody i ziemi w opisie lirycznym Kazimierza Wierzyńskiego po roku 1945” i „Motywów sztuki w opisie lirycznym Wierzyńskiego”; są to rozdziały obszerniejszego opracowania w języku niemieckim („Die lyrische Beschreibung im Nachkriegsschaffen Kazimierz Wierzynskis”, Wien 1977). W pozostałych esejach autor polemizuje z tradycyjnymi ocenami „Księgi ubogich” Kasprowicza, wyraźnie je dewaluując, a w recenzjach „zjada” Alicję Lisiecką za wyniesienie na tron książęcy Adama Czerniawskiego, którego talent wydaje mu się „wąty”.

„Thoreau i jego otoczenie” Szczepana Karola Zimmera (1983, OPiM) jest książką na czasie, odkrywa bowiem myśliciela amerykańskiego, często zestawianego z Emersonem, którego „Obywatelskie nieposłuszeństwo” proklamuje racje zrywów wolnościowych w terroryzowanym przez skorumpowany rząd państwie. Mickiewiczologów książka ta zainteresuje także i dlatego, że jeden z rozdziałów poświęcony jest Sarze Margaret Fuller, wielbicielce Mickiewicza, pocieszanej przez poetę w Paryżu i Rzymie w okresie formowania Legionu.

Twórczość dramatyczna

Mroźek pojawił się po raz pierwszy w Bibliotece „Kultury” w roku 1970 jako autor „Dwu listów i innych opowiadań”, w tym słynnej „Monizy Clavier”. Jako autor dramatyczny wystąpił w roku 1982, publikując dwie sztuki: „Vatzlav” i „Ambasador” (IL, Bibl. „K”, t. 368). Pamiętać jednak należy, że Mroźek jest autorem dotąd drukowanym w Kraju i że w roku 1973 krakowskie Wydawnictwo Literackie wydało „Utwory sceniczne” w wyd. poszerzonym w dwu tomach. W stosunku do znaczenia twórczości Mroźka i popularności jego utworów, a w szczególności tego wszystkiego, co składa się na „teatr Mroźka” (o zasięgu światowym) jest to mało. Wydania krajowe docierają na emigrację w pojedynczych egzemplarzach i np. „Tango” czy „Emigranci” należą do tekstów, na które trzeba długo i cierpliwie polować — i w końcu zadowalać się xeroxami.

Większą od Mroźka dbałość o pełne wydanie swej twórczości dramatycznej wykazuje Marian Pankowski. Oficyna Poetów i Malarzy wydała obecnie większość sztuk teatralnych ulubionego swego autora w tomie pt. „Nasz Julo czerwony i siedem innych sztuk” (1981).

Tamara Karren debiutuje jako autorka modnych obecnie monodramów pod dobrą gwiazdą, bo zarówno „Pani Gabriela. Autoportret z listów” (Zapolskiej), (1977, Pol.) jak i sztuka o Januszu Korczaku „Kim był ten człowiek?” (1981, OPiM — z rysunkami Teresy Lewandowskiej) przeszły zwycięsko przez próbę „żywej” sceny. Karren doskonale operuje cytatai i potrafi trzymać uwagę widowni, poddającej się klimatowi sztuki. Debiut bardzo obiecujący.

Przez próbę teatru przeszła także z powodzeniem adaptacja Dylana Thomasa „Under Milk Wood”, sztuki na głosy, osadzonej w krajobrazie walijskim, od roku 1953 święcącej triumfu na scenach i przed mikrofonami. Tymon Terlecki w adaptacji pt. „Pod Mleczną Drogą” (1981, OPiM) spolonizował Thomasa, zachowując jednak bez szwanku urok oryginału.

Czasopisma literackie

Nad minionym pięcioleciem ciąży jak czarna chmura zamknięcie dwu ważnych czasopism literackich: *Wiadomości* i *Oficyna Poetów*. W obu wypadkach pisma liczyły więcej czytelników niż prenumeratorów. Lamenty i komplementy nie odsunęły groźby bankructwa na skutek złowrogich skutków kryzysu ekonomicznego, wzrostu cen papieru i kosztów druku.

Wiadomości ukazywały się do końca 1980 roku jako tygodnik, a następnie przez dalszy kwartał jako miesięcznik. Od roku 1969 do końca pismo redagowała *de facto* Stefania Kossowska, naprzód w okresach choroby Michała Chmielowca (zm. 1974), a następnie — od sierpnia 1974 — *de iure*. Starania obojga szły w kierunku pozyskania nowych współpracowników i nawiązywania kontaktów z pisarzami krajowego podziemia. W ostatnich latach istnienia pisma częstymi gośćmi byli stosunkowo nowi emigranci: Henryk Grynberg, Roman Karst, Jan Kott, Alicja Lisiecka, Włodzimierz Odojewski, Leopold Tyrmand, Anna Frajlich, Maja Elżbieta Cybulska, Janina Lubaś-Connelly i in.; — pojawiały się przedruki z *Zapisu*, artykuły Bartoszewskiego, Brandysa, Szarugi; Jerzy Zagórski ogłosił w *Wiadomościach* znakomity „Progrzeb Faraona”. Ton pismu nadawały jednak regularnie ukazujące się felietony Wojciecha Wasiutyńskiego i tasiemce Józefa Łobodowskiego („Worek Judaszów”).

Oficyna Poetów zakończyła żywot niespodzianie na numerze 57 z maja 1980. Na krótko przed tym, po 50-tym numerze pisma, Janina Katz Hewetson („K”, nr 12/375 z grudnia 1978) w artykule pt. „Jubileusz *Oficyny Poetów*” życzyła „czytelnikom

pisma i sobie pisma na wyższym poziomie artystycznym i publicystycznym. Tak, ażeby w przyszłości można było chwalić nie tylko przedsięwzięcie, ale i jego jakość”. Życzenia te, niestety, nie tylko się nie spełniły, ale coraz bardziej uzasadniały, a fakt, że pojawiały się od czasu do czasu, na wrywki, pojedyncze utwory pisarzy krajowych (zwłaszcza odwiedzających w tym czasie Londyn) świadczy raczej o sile atrakcyjnej formatu, czcionek i koloru papieru, niż o profilu pisma i jego założeniach programowych.

Na krótko przed zamknięciem *Oficyny Poetów* w nrze 1 (56) Łukasz Osiński zapowiedział w artykule pt. „Rozorać glebę jałową” nowe wydawnictwo *Oficyny* pt. *Syrinx. Akta Społeczności Poetyckiej Polaków* z czynnym udziałem Jerzego Niemojowskiego. Ukazał się nr 1 *Syrinxu* z przekładami poematów T. S. Eliota, ale rozszedł się w gronie wtajemniczonych i mnie ominął. Przesłano mi natomiast z Londynu i Warszawy wycinki z *Polityki* z sierpnia 1981 z artykułem tegoż Łukasza Osińskiego, kimkolwiek by on nie był, „A na widowni pustawo”, choć jak wynika z tekstu na emigracyjnej pustyni literackiej działa poza Krajem „pewna ilość wielkich poetów” a mianowicie: „Józef Łobodowski, Czesław Miłosz, Jerzy Niemojowski, Jerzy Pietrkiewicz i może nawet — ze względu na swoją oryginalność — Bogumił Andrzejewski”.

Emigracyjna pustynia zaczęła zaludniać się stosunkowo szybko — i na różne sposoby. Ukazujący się od roku 1977 *Pamiętnik Literacki*, rocznik Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, spełniający przede wszystkim funkcje informatora o działalności członków Związku i gromadzący dokumentację w postaci materiałów do „Słownika pisarzy polskich na obczyźnie”, wykazy nagród, zestawienia bibliograficzne przekładów itp. — poczynając od tomu IV/1981 publikować zaczął tomy „monograficzne” o charakterze prac zbiorowych na określony temat. Była nim w t. IV twórczość Miłosza, w V — „polscy autorzy w językach obcych”, w VI „polscy poeci poza krajem” — tam także znalazł się 40-stronicowy szkic Bolesława Taborskiego pt. „Młodsza literatura emigracji w perspektywie ćwierćwiecza”. W Komitecie Redakcyjnym, któremu przewodniczył energiczny prezes Związku Józef Garliński biorą udział M. E. Cybulska, ks. J. Mirewicz i Antoni Pospieszalski. Kontynuację rocznika zapewniają dotacje z Funduszu Domu Pisarza w Londynie. W grudniu 1983 ukazał się t. VII, omawiający problemy przekładów z języka polskiego na inne języki.

Ważnym wydarzeniem jest pojawienie się w zimie 1983 w Paryżu nowego periodyku pt. *Zeszyty Literackie* (kwartalnik). Pismo skupia zasadniczo pisarzy młodszych generacji, którzy znaleźli się poza Krajem w wyniku lub w czasie wydarzeń ostatniego

trzydzięciu, ich przyjaciół spośród już dawniej przebywających na emigracji (np. Józefa Czapskiego, Leszka Kołakowskiego, Jana Kotta, Witolda Wirpszę, Włodzimierza Odojewskiego) i politycznych emigrantów z „Europy środka” (z dysydentami rosyjskimi włącznie). Ci ostatni reprezentowani są w Komitecie Redakcyjnym, w którym z pisarzy polskich znaleźli się: Stanisław Barańczak, Ewa Bieńkowska, Wojciech Karpiński i Ewa Kuryluk (wszyscy *nota bene* laureaci nagród Fundacji im. Kościelskich w Genewie). Redaktorką pisma jest Barbara Toruńczyk. W trzech kolejnych numerach *Zeszyty* ogłosiły fragmenty „Dzienników” Józefa Czapskiego z lat 1961/1962, 1965 i 1979 (i 1976), fragmenty wywiadu Wojciecha Karpińskiego z Leszkiem Kołakowskim (nr 2), dwa wywiady z Miłoszem: Aleksandra Fiuta i Ewy Czarneckiej — w obu wypadkach są to przedruki z wydanych ostatnio i stosunkowo łatwo dostępnych książek. W wydanych dotychczas zeszytach najcenniejszą pozycją jest duet Karpiński-Król o Kołakowskim, a mocną stroną notatki i kroniki. Pismo przeżywa obecnie trudny okres formatywny — towarzyszą mu najlepsze życzenia czytelników, obawy ich i zainteresowanie.

W Paryżu także ukazał się nr 1-2 kwartalnika *Wielozas* — *Le Temps Pluriel*, nawiązującego w artykule wstępnym do międzywojennej *Sztuki Współczesnej*, wydawanej także w Paryżu przez zmarłego w roku bież. Jana Brzękowskiego. Pismo ma mieć charakter artystyczno-poetycki, ważnym jego elementem są ilustracje, przeważnie zaczerpnięte z katalogów wystaw Galerie Lambert. Z *Oficyną Poetów* łączy je osoba Andrzeja Włodarczyka, określonego jako „dyrektor publikacji”, komitet redakcyjny stanowią: ze strony polskiej Magdalena Szybist, francuskiej Aniela Feo, redaktorem naczelnym jest Hélène Włodarczyk. Pismo nawiązało kontakt z polskimi pismami za Oceanem: *Gwiazdą Polarną*, *Pomostem* i *Słowem*, drukuje wiersze Edwarda Duszy, Andrzeja Włodarczyka, Leszka Zielińskiego, krajowych poetów z podziemia; Ryszarda Krynickiego, Jana Martego, te-jota; ważną i godną odnotowania pozycją jest rozmowa Ryszarda Sawickiego z Tymoteuszem Karpowiczem — „Twórcza negacja — rozmowa o poezji”.

W roku 1980 ukazały się cztery zeszyty „polskiego magazynu literackiego” pt. *Literatura*, redagowanego w Los Angeles przez grono ambitnych entuzjastów, pragnących pokazać emigracji, że poza istniejącymi jeszcze wówczas *Wiadomościami* stać nas na „forum, na jakim wypowiadać by się mogła współczesna i niezależna literatura polska”. Redakcję objęli Marek Celiński i Andrzej B. Dąbrowski, w numerze pierwszym, jak motto, wybijają się przedruki z pism Brunona Schulza, w drugim — Stanisława Grochowiaka, trzeci jest pod znakiem Czesława Miłosza, czwar-

ty — Stanisława Wyspiańskiego. W numerze IV przypomina się nowelą bez tytułu Tadeusz Lisicki, który milczał przez długie lata, a zyskał sobie dobre imię w *Wiadomościach*. Uświadamia to znaczenie pism „regionalnych”, choćby efemeryd: wydobywają na światło dzienne nieśmiały debiutantów i niepewnych swych możliwości „latarników”.

Cas spécial — to wykonane poza Krajem przedruki wydawnictw powielanych w podziemiu. Choć przeznaczone dla odbiorców w PRL-u, może nawet łatwiej docierają do czytelników emigracyjnych, niż do właściwych adresatów. Rola ich jest niezmiernie ważna: są reprezentacją *wolnej literatury polskiej*, informatorem o jej osiągnięciach i problemach, ratują wartościowe teksty literackie i dokumentarne, są łącznikiem między Krajem a emigracją. Jest to swego rodzaju wymiana dwukierunkowa.

Akcja przedruków objęła naprzód czasopisma. Do wczesnych publikacji z tego zakresu należą wydane w Bibliotece „Kultury”: „PPN — Polskie Porozumienie Niepodległościowe” (1978), „Raport o stanie narodu i PRL” (1980), „Głos — niezależny miesięcznik społeczno-polityczny” i in. Znacznie dalej idzie akcja, której wynikiem są długie ciągi opublikowanych już zeszytów następujących pism:

1) *Zapis* — wyd. z subwencji „Index on Censorship”. W latach 1977 - kwiecień 1982 ukazały się zeszyty 1-19 i 21, w tym cztery wypełnione w całości powieściami: Tadeusza Konwickiego: „Kompleksem polskim” (nr 3), „Małą Apokalipsą” (nr 10) i „Wschodami i zachodami księżycy” (nr 21) oraz „powieściakawałkiem życia”, jak ją określił autor — Juliana Strykowski „Wielkim strachem”. Pismo narodziło się „poza cenzurą” w końcu 1976 w „kilkunastu maszynowych kopiach”. Wstęp pióra Stanisława Barańczaka w nrze 1-szym ostrzega, że pismo „nie jest prezentacją grupy literackiej o wspólnym programie i jak czytelnik łatwo zauważy, wśród autorów znaleźć można przedstawicieli wielu pokoleń”. *Lieu commun* — to odrzucenie tekstu przez cenzurę, jego niecenzuralność utrwalona „zapisem” prohibicyjnym. Zasadniczo ogłaszano w *Zapisie* utwory pisarzy krajowych, choć są i wyjątki (Miłosz, Herling-Grudziński, Ciołkosz, Jan Kott). Laureatami nagród *Zapisu* są: Janusz Anderman, Adam Zagajewski, Mirosław Chojecki i Bogdan Grzesiak.

2) *Puls* — wydawany jako „nieregularny kwartalnik literacki” — narodził się w Łodzi w roku 1978, nieco później od *Zapisu* i „nie powstał przeciw cenzurze, która nie jest przecież przyczyną, lecz skutkiem zła”. *Credo* redakcyjne określa zadania pisarza jako „kreatora obrazu świata i wyraziiciela uczuć współczesnego człowieka i jego przygód duchowych” — w stałej pogo-

ni za prawdą. Pierwszy numer *Pulsu* powielono w Szwecji nakładem sztokholmskiej „Jedności”, dalsze aż po ostatni nr 18 ukazały się drukiem w Anglii. Pierwotny skład Redakcji: Jacek Bierezin, Tomasz Filipczak, Witold Sułkowski i Tadeusz Walendowski, ulegał parokrotnym zmianom — uzupełnili go m.in. Antoni Pawlak, Bartosz Pietrzak i Janusz Anderman; w nrze 15/16 redakcja rozdwa się na krajową, której składu nie podano ze względu na stan wojenny, i zagraniczną: Jan Chodakowski, Tadeusz Kadenacy i Grzegorz Sowula. Ze znanych mi przedsięwzięć wydawniczych czasopismo *Puls* wydaje mi się najodważniejszym, najbardziej odpowiadającym recepcie „mierzyć siły na zamiary” — z tym, że okazała się drogą prowadzącą do sukcesu, oby nie tylko moralnego! Jest nadto przykładem wprowadzanej w życie współpracy pisarzy krajowych z podziemia i nowych fal emigracji z przebywającymi od dawna poza Krajem (np. Henryk Grynberg, Alicja Iwańska, Bolesław Sulik). Pismo powitał w *Kulturze* (nr 3/366 z marca 1978) Włodzimierz Odojewski w artykule pt. „Głos młodszego pokolenia” — uderza w nim niesłychanie trafna ocena twórczości i możliwości Antoniego Pawlaka, laureata tegorocznej nagrody Fundacji im. Kościelskich w Genewie.

Puls rozpoczął ponadto w 1981 roku wydawanie serii Puls Publications, w której ukazały się „Moje przygody z historią” Mariana Brandysa (w tym kapitalny esej „Od dzwonka do dzwonka”, oparty o dzienniki z lat 1977-1978 i dotyczący Haliny Mikołajskiej i jej działalności w KORze), powieść Janusza Głowackiego „Moc truchleje” i antologia pt. „Polska stanu wojennego” z doskonałym wstępem Krzysztofa Zawrata. Tom 4 serii 1983 przynosi Tadeusza Korzeniewskiego „W Polsce”; t. 5 dziennik „Podróży do Burmy” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego; t. 8 opowiadania Janusza Andermana pt. „Brak tchu”. Nadto w serii Puls Politicus ukazał się wybór audycji radiowych Adama i Lidii Ciołkoszów: „Niepodległość i socjalizm, 1835-1945” (1982) — z przedmową Bolesława Sulika oraz Władysława Bartoszewskiego: „Los Żydów Warszawy 1939-1943” (1983).

3) Staraniem kwartalnika politycznego *Aneks*, o którym niżej, ukazały się przedruki 9 numerów warszawskiej *Krytyki* i kwartalnika *Res Publica* (nry 1-7/8, 1982).

4) Reedycją objęte zostały nry 1-7 i 17/18 lubelskich *Spotkań*, „niezależnego pisma młodych katolików”. W serii Ed. Spotkania (Paryż), red. przez Piotra Jeglińskiego, ukazało się 10 pozycji, w tym ks. J. Tischnera „Polski kształt dialogu” i „Etyka solidarności” i T. Żenczykowskiego „Dwa komitety 1920-1944. Polska w planach Lenina i Stalina” (1983). Numerem 8 serii jest

przedruk „Dziejów Polski porozbiorowych, 1795-1921” Mariana Kukiela.

5) Staraniem londyńskiej Polonia Book Fund ukazały się przedruki numerów 1-8 *Opinii*, warszawskiego pisma Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z 1977-1978. Firma ta wydała ponadto bardzo cenny wybór artykułów Adama Ciołkosza z lat 1940-1978 pt. „Walka o prawdę” (1983) oraz zbiór esejów Jana Nowaka (Zdzisława Jeziorańskiego) pt. „Polska pozostała sobą” (1970).

Na pograniczu pism krajowych i emigracyjnych stoi kwartalnik polityczny *Aneks*, firmowany przez Polskie Koło Naukowe Uppsala — London, redagowany przez Aleksandra Smolara w Paryżu a drukowany w Wielkiej Brytanii. O żywotności pisma świadczy fakt, że w latach 1973-1983 ukazało się 31 numerów a pismo poszerzyło wydatnie grono współpracowników, w tym wiele nazwisk wybitnych politologów różnych narodowości. Wśród stałych polskich współpracowników wybijają się nazwiska Stanisława Barańczaka, Ewy Bieńkowskiej, J. T. Grossa, Stefana Kisielewskiego, Leszka Kołakowskiego i in. Numery specjalne poświęcono problemom „władzy i przywilejów”, „Polsce po 13 grudnia”, nr przedostatni wypełnia symposium „Powrót sacrum”. W ramach wydawnictw książkowych „Aneksu” ukazała się dwutomowa „Czarna księga cenzury” (1977-1978), Aleksandra Ścibor-Rylskiego „Człowiek z marmuru. — Człowiek z żelaza” (1982), Jerzego Surdykowskiego „Notatki gdańskie” (1982), Tadeusza Mazowieckiego „Internowanie” (wyd. „Krań”, Warszawa i „Aneks” 1983), W. Kuczyńskiego „Obóz” oraz J. J. Lipskiego „KOR”. Bibliofilskim marginesem wydawnictw „Aneksu” jest „Sztuczne oddychanie”, poemat St. Barańczaka z grafikami Jana Lebensteina (1978).

Czy na pewno pamiętniki?

Granice gatunków literackich są obecnie tak płynne i tak się zacierają, a termin „pamiętnik” tak się zdeprecjonował, że niepodobna orzec z pigoniowską dokładnością, czy np. „Wspomnienia polskie” Gombrowicza nie są cyklem wyznań autobiograficznych — a nie felietonów radiowych. Inny przykład: czym jest „Mój wiek” Aleksandra Wata — pamiętnikiem? (tak był zaprojektowany i taki jest jego kościć) — czy zarysem historii idei na rozdrożach życia autora? Czy „Rodzinna Europa” jest w wyższym stopniu książką autobiograficzną od „Świadcstwa poezji”, choć z esejów harwardzkich nie dałyby się wyłuskać dane biograficzne? Czym jest „Literatura” Wiktora Woroszyńskiego

— biografią pokolenia Hłaski i „pryszczatych”? Analizą motywów samobójstwa Tadeusza Borowskiego? Pokazem ekwilibrystyki? „Powieścią o niemożności napisania powieści” — jak chce Herling? „*Apologia pro vita sua*”? — Jak misternie splata się materia powieściowa z pamiętnikarską w „Miesiącach” Brandysa?

Do wypadków granicznych, niełatwych do zakwalifikowania należą „Wyznania starego człowieka” (1979, OPiM) Aleksandra Hertza. Jan Garewicz w pośmiertnej *laudatio* (*Tygodnik Powszechny* nr 34, 1983) pisze wprost: „Nie jest to pamiętnik ani nie są wspomnienia, lecz właśnie wyznania, książka z samej istoty filozoficzna, poświęcona nie przemijającym zdarzeniom, lecz odwiecznym problemom”. Autor krajowy nazywa ją „książką odważną”, kontrowersyjną, obrazem umysłowości człowieka, którego uformowały trzy kultury: polska, żydowska i amerykańska, który „był człowiekiem wierzącym, choć chyba zupełnie obojętnym w sprawie form kultu”. Nie bez zażenowania odnotowuje, że „Wyznania” ukazały się w 500 egz. nakładem Autora.

Pamiętniki czy gawędy?

Czytając „Gawędy o czasach i ludziach” ks. Waleriana Meysztowicza (wyd. 2 popr. i uzup., 1983, PFK a właściwie Fundacja Lanckorońskich) odnosi się wrażenie, że tak właśnie odświeżał Henryk Rzewuski środowisko przyszłego „Pana Tadeusza” w pamięci Mickiewicza. „Gawędy” zalecać można jako lekturę towarzyszącą czytelnikom „Doliny Issy” i wspomnień Janiny Żółtowskiej. Byli to istotnie „inni ludzie” i żyli w „innych czasach”.

W Rzymie, pod okiem ks. Meysztowicza narodziły się wspomnienia Wandy *Wybrowskiej de Andreis* „Między Dnieprem a Tybrem” (1981, PFK), która innym niż autor „Gawęd” szlakiem — przez międzywojenną Warszawę — dotarła do Rzymu, by tam się na stałe osiedlić. Nostalgiczny posmak ma czwarty (i ostatni) tom „Pamiętnika kijowskiego” (1980, Orbis), epilog działalności wydawniczej londyńskiego Koła Kijowian. Trudno o bardziej wymowny wyraz sentymentu do stron rodzinnych, opuszczonych przecież przed kilkudziesięciu laty; cztery tomy „Pamiętnika” są kopalnią wiadomości o warunkach życia i dokonaniach Polaków, często z dziada pradziada osiadłych na Kresach Rzeczypospolitej, a w szczególności na terenie carskich guberni wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Swoistą wymowę ma fakt, że np. szkoła polska w Humaniu kształciła w roku 1917 trzystu uczniów i uczennic, a kijowskie Polskie Kolegium Uniwersyteckie na 435 studiujących liczyło 74 % młodzieży kresowej.

Zofii Kozarynowej „Sto lat. Gawęda o kulturze środowiska” (1982, PFK) byłaby niewątpliwie *bestseller*-em w Kraju, zgłodził takich właśnie autentycznych wspomnień i życia inteligencji polskiej, wyłaniającej się po klęsce 1863 i zdobywającej wiedzę na wielkich uniwersytetach genewskich, paryskich i in. Autorka ma świetne w tym względzie koligacje i swobodnie przenosi się z Genewy do Warszawy, na Podole, do Lwowa i Szwajcarii, gdzie rezyduje jej rodzony dziad T. T. Jeż (Zygmunt Miłkowski). Finałem książki są rozdziały warszawskie z wstrząsającym opisem pogrzebu matki na podwórzu kamienicy we wrześniu 1944 roku, w czasie Powstania Warszawskiego.

„Kartki z mego życia” Eugeniusza księcia *Lubomirskiego* (1982, PFK), spisane pod koniec życia przy pomocy Kazimierza Zdziechowskiego, przeobrażają się ze wspomnień „bezeta” w relację o zsyłce do ZSSR. Tam, rąbiąc drzewo w kraju Komi ASSR, autor dzięki nieugiętej postawie i talentom dyplomatycznym stał się opiekunem sporej gromadki zesłańców polskich, którzy — o czym nie pisze — potrafili to docenić, wspominając ze wzruszeniem po latach jego pomoc.

Innym przykładem pamiętników ex-ziemianina kresowego jest „Na przełomie epok” Józefa *Godlewskiego* (1978, PFK) z Kowieńszczyzny. Wywłaszczony przez reformy Republiki Litewskiej, osiadł naprzód na Pomorzu, a następnie w Synkowiczach w pow. słonimskim, łącząc pracę na roli z działalnością społeczną i polityczną, a „na ostatnim przystanku życia w Londynie — jak pisze w przedmowie Kazimierz Okulicz — bywał na wozie i pod wozem”. W podtekście pamiętnika słyhać żywe słowo, świadectwo fenomenalnej pamięci i tego, „że umiał i lubił opowiadać”.

Do lat międzywojennych odnoszą się trzy tomy wspomnień Zbigniewa *Zaniewickiego*: „Moje dwudziestolecie” (1976), „Moje pełnoletie” (1977) i „Od Amazonki do Wisły” (1980 — wszystkie wydane przez PFK), osadzone w Warszawie międzywojennej w dobrze znanym autorowi środowisku uniwersyteckim i literackim. Uzupełnia je „Pięć groźnych lat, 1939-1944” (1982, PFK), tom ważny ze względu na doskonale opowiedzianą historię przedwojennych wydań pism Norwida, stosunki autora z Zenonem Przesmyckim (Miriamem) i przyczynki do losów rękopisów Norwida w okresie okupacji.

Aczkolwiek „*Janta. Człowiek i pisarz*” pod red. Jerzego R. Krzyżanowskiego (1982, PFK) jest formalnie księgą zbiorową o życiu i działalności Aleksandra Janty-Pończyńskiego (zm. 19. VIII. 1974), jest to właściwie jeden ciąg wspomnień, przywołujących skutecznie obraz poety, pamiętnikarza, światowej klasy reportera, działacza kulturalnego w USA — i wreszcie antykwa-

riusza (do spółki z autorem „Wyznań” — Aleksandrem Her-
tzelem).

Do podobnego kręgu ludzi i spraw wprowadzają „Kulisy
twórczości. Listy 14 pisarzy emigracyjnych do Juliusza Sakow-
skiego, 1945-1977” (1980?, Księg. Polska w Paryżu), zebrane
przez wdowę i bliską współpracowniczkę prac edytorskich, p. Ste-
fanię Sakowską. Poza przypomnieniem „szarej eminencji” pol-
skiego Londynu listy są dobrym wprowadzeniem do problemów
wydawniczych i sytuacji materialnej poszczególnych pisarzy, w
tym Marka Hłaski, Jana Lechonia, Kazimierza Wierzyńskiego i
in., oraz akcji wydawniczej PFK.

Oddzielną kategorię wspomnień stanowią książki, których
autorami są emerytowani profesorowie wyższych uczelni zagranic-
nych, urzędnicy ONZ, pracownicy rozgłośni radiowych. Pracowi-
te *otia* urzędników ONZ ilustruje „Bez przesądów i lęku. Szki-
cownik dyletanta” Bolesława *Leitgebera* (z rysunkami autora —
1979, PFK). Autor, rodem z Poznania, debiutował w polskiej
służbie dyplomatycznej w 1924, a w czasie drugiej wojny świa-
towej był pierwszym sekretarzem ambasady polskiej w Londynie,
po czym przez kilkanaście lat pracował w ONZ (m.in. w Indiach
i Afryce podzwrotnikowej), zamykając karierę międzynarodową
w Palais des Nations w Genewie. Obraz zatrudnień oficjalnych
i *hobbies* autora wypadł rzeczowo i interesująco, bez snobis-
tycznego zabarwienia, częstego w tego typu wspomnieniach.

Wojciech *Trojanowski*, symbol dobrego reportażu sportowego,
był ponadto w okresie pracy w RWE autorem niezliczonych felie-
tonów z podróży po świecie w poszukiwaniu poloników. Jest
przy tym gawędziarzem z zacięciem iście sarmackim i to właśnie
decyduje o sukcesie jego wspomnień zebranych w tomie pt. „Ach,
jaka szkoda...” (1980, Ver.), nawiązujących do okrzyku przed
mikrofonem, wyrażającego współczucie, że słuchacze „nie mogą
tego zobaczyć”. Osobliwością książki jest i to, że jest jedyną
z odnotowanych w obecnym artykule książką pogodną, afirmującą
racje istnienia.

„W oczach felietonisty” Feliksa *Chrzanowskiego* (1981, PFK)
jest obrazem interesującej kariery dziennikarskiej i radiowej, roz-
poczętej w *Gazecie Wileńskiej* a kontynuowanej w Poznaniu i
Warszawie. Jako korespondent PAT-a i *Gazety Polskiej* praco-
wał w Rzymie, w czasie drugiej wojny światowej działał w pod-
ziemiu francuskim, aż wreszcie ustabilizował się przy mikrofo-
nach, naprzód Voice of America a następnie Free Europe, by
u schyłku życia wrócić na emeryturze do pracy dziennikarskiej
w pismach polskich w Londynie.

„Bibliotekę Polską w Kanadzie”, zainicjowaną przez grono
entuzjastów w Toronto, otwierają wspomnienia z wielkopolskiego

Kościana, spisane przez Adama *Tomaszewskiego* w okresie oku-
pacji i obecnie (1981) wydane pt. „Gorzko pachną piółuny”
z przedmową Tadeusza Nowakowskiego.

Historia nowa i najnowsza

Trudno przecenić szkody wynikłe z przemilczeń i fałszerstw
faktów historycznych w krajowych opracowaniach dziejów poroz-
biorowych, a w szczególności podręcznikach szkolnych. Nie przeczą
temu sporadycznie ukazujące się wartościowe a przeważnie nisko-
nakładowe wydawnictwa, rezultaty wieloletnich targów z cenzurą.
Dość przypomnieć losy książek *Jasienicy*. Na emigracji zdawano
sobie od dosyć dawna sprawę z rozmiarów zagrożenia na tym
odcinku, ale towarzyszyła temu świadomość, iż przedruki daw-
nych opracowań są półśrodkiem a studia nad, powiedzmy, epoką
piastowską rozbijają się o brak materiałów poza Krajem. Zre-
zygnowano więc z syntetycznych obrazów dziejów przedrozboro-
wych, swobodniej rozwijających się w Kraju.

Uwaga historyków emigracyjnych, może podświadomie, kon-
centrowała się na XIX i XX wieku. Można tu odnotować po-
ważne osiągnięcia. Należą tu przede wszystkim klasyczne już
„Dzieje Polski porozbiorowe, 1795-1921” Mariana Kukiela, wy-
dane po raz trzeci przez paryskie „Spotkania” w roku 1983.
Wyrosły one z wykładów wygłoszonych przez autora w roku
akademickim 1952/1953 w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie
(PUNO) w Londynie. Uczelnia ta zatroszczyła się o przedruk
„Dziejów Polski nowożytnej, 1506-1795” Władysława Konop-
czyńskiego (1959), nie wznawianych w Kraju.

Popularnym „Zarysem dziejów narodu i państwa polskiego
w latach 1914-1939” Bronisława Stryszewskiego (1981, Ver.) po-
sługiwać się można od biedy przy ustalaniu zasadniczych dat i fak-
tów. Jest to niejako kontynuacja podręcznika Anatola Lewic-
kiego, którym posługiwano się w szkołach średnich w okresie
międzywojennym.

Obszernych zarysów dziejów najnowszych szukać trzeba —
i, co więcej, znaleźć je można — w kilku opracowaniach emigra-
cyjnych o trwałej wartości. Jednym z nich jest „Najnowsza his-
toria polityczna Polski, 1864-1945” Władysława Pobóg-Malinow-
skiego, której t. I ukazał się w II wyd. w roku 1963 (Londyn,
B. Świdorski), a t. II (w 2-ch częściach) przedrukowany był
w 1981 (Londyn, Gryf). Po śmierci autora (1962) nad doprowa-
dzeniem druku do końca czuwał kompetentnie Bogusław Mie-
dziński.

Popularniej ujętym zarysem jest „Historia Dwudziestolecia”

Pawła Zaremby w dwu tomach, wydana po śmierci autora (1979) przez Instytut Literacki w Paryżu (w Bibl. „K”). Przygotował ją w oparciu o pogadanki Zaremby, wygłoszone w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w latach 1967-1969, Marek Łatyński. Jak u Kukiela, czuje się w nich podkład żywego słowa i zrozumienie potrzeb odbiorców, rekrutujących się z auditorium o różnym przygotowaniu szkolnym.

Wreszcie dwa opracowania historyków krajowych wydane „poza cenzurą”: pierwsze — to „Dzieje Polski, 1918-1939” Adama Krzyżanowskiego (1973, IL, Bibl. „K”, t. 236). Autor, profesor UJ, pisał je, jak przypomina w przedmowie Józef Lewandowski, „w czarnej nocy stalinizmu, osaczony nie tylko przemocą i poczuciem niewoli, ale i kłamstwem wdzierającym się ze wszystkich stron, dążącym do ubezwłasnowolnienia społeczeństwa odpowiednio spreparowaną wersją narodowej przeszłości”. (W roku 1982 ukazało się drugie, miniaturowe wydanie „Dziejów”).

W drugim rozszerzonym wydaniu ukazała się „Historia polityczna Polski, 1864-1918” Henryka Wereszyckiego, od roku 1947 używana nieoficjalnie w Kraju w roli podręcznika, prostującego fałszywe opracowań zalecanych studentom do wierzenia. Ukazała się, co warto podkreślić, jako t. I serii „Historia i teraźniejszość”, wydawanej od 1979 przez paryską Libellę pod auspicjami Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu.

Staraniem londyńskiego „Orbisu” ukazał się zarys dziejów Polski pod redakcją prof. Henryka Paszkiewicza („Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu tysiąca lat istnienia”, t. I, 1956), praca zbiorowa, mobilizująca czynnych wówczas historyków, z których większość już nie żyje. Nie ukazał się planowany przez J. Olechnowicza t. II, encyklopedyczny, poważnie zaawansowany w rękopisie. „Orbis” wydał ponadto „Odbudowanie Polski, 1914-1921” Tadeusza Piszczkowskiego (1969).

W żelaznym repertuarze opracowań historycznych wydanych na emigracji na plan pierwszy wybija się „Zarys dziejów socjalizmu polskiego” Lidii i Adama Ciołkoszów, doprowadzony za życia Ciołkosza do roku 1892 w tomie II wydanym w 1973 roku. „Zarys” wykracza poza formalne ramy tematu, dając w tle świetnie udokumentowaną historię polityczną Polski w okresie Wielkiej Emigracji, Powstania Styczniowego i okresu wyłaniania się socjalizmu robotniczego. Spodziewać się należy, że pani Lidia zdoła przygotować dalszy ciąg na podstawie zgromadzonych wspólnie z mężem materiałów.

Świeżej daty uzupełnieniem zarysów najnowszej historii Polski jest „Polska w drugiej wojnie światowej” Józefa Garlińskiego (Odnova, 1983). Jest to udana próba syntetycznego ujęcia, obejmująca

„wszystkie aspekty walki narodu polskiego z obydwooma agresorami, jego wysiłki zmierzające do uzyskania poparcia zachodnich aliantów, szukanie porozumienia z Sowiecką Rosją przy jednoczesnej determinacji obrony swych granic, jak również popełnione błędy, słabości i spory”. Trudno o książkę bardziej na czasie. Nie oznacza to jednak, by zaniedbywano dzieje tego okresu. Świadczy o tym zarówno źródłowe opracowanie działalności „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej”, opracowywane w Instytucie Historycznym im. Sikorskiego (Londyn, 1950-1975) jak i „Armia Krajowa w dokumentach, 1939-1945”, t. I-V L. 1970-1981, Studium Polski Podziemnej) oraz wydanie dwu książek o gen. Sikorskim: drugiego wydania biografii pióra gen. Mariana Kukiela („Generał Sikorski”, L. 1981, Inst. Hist. im. Sikorskiego, przedrukowanej w setną rocznicę urodzin autora, zm. 1973) i Olgierda Terleckiego „Generał ostatniej legendy” (1976, Polonia Book Store, Chicago). Staraniem śp. Reginy Oppmanowej, B. Wrońskiego i J. Englerta ukazał się polsko-angielski album „Generał Sikorski” (1981, Inst. Sikorskiego, L.).

Opracowania monograficzne i przyczynki

W latach 1978-1983 wznowiono wiele pamiętników i relacji, licząc się ze wzmożonym zapotrzebowaniem. I tak: w roku 1981 ukazało się szóste wydanie „Bez ostatniego rozdziału” Władysława Andersa (L. Gryf) i czwarte wyd. „Armii Podziemnej” T. Bora-Komorowskiego (L. 1979, Studium Polski Podziemnej — książka ta została na skutek defektu maszynopisu opuszczona w wyliczeniu pamiętników w „Szkicach”, str. 299). Wspomnienia Klemensa Rudnickiego ukazały się w drugim rozszerzonym wydaniu pt. „Na polskim szlaku” (1983, PFK). Po raz pierwszy wydano w języku polskim „Polskę zgwałconą” St. Mikołajczyka (1981, Chicago, „Wici”), znaną dotąd w wersji angielskiej („The Rape of Poland”). „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów” ukazała się w wyd. IX (L. Gryf); „W cieniu Katynia” St. Swianiewicza w wyd. IV (IL, 1982, Bibl. „K”, t. 371). Nowojorski „Głos Publ.” wydał w 1983 niezwykle sumiennie, zwięźle i przejrzysto opracowane przez Leopolda Jerzewskiego „Dzieje sprawy Katynia”, przedruk wydania krajowego z 1981. Biblioteka Polska w Londynie wydała przy pomocy SPK bibliografię katyńską w opracowaniu Zdzisława Jagodzińskiego.

Wagę dokumentu a przy tym niepoślednią wartość artystyczną ma Jana Nowaka (pseud. i.e. Zdzisława Jeziorańskiego) „Kurier z Warszawy” (L. 1978, Odnova) — relacja emisariusza AK z lat 1943/1944, dziś już „klasyk” literatury nie tylko emigracyjnej,

ale i „samizdatowej”. Nowe światło na Warszawę w latach okupacji rzucają „Wojenne odcinki. Warszawa 1940-1943” Alicji Iwańskiej i Jana Gralewskiego, kuriera AK, ofiary katastrofy gibraltarskiej. Na solidnej bazie dokumentalnej opierają się Józefa Garlińskiego: „Dramat i Opatrzność” i „Matki i żony” (L. 1978, Odnova), opowiadania z okupowanej Warszawy oraz naukowe opracowanie „Enigma. Tajemnica drugiej wojny światowej” (L. 1980, Odnova), poprzedzone wersją angielską pt. „Intercept” (L. 1979, J. M. Dent). Nakładem autora, Stanisława Żochowskiego, ukazała się książka pt. „Brytyjska polityka wobec Polski w latach 1916-1948” (L.), a OPiM wydała tegoż autora „Monografię gen. dyw. Tadeusza Kutrzeby” (1980).

Na specjalne wyróżnienie zasługują opracowania historyczne Tadeusza Żencykowskiego: „Dwa komitety”, tj. Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z roku 1920 i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego z roku 1944 (Paryż 1983, „Spotkania”) i „Dramatyczny rok 1945” (L. 1983, Pol. — przedruk wydania podziemnego „Głosu”, 1981). Obie książki oparte są na skryptach felietonów radiowych autora z RWE, gdzie występował pod pseudonimem Tadeusza Zawadzkiego.

Niedomówionymi rozdziałami historii lat wojennych zajęli się: Zbigniew S. Siemaszko w „Narodowych Siłach Zbrojnych” (L. 1982, Odn.); Stanisław Żochowski: „NSZ. Narodowe Siły Zbrojne” (1983, Ver.); ks. St. Kluz: „W potrzasku dziejowym. WIN na szlaku AK. Rozważania i dokumentacja” (1978, Ver.); Tadeusz Wyrwa: „W cieniu legendy majora Hubala” (1974, OPiM) oraz „Wybór prac nadesłanych na konkurs im. Józefa Wyrwy (w 30-tą rocznicę zakończenia działań oddziałów partyzanckich)” (1977, OPiM); G. Łowczowski: „Sylwetki moich przełożonych i przyjaciół w wojsku” (Hove, 1980, Caldra House); T. Machalski: „Co widziałem i przeżyłem” (1980, Ver.); Piotr Woźniak: „Zapluty karzeł reakcji. Wspomnienia AK-owca z więzień w PRL” (Paryż 1982, „Spotkania”); Jerzy Krzyżanowski: „Generał” (Okulicki).

W bogatej literaturze wspomnieniowej o działaniach poszczególnych rodzajów broni i jednostek wojskowych wyróżniają się: Bohdana Wrońskiego „Wspomnienia płyną jak okręty” (1981, Odn.) o służbie w Marynarce Wojennej; Aleksandra Bluma „O broń i orły narodowe...” (1980, subskrybenci, druk OPiM) — dotyczą działań wojennych 2. Dyw. Strzelców Pieszych we Francji, internowania w Szwajcarii i „maquis” w Annecy; St. Łysiaka „Biała księga Polskich Oddziałów Wartowniczych” w Niemczech (1981, OPiM) — wreszcie praca zbiorowa „Ułani podolski. Dzieje pułku ułanów podolskich. 1809-1947” (L. 1983, Koło 12

p.uł.pod.). W roku 1983 Zrzeszenie Kół Pułkowych Kawalerii wydało niezwykle starannie opracowane „Rodowody pułków jazdy polskiej, 1914-1944” pod redakcją Kornela Krzczunowicza.

Do literatury zsyłkowej przybyły wspomnienia Bronisława Brzezickiego „Z łagru Nachodka do Ziemi św.” (1974, Ver.), ks. Władysława Bukowińskiego „Wspomnienia z Kazachstanu” (Paryż 1979, „Spotkania”), Magdaleny Dubanowiczowej „Na mongolskich bezdrożach” (1980, PFK), Marii Januszkiewicz „Kazachstan” (1981, IL, Bibl. „K”, t. 343), Danuty Tęczarowskiej „Deportacja w nieznaną” (1982, Ver.), Feliksa Mantla „Wachlarz wspomnień” (1980, Księg. Polska w Paryżu — dot. częściowo Sowietów, więcej o młodości w Przemysłu i działalności politycznej autora), wreszcie wspomniane już wyżej „Kartki z mego życia” Eug. ks. Lubomirskiego oraz Marii Krzysztorskiej „Ze wspomnień tułaczycy” (1981, Ver.).

W bliskim tematycznie sąsiedztwie postawić można „Wileński matecznik, 1939-1944” Bronisława Krzyżanowskiego (1979, IL, Bibl. „K”, t. 304 — dotyczy AK na Wileńszczyźnie i akcji „Wachlarz” w okresie kolejnych okupacji litewskiej, sowieckiej i niemieckiej).

Dzieje Polski przed 1939

Określenie wydawnictwo „pomnikowe” rzadko dziś znajduje zastosowanie i rzadko ma uzasadnienie. Jest nim jednak zapoczątkowane w roku 1960 w Rzymie i kontynuowane nadal wydawnictwo źródeł do historii Polski w wiekach XIV-XVII, zainicjowane przez ks. Waleriana Meysztowicza a realizowane przez Karolinę Lanckorońską. Ukazały się właśnie t. 56 i 57, stanowiące 26-tą i 27-mą część tekstów dokumentów z dawnego archiwum królewieckiego, przechowywanych do niedawna w Tübingen, a ostatnio przewiezionych do Berlina. Dotyczą one lat 1525-1568, tj. okresu panowania Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta i przynoszą nieprawdopodobnie bogatą dokumentację preliminariów hołdu pruskiego i sprawy Prus Wschodnich. W tomach poprzednich opublikowano archiwalia z kilku zbiorów włoskich, z Kopenhagi, Londynu (British Museum) i hiszpańskiego w Simancas (7 t. w oprac. ks. Meysztowicza). Seria, w której dokumenty te opublikowano nosi przesadnie skromną nazwę: „Elementa ad Fontium Editiones”, wydawcą jest Polski Instytut Historyczny w Rzymie, a koszty wydawnictwa pokrywa Fundacja z Brzezia Lanckorońskich. Uniwersytet Jagielloński uhonorował zasługi prof. Lanckorońskiej przyznaniem jej godności doktora honorowego.

Związana z tym uroczystość miała miejsce w Rzymie, dokąd przybyła delegacja z Krakowa.

W wydawanym przez tenże Instytut Historyczny w Rzymie roczniku *Antemurale* w latach 1977-1983 ukazała się m.in. odkrywcza rozprawa G. T. Łukowskiego o konfederacji radomskiej, 1764-1767 (w t. XXI), po angielsku, ale oparta na archiwaliach ze zbiorów krajowych, a obecnie jest w druku tom z rozprawami Henryka Siewierskiego o Norwidzie i Jolanty Dudek o „Piątej porze roku” Kazimierza Wierzyńskiego.

Powojenne tomy *Niepodległości*, czasopisma poświęconego najnowszym dziejom Polski, wydawanego przez Instytut J. Piłsudskiego w Nowym Jorku, są — podobnie jak *Zeszyty Historyczne* Instytutu Literackiego — kopalnią materiałów do historii Polski po Powstaniu Styczniowym. W latach 1979-1982 ukazały się t. XII-XV, publikujące m.in. listy Józefa Piłsudskiego do różnych adresatów.

Do żelaznego repertuaru książek wydanych na emigracji należy „Kronika życia Józefa Piłsudskiego, 1867-1935”, opracowana z niezwykłym pietyzmem przez Waława Jędrzejewicza (t. I-II, 1977, PFK i późniejszy przedruk) oraz uzupełniająca ją życiorys Marszałka „Józef Piłsudski, 1867-1935” (1982, PFK). Pisząca te słowa uczestniczyła w roku 1935-1936 w toczonej na terenie Poradni Bibliotecznej w Warszawie dyskusjach, w toku których prof. Helena Radlińska i Wanda Dąbrowska mówiły o potrzebie takiego właśnie jak jędrzejewiczowski życiorysu. Doczekaliśmy się go jednak, choć po tylu latach...

Editions L'Age d'Homme w Lozannie wydały szkice historyczno-publicystyczne Mariana Zdziechowskiego „Widmo przyszłości” (1983), przedruk z unikatów wileńskiego w wydaniu z r. 1939.

Prace historyczne St. Kirkora

Na oddzielne omówienie zasługuje *casus* zmarłego w styczniu 1983 Stanisława Kirkora. Z wykształcenia ekonomista, skarbowiec, bliski współpracownik prezydenta Starzyńskiego, urzędnik Min. Skarbu Rządu RP w Londynie a po wojnie m.in. doradca cesarza Hajle Seilasje w Addis Abebie, około roku 1950 rozpoczął karierę pisarską szkicami z zakresu genealogii rodziny Kirkorów, podjętymi naprzód we współpracy z Szymonem Konarskim, a kontynuowanymi samodzielnie. Równolegle rozbudowywał wiedzę o udziale Polaków w kampaniach napoleońskich. *Hobby* przekształciło się w poważne studia naukowe, a łut szczęścia pomógł w dotarciu do nieznanych (lub pobieżnie tylko spenetrowanych przez poprzedników) polskich archiwaliów w Vin-

cennes i zbiorach krakowskich. Rezultatem dwudziestu kilku lat studiów są: „Polscy donatariusze Napoleona” (1974, OPiM), „Legia Nadwiślańska” (1981, OPiM), „Pod sztandarami Napoleona” (1982, OPiM) i „Polacy w niewoli angielskiej” (Kraków, 1981, Wyd. Liter.) oraz artykuły w „Revue de l'Institut Napoléon” (Paris) i publikacja listów Napoleona do Polaków w *Antemurale* (t. XXIII-XXV).

Dalsze przykłady

Kariera naukowa Kirkora nie jest czymś wyjątkowym — jest raczej dobrą ilustracją samodzielnych studiów podejmowanych przez emigrantów. Wiek XIX dostarcza tu wielu analogii. Emigranci naszych czasów wyłonili spośród siebie wielu niepoślednich znawców stosunków Polski z krajami ich obecnego zamieszkania lub terenu pracy czy pobytu (niejednokrotnie przymusowego). Typowe przykłady to gruntowne opracowania Lecha Paszkowskiego „Polacy w Australii i Oceanii” (1962) albo studia Wiktora Tomaszewskiego i Leona Koczego o Polakach w Szkocji.

Zamilkły natomiast (lub przysnęły) czynne do niedawna placówki wiedzy historycznej na emigracji. Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii, domena działalności gen. Kukiela, po jego zgonie wegetuje i z najwyższym trudem, dzięki wysiłkom Zdzisława Jagodzińskiego, zdobyło się na wydanie t. XVII *Tek Historycznych*, w którym pozycją najważniejszą jest bibliografia prac i pism gen. Kukiela. Nie ukazał się dotąd od dawna zapowiadany t. VII „Materiałów do biografii, genealogii i heraldyki polskiej”, założonych przez Szymona Konarskiego a kontynuowanych przez grono jego bliskich współpracowników. Już w druku, tom ten w całości będzie wypełniony przez tzw. „Cmentarzyk” Jana Bartkowskiego, tj. zbiór krótkich biografii ponad 3.500 emigrantów polistopadowych, zmarłych w XIX wieku, w większości we Francji. Będzie to cenne źródło danych o „szarych” emigrantach, od których często wywodzą się sfrancuziali ich potomkowie. Nad wydaniem, opartym o kartoteki i rękopisy Biblioteki Polskiej w Paryżu, czuwają Krzysztof Górski, Adam Heymowski i in., a maszynopis podstawowy przygotował Lucjan Krawiec.

Wydawnictwa religijne

Poza omówionymi już na początku artykułu opracowaniami dotyczącymi kard. Wyszyńskiego i Papieża Jana Pawła II wiele

pozostaje do odnotowania, bo klimat naszych czasów sprzyja powstawaniu i pogłębianiu prac nad szerzeniem wiedzy religijnej. Na czoło wysuwa się tu działalność OO. Pallotynów paryskich i firmowanego przez nich wydawnictwa Editions du Dialogue. W kolekcji „Znaki czasu” ukazały się tam m.in. „Znak sprzeciwu” kard. Karola Wojtyły, „Zapiski więzienne” kard. Stefana Wyszyńskiego i książka Andrzeja Micewskiego „Kardynał Wyszyński, prymas i mąż stanu” (1982), przekłady „Księgi psalmów” i „Księgi Hioba” Miłosza i w.in. Po przedwczesnym zgonie ks. Józefa Sadzika wydawnictwem kierują Zenon Modzelewski i Danuta Szumska.

W Paryżu rozwija się także postawione na wysokim poziomie, ambitne wydawnictwo „Spotkania”, kierowane przez Piotra Jęglińskiego. Poza wspomnianymi już poprzednio książkami i przedrukami pism krajowych staraniem „Spotkań” ukazał się „Polski kształt dialogu” ks. Józefa Tischnera (1981), jedna z najważniejszych książek, jakie się ostatnio ukazały nie tylko na emigracji.

Wymownym świadectwem podniesienia się poziomu wydawnictw religijnych poza Krajem jest antologia „Miłujcie nieprzyjaciół wasze. Miłość nieprzyjaciół w Polsce” w opracowaniu O. Jacka Salija, OP. z kolażami Romana Cieślewicza, o których pisze w postłowie Konstanty A. Jeleński (Paryż 1983, „Nasza Rodzina”). Inne wydawnictwo „Naszej Rodziny” to album „Pan-o święta, co Jasnej bronisz Częstochowy” (1980).

Papieski Instytut Studiów Kościelnych, mało do niedawna udzielający się szerszej publiczności, wydał w 1982 „Korzenie tożsamości” Bohdana Cywińskiego, t. I większego opracowania pt. „Ogniem próbowane. Z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej”, którego celem jest „zbadać historycznie ukształtowanego miejsca wiary i Kościoła katolickiego w życiu dziewięciu sąsiadujących ze sobą społeczeństw narodowych”. Instytut wydał ponadto listy O. Honorata Koźmińskiego, 1863-1907, oraz trzy tomy listów do tej wybitnej a poza dawną Kongresówką praktycznie nieznanej postaci; opracowała je Maria Angela Truszkowska.

Londyński Katolicki Ośrodek „Veritas” — jak wiele wskazuje — zaczyna wydobywać się z impasu. Wydany ostatnio katalog ujawnia zarówno spory dorobek, jak i profil wydawnictwa. Działalność jego jest dwutorowa: obok popularnej *Gazety Niedzielnej* i kontynuacji przekładu polskiego „Sumy teologicznej” św. Tomasza z Akwinu (pod red. ks. St. Bełcha) „Veritas” zaspokaja potrzeby emigracji w zakresie modlitewników, katechizmów, śpiewników i dewocjonaliów graficznych; wydaje przekłady encyklik papieskich, żywoty świętych ze szczególnym uwzględnie-

niem świętych polskich itd. W latach 1950-tych „Veritas” zainaugurował ponadto akcję wydawniczą, zmierzającą do zaspokajania potrzeb czytelników masowych na emigracji. Akcja ta w miarę upływu lat, pod wpływem kryzysu ekonomicznego w Wielkiej Brytanii osłabła, a „Veritas” dla ratowania sytuacji finansowej skomercjalizował swą drukarnię i, pod swoją jednak firmą, wydawać zaczął książki z różnych dziedzin i, niestety, na różnym poziomie.

Srodowiska pisarskie na emigracji

Czy poza Krajem istnieją obecnie środowiska pisarskie, do których nowoprzybyli mogliby się włączyć? I tak i nie. Wobec kapryśnego rozrzutu, typowego dla wczesnego okresu migracji, powtarza się sytuacja z okresu chaosu powojennego, gdy kolejno Teheran, Bagdad, Jerozolima, Kair, Rzym były ważnymi ośrodkami kulturalnymi emigracji, Londyn był „stolicą”, a Paryż praktycznie nie istniał. Obecnie zarysowuje się supremacja Paryża i Londynu *ex aequo*, choć wyraźnie rysują się środowiska „regionalne” w Kopenhadze, Sztokholmie, Wiedniu, Berlinie, Monachium i Rzymie. Nadto: szeroki świat: Ameryka, Kanada, Australia.

Najstarszą organizacją skupiającą pisarzy polskich poza Krajem jest Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w londyńskim POSK-u, sąsiadujący w Biblioteką Polską, teatrem, Księgarnią SPK, Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie (PUNO), Polskim Towarzystwem Naukowym na Obczyźnie, Instytutem J. Piłsudskiego, organizacjami plastyków itd. Mimo wymierania starych (i nie tylko najstarszych) roczników, liczba członków Związku Pisarzy wzrosła z 98 do 106, a wśród nowoprzyjętych zdarzają się pisarze względnie młodzi. Przyszłość Związku zależy od tego, jak ustosunkuje się do niego nowa emigracja. Gdyby włączyli się do niego członkowie brutalnie zlikwidowanego w Kraju Związku Literatów Polskich, przebywający poza Krajem, rola tej organizacji uległaby poważnemu wzmocnieniu, a organ Związku — *Pamiętnik Literacki* — rozbudowie w kierunku uczynienia z niego trybuny wolnej literatury polskiej i łącznika pisarzy, gdziekolwiek ich los rzucił.

Nieoficjalnymi „ambasadorami” literatury polskiej w wolnym świecie są w obecnym układzie stosunków: Miłosz, Barańczak, Jeleński, Chojecki, zespół *Kultury* (Giedroyc, Czapski, Herling-Grudziński, Zofia Hertz). Jest nim także Zygmunt Kallenbach, prezes Fundacji Kościelskich w Genewie, pilnie śledzącej twórczość młodych pisarzy, jako kandydatów do wyróżnień.

Remanent

Procent książek i innych publikacji, których wartość nie uległa deprecjacji po upływie lat jest na emigracji co najmniej tak wysoki, jak w Kraju. Specyficznymi „rezerwami” są — w stosunku do Kraju i najnowszej emigracji — książki nieznanne nad Wisłą a warte poznania, a często wznowienia. Tak np. dalszych wydań domagają się pisma Andrzeja Bobkowskiego, Czesława Straszewicza, Zygmunta Haupta, Andrzeja Chciuka i in.

Jako nowy problem, z którego postawieniem nie spotkałam się jeszcze w piśmie, rysuje się potrzeba emigracyjnych wydań dawnych książek pisarzy z najnowszej emigracji, tych zwłaszcza, które w okresie „Solidarności” figurowały na listach proponowanych lektur szkolnych. Szanse ich wydań krajowych są obecnie nikłe. W grę wchodzi także — na dalszym planie — debiuty i „drugie” książki autorów, przebywających w Kraju, tępionych przez cenzurę albo stojących wobec perspektywy paroletniego czekania na wydanie książki. Jeśli idzie o seniorów literatury krajowej, proces ten już się rozpoczął, o czym świadczą wydania „Miazgi” czy książek Konwickiego.

Zyjemy w czasach nie tylko „ciekawych”, ale i ważnych. Może nawet decydujących o tym, czy kultura polska oprze się naciskowi przeciwności.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejő, 29 września 1983

«Chusteczka imperatora»

W ubiegłym roku ukazała się w Londynie książka Wojciecha Karpińskiego pt. „Chusteczka imperatora”*. Jest to zbiór recenzji i szkiców, napisanych w latach 1970-1980 i należących do dziedziny zwanej „historią idei”. Autora interesują dzieje stosunków pomiędzy jednostką i władzą państwową — i to zarówno w teorii jak w praktyce. Teoria w tym wypadku oznacza poglądy ludzkie na sprawy takie jak przymus, wolność i prawo (lub jego brak), praktyka zaś — nie ujęte w słowa zasady rzeczywistych instytucji i ustrojów. Przykładem tego ostatniego podejścia jest tytułowy szkic książki, który zwięźle omawia historię tajnej policji w Rosji carskiej. Poprzednik sławetnej Ochrony, tzw. Trzeci Oddział Kancelarii Osobistej *jewo imperatorskowo wielicestwa* powstał w 1826 roku aby czuwać, by nie powtórzyła się rewolucja dekabrystów ani inne tego rodzaju „nieporządki”. Podobno gdy

* Polonia Book Fund, Londyn 1983, 275 str. + 10 nlb.

naczelnik tej policji, gen. Benckendorff, poprosił Mikołaja I o bliższe instrukcje, ten wręczył mu swą chustkę ze słowami: „Oto jedyna wskazówka. Otrzyj tą chusteczką łzy mojego ludu”. Karpiński przytacza tę anegdotę ze względu na jej sens symboliczny — hipokryzję lub też tępą arogancję wszelkich rzekomo dobroczynnych tyranii, interesują go jednak głównie negatywne skutki społeczne, a więc namacalne efekty autokracji, nie jej ocena moralna. „Chusteczka Imperatora miała powstrzymać nie tylko łzy, ale wszelki ruch myśli, wszelką spontaniczność działania społeczeństwa” — pisze Karpiński i konkluduje: „... pełne skutki [tego] działania dostrzec można było dopiero w sebastopolskiej klęsce”. Choć autor nie stawia tu kropki nad i, analogia pomiędzy ujawnionym przez wojnę krymską zacofaniem carskiej Rosji i obecnym niedorozwojem Związku Sowieckiego narzuca się czytelnikowi natychmiast. I tu dotykamy sprawy aktualności książki Karpińskiego.

Chociaż wiele składających się na „Chusteczkę imperatora” szkiców dotyczy wieku XIX, a sprawy w książce omawiane reprezentują całą gamę myśli europejskiej, punktem odniesienia jest w niej Polska i czasy obecne. Nie jest to obsesyjny polonocentryzm — przypomnijmy, że Karpiński jest też autorem książki o Włoszech i dwóch książek o Ameryce — lecz właściwość materiału i zarazem sytuacji polskiej. Brak swobód w Polsce i brak forum dla prawdziwej dyskusji spraw publicznych sprawiają, że najbardziej na pozór akademickie rozważania na temat poglądów np. Monteskiusza, lorda Actona czy de Tocqueville’a — wymieniam kilku „bohaterów” książki — wlewają się we wspomniane braki jak płynny wosk w puste formy. Mówiąc mniej górnolotnie, a dobitniej: sprawy wolności, demokracji czy też tyranii, które w krajach łaskawiej przez historię potraktowanych należą do dziejów rozwoju myśli społecznej, w polskich warunkach stają się palącym tematem czasu teraźniejszego, czyli tematem politycznym. O ile ton dyskursu o nich nie współbrzmiał z intencjami grupy rządzącej — a w przypadku Karpińskiego zdecydowanie nie współbrzmiał — książka tego rodzaju staje się tekstem niepożądanym. Taki był los „Chusteczki imperatora”. Przypomnę, że Wojciech Karpiński, historyk i romanista, był do niedawna pisarzem i publicystą krajowym. Należał do zespołu *Twórczości*, współredagował niezależny (tzn. nieoficjalny) kwartalnik *Res Publica* i pisywał w *Tygodniku Powszechnym*. Pomimo, że pewne szkice, składające się na omawianą tu książkę ukazały się w pismach krajowych, całość jako zbyt wyraźna obrona stanowiska liberalnego, personalistycznego i patriotycznego nie miała szans na normalną publikację. Zainteresowały się nią dwa wydawnictwa niezależne (krakowski KOS i wrocławski oddział Niezależnego Stowarzyszenia Studentów), ale tymczasem nadszedł grudzień 1981, który uderzył nie tylko w drukującą się w podziemiu książkę, ale i w autora. Nazwisko Karpińskiego, który w tym momencie przebywał w Stanach Zjednoczonych znalazło się na liście internowanych, co oczywiście zamknęło mu drogę do kraju.

Dobrze, że mimo tych perypetii książka ukazała się w Londynie, jest to bowiem rzecz ważka i potrzebna.

Trudno w krótkim sprawozdaniu omówić dokładnie jej treść. Dzieli się na dwie części i można by — odwołując się do wspomnianego już tu terminu „historia idei” — powiedzieć, że część pierwsza traktuje przede wszystkim o ideach, a druga o historii. 20 szkiców w części zatytułowanej „Wolność i wiara” omawia postacie i poglądy takich mało stosunkowo w Polsce znanych myślicieli liberalnych jak Hannah Arendt, Friedrich Hayek czy Nicola Chiaromonte. Nie brak i Polaków: dwa ciekawe teksty poświęcone są np. Krasińskiemu. Jako rodzaj kontrpunktu wplecione są tu obserwacje nad historią społeczną i intelektualną Rosji. Tekst tytułowy tej części — „Wolność i wiara” — jest refleksją na temat pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski.

Część druga nosi nawiązujący nieco ironicznie do Puszkina tytuł „Słowiański spór”. Poświęcona jest w całości postawom Polaków wobec zaborów i caratu. W trzech długich i dobrze udokumentowanych szkicach autor analizuje działalność zaprzaińców w rodzaju Adama Gurowskiego i Henryka Rzewuskiego — Karpiński określa postawę autora „Pamiętek Soplicy” jako „zdeprawowany konserwatyzm” — omawia XIX-wieczne koncepcje wywolenie i — w szkicu pt. „Między rozpaczą i nadzieją” — daje przegląd różnorodnych postaw politycznych po powstaniu styczniowym. I tu, jak w części pierwszej, nie brak oczywiście analogii do czasów dzisiejszych. Rozważając dawną dysputę narodową na temat „co robić?”, Karpiński podkreśla jej wkład w dzieło utrzymania sprawy polskiej w wyraźnym kształcie, gdyż pozwoliła ona na — mówiąc jego słowami — „sformułowanie aspiracji politycznych narodu polskiego”. Słowa te można odnieść i do książki samego Karpińskiego. Jej znaczenie polega na tym, że jest nie tylko zbiorem cennych informacji o myślach, ludziach i faktach tworzących kulturę europejską, ale także spokojnym, rozważnym głosem w dyskusji o sprawach istotnych dla Polski. Daje świadectwo, że dyskusja taka trwa mimo chwilowych porażek i zawodów. Niewątpliwie w tym duchu też pisał ją autor, bowiem zadedykował ją Adamowi Michnikowi.

M. BRONSKI

«Pamiętnik Literacki»

Londyński *Pamiętnik Literacki* wydawany przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie ukazuje się od 1976 roku. Bezpośrednim powodem powołania go do życia była chęć stworzenia perio-

dyku, który prezentowałby dorobek literacki i naukowy rozproszonych po świecie polskich pisarzy. Prezesowi Związku — dr. Józefowi Garlińskiemu — i jego współpracownikom marzyło się pismo zamieszczające eseje i artykuły na temat poezji, prozy, twórczości dramatycznej, historii, krytyki, tłumaczeń i poloników, oraz w części drugiej dokumentujące wydarzenia i fakty polskiego życia literackiego na obczyźnie. Niestety pisarze emigracyjni nie skorzystali z tego forum dyskusyjnego, w ogromnej większości nie docenili wysiłku inicjatorów przedsięwzięcia. Ale redakcja *Pamiętnika* wyszła z boju o utrzymanie pisma obronną ręką, gdy po wydaniu trzech tomów znalazła szczęśliwą zasadę organizującą pomieszczane w nim materiały: każdy numer poświęcony jest jednemu głównemu zagadnieniu. I tak: tom IV opublikowano pod hasłem twórczości i nagrody Miłosza, tom V rozpatrzył sytuację i dorobek pisarzy emigracyjnych, którzy „wydobyli się na obcy rynek wydawniczy”, tom VI poświęcono poezji na emigracji. Oczywiście, zważywszy skromne możliwości, *Pamiętnik Literacki* jedynie sygnalizuje tematy i jest raczej swego rodzaju suplementem aktualizującym zasadnicze problemy rozwoju literatury polskiej na obczyźnie; przypomnienie tej jego wizytówki jest konieczne z uwagi na tu i ówdzie występujące niedoinformowanie krajowych recenzentów.

Ostatni tom *Pamiętnika* poświęcono przekładom z języka polskiego na języki obce, „przede wszystkim te, które mają zasięg światowy”.

W *Pamiętniku* znalazły się cztery wywiady przeprowadzone przez Józefa Garlińskiego z tłumaczami-obcokrajowcami: Karlem Dedeciusem — niemieckim lingwistą mającym w swoim dorobku przeszło 70 przekładów książkowych, głównie poezji, Gerardem Raschem — który zaznajomił Holendrów z prozą Schulza, Konwickiego i Miłosza, Paulem Stephenem Fallą — nadzwyczajnym nowozelandzkim poliglotą, przybliżającym społeczeństwu Zachodu naszą literaturę filozoficzno-historyczną, oraz Lucienne Rey — tłumaczącą na język francuski polskich dramaturgów, poetów i prozaików, w szczególności Brandstaettera.

O teorii przekładu wypowiadają się dzisiaj antropodzy, teoretycy literatury, językoznawcy, a nawet filozofowie, zwłaszcza po opublikowaniu przez W. Quine „World and Object” (1960), natomiast w *Pamiętniku* — praktycy przekładu piszą o warsztacie tłumacza. Andrzej Busza w eseju „O refrakcji znaczeniowej w przekładzie poetyckim” porusza problem „świadomego ukierunkowania tekstu literackiego przez autora pod wpływem światopoglądu, postawy ideologicznej... itp.”. Na przykładzie przetłumaczonego przez Miłosza wiersza Yeatsa „Sealing to Byzantium” pokazał, jakim przemianom znaczeniowym uległ wiersz pod wpływem interpretacji tłumacza.

Co przekładamy? Czy dzieło, jakie widzą dzisiejsi rodacy autora, czy też to, jakie widzieli jego współcześni? — zastanawia się Wacław Iwaniuk, tłumacz „Bogurodzicy”. Na poparcie opinii, iż

język przekładu winien być współczesny językowi oryginału można podać niezwykle udaną pracę Boya-Żeleńskiego, który renesansową polszczyzną przełożył *Gargantuę i Pantagruela*, ale wybór uwspółcześnionej angielszczyzny dla oddania piękna „Bogurodzicy” wydaje się bardzo szczęśliwy, a nawet — jedyne możliwe do zaakceptowania. Florian Śmieja, wybitny hispanista, pisząc o własnych próbach translatorskich *Platero y Yo* — J. R. Jimenez, wskazuje na dość charakterystyczne zjawisko przemilczania i podważania osiągnięć polskich tłumaczy na emigracji przez tłumaczy krajowych (na przykład: Janusz Strasburger i jego *Srebrzynek i ja*). Jerzy Pietrkiewicz przedstawił telegraficznie i efektownie 12 uwag dotyczących przekładów. Oto dwa punkty z jego katalogu: „znać oryginał na pamięć”, „tekst wynika z kontekstu”. Obszerny esej na temat warsztatu pracy tłumacza zamieścił Bogdan Czaykowski, w którym czytamy również o tym, z jaką trudnością wchodzi polska literatura na rynek amerykański. Zamieszczona przez autora korespondencja z niedawno zmarłym Mieczysławem Giergielewiczem stanowi swego rodzaju próbę kodyfikacji przekładu. Warto odnotować, że aż trzech „merkuriuszów” — Śmieja, Czaykowski i Busza — zamieściło swoje artykuły w tomie VII *Pamiętnika*. I nic w tym dziwnego, debiutowali w latach 50-tych jako poeci tworzący jedyną jak dotąd uformowaną na terenie Anglii grupę literacką, ale w ogromnej większości byli już wówczas tłumaczami, a dzisiaj zajmują się głównie pracą translatorską.

Druga część *Pamiętnika Literackiego* prezentuje materiał fakto-graficzno-pamiętnikarski dotyczący bieżącego życia literackiego na obczyźnie. Znalazł się tutaj artykuł Antoniego Pośpieszalskiego wygłoszony na wieczorze literackim Związku Pisarzy poświęconym setnej rocznicy śmierci C. K. Norwida. Stałymi rubrykami tego działu są biogramy i bibliografie pisarzy tworzących poza krajem — w tomie VII: Brzękowski, Jeleński, Kołakowski, Nelken, Thernerson, Zamorski, Żuławski — a także wykazy nagród pisarskich, lista aktualnych adresów „polskich fundacji, instytutów, bibliotek, muzeów i firm wydawniczych na obczyźnie”. Dla historyków literatury są to podstawowe dane do syntez. Rozumieją to redaktorzy londyńskiego periodyku, wysyłając do krajowych bibliotek i placówek naukowo-badawczych kilkadziesiąt egzemplarzy każdego numeru.

Tom VII zawiera pewną nowość — wywiady z aktualnymi laureatami nagród Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (przyznawanych od 1952), którymi zostali: Zbigniew Zaniewicz, nagrodzony za całokształt twórczości i Alicja Iwańska, autorka *Wojennych odcinków*, czyli najlepszej książki 1982 roku. *Pamiętnik Literacki* kończy jak zwykle „Kronika Związku”, która oprócz informacji na temat imprez i zebrań zamieszcza listę nowych członków organizacji pisarskiej. Zostali nimi: Stanisław Barańczak, Bogdan Czaykowski i Ks. Janusz Ihnatowicz.

«Więź» o literaturze emigracyjnej

Wydawany w Warszawie katolicki miesięcznik *Więź* cały swój skandalicznie opóźniony numer lipcowy z ubiegłego roku poświęcił zjawisku literatury tworzonej na emigracji. Znając trudności z jakimi borykają się pisma krajowe i coraz bardziej zacieśniającą się pętlę cenzury należy pomysł ocenić wysoko. Wykonanie redakcyjne nie jest jednak wolne od uchybień, po części tylko dających się wytłumaczyć możliwościami i warunkami w jakich pracuje redakcja. Chyba tym należałoby usprawiedliwić brak w numerze choćby wzmianki o wielu ważnych utworach literatury emigracyjnej, oraz ograniczenie się w znacznej mierze do cytowania nazwisk bądź już szerzej znanych czytelnikowi polskiemu w kraju, bądź sklasyfikowanych i dopuszczonych przez reżym do obiegu (głównie dotyczy to zmarłych).

Ponadto analizy twórczości emigracyjnej pod piórami krytyków warszawskich stały się za bardzo łagodne i cnotliwe. Brakuje kontrowersji, przecen wartości, nowego spojrzenia na całość problemu. Czyżby dowodziło to słabości zaplecza intelektualnego tak ambitnego pisma jak *Więź*? A może i nikłości istnienia krytyki literackiej w dzisiejszej Polsce?

Pomimo tych zastrzeżeń numer *Więzi* nie tylko radykalnie odbija od poziomu prasy krajowej (o co, zauważmy, nie jest trudno), ale też w znaczący sposób rozszerza wiedzę polskich czytelników o literaturze pisanej na obczyźnie. Jest przy tym — co odważnie zapowiada redakcja we wstępie — traktowany „jako jeden z wielu poświęconych zagadnieniu literatury emigracyjnej”.

Świadectwem tego jest zestaw nazwisk zarówno pisarzy emigracji, jak i poświęcających im swą uwagę krytyków i eseistów krajowych. Pośród pierwszych spotkać można Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, autora przedrukowanego w obszernych fragmentach „Dziennika pisanego nocą” (szkoda, że tylko z pierwszego tomu), Wacława Iwaniuka, Józefa Czapskiego, Andrzeja Bobkowskiego, Wita Tarnawskiego czy Witolda Wirpszę. Drugich reprezentują Jan Błoński, Paweł Hertz, Juliusz Żuławski, Łubieński czy wreszcie znany warszawski historyk Czesław Hernas. A obok nich liczna grupa młodszych krytyków jak Pieczara, Nasiłowska, Dybciak, Siedlecka, Bernat.

Osobliwe wrażenie sprawiają niezwykle liczne ingerencje cenzora, niektóre (m.in. w tekście Herlinga-Grudzińskiego) sprytnie zakamuflowane jako wielokropek w nawiasie (...). Kilka artykułów zostało zarekwirowanych w całości i pozostał po nich jedynie

śląd w postaci nazwisk autorów (Sławiński, Maj, Bojarska). W ten sposób został podobno zdjęty szkic o twórczości Tadeusza Nowakowskiego.

Mimo pewnych usterek należy jednak podkreślić duże znaczenie tego 7/297 numeru *Więzi*. Jest on dowodem, że polska literatura żyje i rozwija się właśnie w wolnym świecie wbrew bzdur, które o pisarzach na emigracji wypisują krajowi propagandyści, jak np. ostatnio Andrzej Wasilewski w *Argumentach*.

Prasa Żydów polskich

Nakładem Ośrodka Badań Żydostwa Polskiego przy Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie ukazał się opracowany przez Pawła Gliksona „Rejestr żydowskiej prasy codziennej i periodycznej w języku polskim 1823-1982”*. Jest to inwentarz wstępny, opatrzony skróconym opisem bibliograficznym, nie przeznaczony w zasadzie do dystrybucji handlowej, lecz dla mogących go uzupełnić i uściślić — w celu edycji definitywnej — naukowców i specjalistów instytucji. Zawiera on spis szeroko pojętych periodyków w wydawanych po polsku przez Żydów (i dla Żydów) począwszy od roku 1823, w którym to roku zaczął ukazywać się w Warszawie *Dostrzegacz nadwiślański* po obecnie wydawane w Tel-Awivie *Nowiny-Kurier*. Periodyki takie ukazywały się i ukazują dotąd nie tylko w różnych miastach Polski (około 40-tu), ale też w wielu krajach przebywania władającej językiem polskim społeczności żydowskiej (Anglii, Austrii, Danii, Francji, Stanach Zjednoczonych, Szwecji oraz sporo w Izraelu). Obok gazet i czasopism autor odnotował roczniki, almanachy, jednodniówki — w sumie 555 pozycji. „Rejestr” właściwy poprzedza — jako część po angielsku i hebrajsku napisanego „Wstępu”, prezentującą metodologię opracowania — kilkujęzyczna, 118 pozycji licząca bibliografia zagadnienia. Praca Gliksona jest fragmentem trójczłonowego projektu zainicjowanego przez Ośrodek, w ramach którego zostaną w przyszłości zestawione szczegółowe bibliografie wydawanej przez Żydów w Polsce prasy w językach żydowskim i hebrajskim.

Słowo o autorze. Paweł Glikson (15. 3. 1921, Warszawa — 5. 1.

* Paul Glikson, *Preliminary Inventory of the Jewish Daily and Periodical Press Published in the Polish Language, 1823-1982*. The Hebrew University of Jerusalem, Institute of Jewish Studies — Center for Research on Polish Jewry, 1983, str. 69 + 6.

1983, Jerozolima) był socjologiem-demografem i publicystą piszącym po polsku, angielsku i hebrajsku. Absolwent gimnazjum hebrajskiego w Warszawie, opuścił stolicę już po zajęciu jej przez Niemców i przybył do Tel-Awiv. Tu wstąpił do armii polskiej, z którą odbył bliskowschodnią wędrówkę i kampanię włoską. Po demobilizacji studiuje ekonomię w Rzymie, Bolonii a następnie w Londynie, gdzie osiada na szereg lat, pracując w wydziale kulturalnym Kongresu Żydowskiego. W roku 1964 przeniósł się do Jerozolimy i podjął pracę jako sekretarz naukowy jednego z Instytutów Uniwersytetu Hebrajskiego. Przez wiele lat stały współpracownik (okresowo członek redakcji) *The Jewish Journal of Sociology* oraz roczników „Encycl. Britannica”, ogłosił Glikson szereg studiów i zestawów bibliograficznych z dziedziny socjologii i demografii żydowskiej, szczególną uwagę poświęcając sprawom Żydów w Polsce. Pisywał również w polskiej prasie emigracyjnej (*Kulturze, Wiadomościach, Kontynentach*). Pracę nad powyższym „Rejestr” zakończył na parę zaledwie dni przed nagłą śmiercią.

Ryszard LÖW

ZAPOWIEDZI WYDAWCÓW EMIGRACYJNYCH (c.d.)

KONTRA (Londyn):

1. *Fakty, przyroda i ludzie* — Józef Mackiewicz.
2. *Nowele zebrane* — Józef Mackiewicz.
3. *Szkice piórkiem* — Andrzej Bobkowski.

NOWY DZIENNIK (New York, USA):

1. *Teheran-Jahta-Poczdam — Reportaż w przeszłości — Jak odejść od Jahty*. B. Wierzbiański. Str. 180.
2. *Lechoń, Wierzyński, Wittlin, Czermański w Ameryce* — praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Krzywickiego.
3. *Spotkania ze swoimi* — Tymon Terlecki.
4. *Polska dwudziestolecia, wspomnienia, blaski i cienie* — praca zbiorowa.
5. *Droga do i z Helsinek* — B. Wierzbiański.
6. *Sztuka polska (ilustrowana) — rzut historyczny, ze szczególnym uwzględnieniem sztuki polskiej w Ameryce* — Stanisław Jordanowski.
7. *Powstanie Warszawskie — w 40-tą rocznicę* — praca zbiorowa.
8. *Polonia i emigracja polska w Ameryce wobec Polski* (tytuł do ustalenia) — praca zbiorowa.
9. *Biblioteka pamfletów* —
Ku przestrodze — Stefan Bratkowski.
10. *Z szeregów wojskowych do cywilnych — pierwszy okres Stowarzyszenia Polskich Kombatantów* — Bolesław Łaszewski.
11. *Ruchy ideowe młodzieży polskiej w Dwudziestoleciu* — praca zbiorowa.

W TYM ROKU UKAZAŁY SIĘ:

1. *Poezja stanu wojny* — nadesłane z kraju. 100 stron. Ilustracje: A. Czeczot, A. Dudziński, J. Sawka, R. Olbiński, J. Kapusta.

Nadesłane nowości wydawnicze

- PAPORISZ (Romuald). *Szara godzina. Wesołe i melancholijne opowiadania*. Str. 190 i 2 nłb. (Wyd. OPIM, Londyn 1984).
- DUSZA (Edward). *Przez ciemność do światła. Wiersze*. Str. 39 i 5 nłb. (Wyd. OPIM, Londyn 1983).
- DUSZA (Edward). *Wybór wierszy*. Str. 147 i 5 nłb. (Wyd. Editions du Temps Pluriel, Paryż 1983).
- DUSZA (Edward). *Wiatr mojej burzy. Wiersze*. Str. 47 i 1 nłb. (Wyd. A. Poray Book Publ., Nowy Jork 1982).
- SOWIŃSKI (Kazimierz). *Uparty prowincjusz. Wspomnienia o Tadeuszu Sułkowskim*. Str. 111 i 3 nłb. (Wyd. OPIM, Londyn 1983).
- PAWLUCZUK (Andrzej W.). *Rozbiory. Eseje o literaturze*. Str. 183 i 1 nłb. (Wyd. Biblioteka Węzi, Warszawa 1983, cena zł 300).
- PASIERB (Janusz S.). *Pionowy wymiar kultury*. Str. 151 i 1 nłb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 100).
- SCIBOR-RYLSKI (Aleksander). *Człowiek z marmuru — człowiek z żelaza. Liczne zdjęcia*. Str. 216 i 4 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- SURDYKOWSKI (Jerzy). *Notatki gdańskie*. Str. 186 i 2 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- LIPSKI (Jan Józef). *KOR*. Str. 434. Indeks nazwisk. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- MAZOWIECKI (Tadeusz). *Internowanie*. Str. 68 i 2 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- KUCZYŃSKI (Waldemar). *Obóz*. Str. 120 i 6 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- TORUŃCZYK (Barbara). (Opracowanie i wstęp). *Narodowa Demokracja. Antologia myśli politycznej „Przeglądu Wszzechpolskiego” 1895-1905*. Str. 318. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- WŁADIMOW (Georgij). *Wierny Ruslan*. Przeł. z rosyjskiego Andrzej Drawicz. Str. 112. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- GROSS (Jan Tomasz) i GRUDZIŃSKA-GROSS (Irena). *W czterdziestym nas matka na Sybir zesłali... Wstęp J. T. Gross*. Str. 506. (Wyd. Aneks, Londyn 1983).
- PASTERNAK (Borys). *Doktor Żiwago*. Str. 543 i 9 nłb. (Wyd. Oficyna Literacka — wydawnictwo podziemne, przedruk z wydania Instytutu Literackiego. M.w. nie podane, 1983).
- MIŁOSZ (Czesław). *Poèmes 1934-1952*. Opracował K. A. Jeleński, postawie A. M. Schenker. Str. 271 i 1 nłb. (Wyd. Luneau Ascot Editeurs, Paryż 1984, cena F. 68).
- CLUZEL (Raphaël). *Le chemin de croix de Max Jacob*. Str. 61 i 3 nłb. (Wyd. Editions Richard-Masse, Paryż 1983).
- DUNAJEWSKI (Henri) i GRANIER (Roland), opr. *Consommation en France et en Pologne*. Str. 265 i 1 nłb. (Wyd. Librairie de l'Université Aix-Marseille, Aix-en-Provence 1983, cena F. 120).
- GLIKSON (Paul). *Preliminary Inventory of the Jewish Daily and Periodical Press Published in the Polish Language 1823-1932*. Str. 69 + 11. (Wyd. The Hebrew University of Jerusalem w serii „Polish Jewry: bibliographical series” — 1).
- GEROULD (Daniel), TABORSKI (Bolesław), HART (Steven) i KOBIAŁKA (Michał), opr. *Polish Plays in Translation. An Annotated Bibliography*. Str. 133 i 1 nłb. (Wyd. CASTA, Nowy Jork 1983).

- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). „Solidarity” in *Folk Literature*. (Nadbitka z *Polish Review* nr 3/1983, str. 15-21).
- MIĄZEK (Bonifacy). *Polnische Literatur 1863-1914. Darstellung und Analyse*. Str. 347 i 3 nłb. (Wyd. Gerda Leber Verlag, Wiedeń 1984).
- GRUŠA (Jiří, wyd.). *Verfemte Dichter. Eine Anthologie aus der CSSR*. Str. 189 i 5 nłb. (Wyd. Bund-Verlag, Kolonia 1983).
- Bücherverzeichnis, Band 1*. Stan 1980-1983. Str. 299 i 17 nłb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut w Darmstadtzie, 1983).
- Ostdeutsche Gedenktage 1984. Persönlichkeiten und historische Ereignisse*. Str. 299 i 1 nłb. (Wyd. Kulturstiftung der Deutschen Vertriebenen, Bonn 1983).
- HAHN (Hans Henning). *Möglichkeiten und Formen politischen Handelns in der Emigration*. (Nadbitka z „Archiv für Sozialgeschichte”, vol. XXIII, str. 123-161, wyd. Vlg Neue Gesellschaft, Bonn 1983).
- BÖLL (Heinrich). *Ansprache zur Verleihung des Preises der Robert Bosch Stiftung für polnische Übersetzer deutscher Literatur im Jahre 1983*. Str. 15 i 1 nłb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut w Darmstadtzie, 1983).
- USCHAKOW (Alexander). *Völkerrechtliche Beziehungen zwischen der DDR und Polen bis zur Gründung des Warschauer Paktes*. (Nadbitka z „Recht, Wirtschaft, Politik im geteilten Deutschland” opr. G. Zieger, wyd. Carl Heymanns Vlg, Kolonia-Bonn-Berlin-Monachium, str. 103-124).
- USCHAKOW (Alexander). *Die Wiederherstellung Polens im Lichte des Völkerrechts*. (Nadbitka z: „Staatliche Kontinuität unter besonderer Berücksichtigung der Rechtslage Deutschlands”, opr. B. Meissner i G. Zieger, wyd. Verlag Wissenschaft und Politik, str. 107-128).
- HAVEL (Vaclav). *Versuch, in der Wahrheit zu leben. Von der Macht der Ohnmächtigen*. Str. 90 i 4 nłb. (Wyd. Rowohlt Vlg, Hamburg 1980).
- ACHMATOWA (Anna). *Socznienia*. Tom III. Str. 636. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1983).
- DUSZKIN (Władimir). *Zabytyje*. Str. 148 i 4 nłb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1983).
- WOŁKOW-MUROMCEW (N. W.). *Junost' ot Wjazmy do Feodosii (1902-1920)*. Str. 425 i 1 nłb. (Wyd. YMCA-Press w cyklu „Wsjerossijskaja memuarная biblioteka”, seria „Nasze niedawnieje”, Paryż 1983).
- FLEJSZMAN (L.), CHIUZ (R.), RAJEWSKAJA-CHIUZ (O.). *Ruskij Berlin 1921-1923. Po materialam archiwa B. I. Nikołajewskowo w Hooverowskom Institutie*. Str. 422 i 2 nłb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1983).
- Notatki z mystectwa. Ukrainian Art Digest*. Nr 22, str. 79 i 1 nłb. (Wyd. Objednanija Mystectw Ukrainciw w Ameryci, Filadelfia 1982).
- KABEŠ (Petr). *Odklad krajiny*. Wiersze. Str. 76 i 4 nłb. (Wyd. edice rozmluvy, Londyn 1983).
- SCIBOR-RYLSKI (Aleksander). *Čovek od mramora. Čovek od gvožda*. Przeł. z polskiego Petar Vujičić. Str. 224 i 4 nłb. (Wyd. Kornji Milanovac, 1983).
- Lad os ikke pakke oceanerne ind i bomuld. Polske digte fra dette arhundrede*. Wybór i przekład na duński Jess Ornsbo. Str. 179 i 1 nłb. (Wyd. Vindrose, Dania 1983).
- Konflikt och solidaritet i Polen*. Wybór tekstów krajowych, opr. H. Wiberg, M. Bertilsson, K. Gerner, A. Kutylowski. Str. 246 i 2 nłb. (Wyd. Prisma, Sztokholm 1983).
- Journal of Peace Research, special issue: Poles on Poland*. Vol. XIX nr 2/1982. Str. 202 i 6 nłb. (Wyd. International Peace Research Institute, Oslo).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-1-84

170 osób pochodzenia polskiego studiuje na wyższych uczelniach PRL, w tym 80 osób przybyło ze Stanów Zjednoczonych.

14-1-84

Prasa niezależna w Polsce donosi:

Gen. Jaruzelski spotkał się z kilkudziesięcioma redaktorami naczelnyymi. Dziennikarze skarżyli się na absurdalną centralizację sterowania propagandą — wszystkie gazety są podobne i wszystkie wywołują irytację czytelników. Winą za to obciążono głównie Urbana. Krytykowano kompromitujący poziom argumentacji rządowych w komunikatach. Jako przykład podano komunikaty w sprawie zabójstwa Przemyska, niewiarygodne i ośmieszające władzę.

Gen. Jaruzelski przeszedł do porządku dziennego nad narzekaniami naczelnych. Zaczął od niedawnego spotkania z Prymasem Glępem, ale nie podał żadnych szczegółów. Wygłosił tylko szereg komplementów, nazywając Prymasa wybitnym intelektualistą, patriotą, człowiekiem, z którym można rozmawiać. Oświadczył, że stosunki z Kościołem poprawiają się, choć w niektórych kościołach nadal prowadzona jest działalność opozycyjna. Jako przykład poprawy stosunków podał, iż Prymas miał mu przyrzec, że Episkopat nie dopuści do śpiewania w kościołach „Boże, coś Polskę...”.

O opozycji politycznej: jest dobrze zorganizowana i inteligentna. Stro-
na rządowa, niestety, wciąż nie umie skutecznie z nią walczyć. W sprawie 11-tki nie ma — jak powiedział — żadnego odzewu na humanitarne, wielko-
duszne propozycje rządu. Jest to wciąż monolog. Jeśli odpowiedzi nie będzie (chodzi oczywiście o zgodę na emigrację), to dojdzie do wielkiego pokazowego procesu politycznego, którego władza chciałaby uniknąć.

O sytuacji gospodarczej: jest bardzo zła i będzie jeszcze gorsza. Rząd potrzebuje pilnie 4 mld dolarów, a nie ma ani grosza. Arabowie nie dali 2 mld na które liczyliśmy. Jakie są przyczyny niepowodzeń? Lekceważenie pracy przez społeczeństwo, które organizuje sobie życie poza państwem, zbiorowa ucieczka na emerytury, marnotrawstwo i pogoń za luksusem, wreszcie sankcje, które kosztowały PRL już 12 mld dolarów.

Po Jaruzelskim przemawiał jeszcze Czyrek, który poinformował dziennikarzy o wyniku kampanii sprawozdawczo-wyborczej w PZPR (40 % składu instancji, w niektórych województwach do 80 %). Nowy aparat reprezentuje, jego zdaniem, kiepski poziom. We władzach jest obecnie zaledwie 5 % robotników. Zapowiedział, że nie będzie wyborów delegatów na zbliżającą się Konferencję Partyjną. Wezmą w niej udział delegaci na XI Zjazd, nie wszyscy oczywiście, ponieważ ok. 20 % wykruszyło się. Oświadczył, że nie będzie żadnych zmian w centralnych władzach partyjnych.

O wyborach do rad narodowych: muszą one dać większość PZPR-owi. Nie będzie list alfabetycznych, choć będzie można wysuwać po dwu kandydatów na miejsca mandatowe. Wybory będą oczywiście tajne, ale... brakuje kopert, niewykluczone więc, że kartki trzeba będzie wrzucać bezpośrednio do urn. (Za: WAI).

Mazowsze nr 75 z 2 lutego 1984.

27-1-84

Na zgromadzeniu ogólnym Polskiej Akademii Nauk został wybrany zarząd: prezesem PAN został prof. Jan Karol Kostrzewski, a wiceprezesami — profesorowie Gerard Labuda, Jerzy Litwiniszcz, Władysław Markiewicz, Kazimierz Urbanik.

6-2-84

Prasa krajowa nadal podaje sensacyjne informacje o epidemii samobójstw w Paryżu wśród Polaków z najnowszej emigracji. Niejaki Andrzej Jeżewicz z *Ekspresu Wieczornego* twierdzi, że jest to na skutek akcji D.S.T. (Direction de la Sécurité du Territoire) — „funkcjonariusze D.S.T. bywają bardzo nieprzejmni, zwłaszcza gdy ktoś z polskiej kolonii próbuje mieć własne zdanie na temat tego, co się dzieje wśród najnowszej emigracji, bądź nie godzi się z tutejszymi interpretacjami tego, co się dzieje w ojczyźnie”... „większość (samobójców) skarżyła się na dziwne objawy... mieli uczucie jakby byli zatruci specjalnym gazem, albo karmieni prozkami, które obniżają energię i chęć życia, a pogłębiają depresję. Niektórzy próbowali szukać ratunku w decyzji szybkiego powrotu do kraju. Nie zdążyli jednak...”.

12-2-84

Tygodnik Powszechny donosi, że 22 grudnia 1983 roku nastąpiło otwarcie Wydawnictwa Archidiecezji Warszawskiej, którego dyrektorem został ks. Waldemar Wojdecki. Zadaniem tego wydawnictwa będzie publikowanie Pisma św., modlitewników, katechizmów, etc.; wydawanie prac naukowych papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie; ma ono także wydawać tygodnik pt. *Przegląd katolicki*.

14-2-84

Kurier polski i polonijny zamieszcza wywiad z doc. Włodzimierzem Czeczotem, dziekanem polonistyki w Wileńskim Instytucie Pedagogicznym. Według oświadczenia p. Czeczota na Litwie istnieje obecnie 112 szkół z polskim językiem wykładowym, z tego około 30 to pełne szkoły średnie. W samym Wilnie jest ich siedem. W szkołach polskich kształcą się obecnie około 12 tys. uczniów. Według spisu z 1979 roku spośród 3,5 mln mieszkańców Litwy jest ćwierć miliona Polaków.

17-2-84

Rada Państwa PRL ogłosiła wybory do Rad Narodowych na dzień 17 czerwca bież. roku.

19-2-84

Głos Wyrzeża podaje interesujące dane dotyczące prasy, a mianowicie RSW Prasa-Książka-Ruch wydaje 259 tytułów czasopism, ich łączny nakład osiągnął średnio 24,1 mln egzemplarzy; zatem na głowę jednego mieszkańca PRL przypada w 1983 roku 77 egzemplarzy dzienników. Jest to spadek w stosunku do 1980 roku. Na 259 tytułów ponad 100 jest deficytowych. Przy 24,1 mln egzemplarzy w ub. roku zwroty wynosiły średnio 911 tys. W grupie tygodników wyraźny spadek nakładów notuje 14 tytułów m.in. *Rzeczywistość, Argumenty, Radar, Tu i Teraz, Fundamenty* oraz *Stolica* — jedyne deficytowe pismo kolorowe w Polsce. Przy trudnościach z papierem rozwija się eksport makulatury. Ponieważ jej przerób w Polsce jest niemożliwy z różnych powodów, eksportuje się ją do Jugosławii i do Austrii. W zamian za nią PRL otrzymuje celulozę i pewne ilości „wysokogatunkowych” książek, drukowanych na zamówienie PRL za granicą.

22-2-84

Alicja Wesołowska, urzędniczka O.N.Z., która od pięciu lat jest uwięziona w PRL pod zarzutem szpiegostwa, została zwolniona na skutek interwencji Sekretarza Generalnego O.N.Z. Javier Perez de Cuellar, który przebywał z wizytą w Polsce. Mimo zwolnienia z więzienia, p. Wesołowska nie może

opuścić Polski. P. de Cuellar otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego.

24-2-84

Na zaproszenie Związku Pisarzy Sowieckich udała się do Moskwy delegacja nowego Związku Literatów Polskich z p. Auderską na czele. Delegacja otrzymała instrukcje sekretariatu głównego Związku Pisarzy Sowieckich oraz podpisała porozumienie „o wszechstronnej współpracy między organizacjami pisarzy obu krajów”. ■ Zmarł w wieku 64 lat Lech Bądkowski, pisarz i publicysta, długoletni prezes oddziału gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

7-3-84

Znany pisarz, Marek Nowakowski, został aresztowany w Warszawie pod zarzutem publikowania oszczerczych tekstów, dotyczących ustroju i organów władzy oraz kolaboracji z osobami reprezentującymi organizacje zachodnie uprawiające szkodliwą działalność wobec Polski Ludowej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

28-11-83

Zmarła w Stanach Zjednoczonych w wieku 77 lat Jadwiga Pułaska, córka Franciszka Pułaskiego, wieloletniego dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu. P. Pułaska była bibliotekarką Columbia University w Nowym Jorku oraz współzałożycielką i członkiem Rady Dyrektorów Polskiej Bratniej Pomocy w USA.

14-2-84

Zmarł we Francji dr Aleksander Litwin, kontrowersyjny historyk Polski Współczesnej, publicysta, teoretyk wybranych zagadnień społeczno-politycznych. Od lat 1956-1958 na indeksie w PRL.

19-2-84

Zarząd 3 dywizji Strzelców Karpackich zorganizował w Londynie, w lokalu POSK-u obchód 90-ej rocznicy urodzin płk. dr. Mieczysława Młotki. Płk Młotek był w czasie wojny kierownikiem ewakuacji obozów na Węgrzech, kierownikiem Oświaty i Kultury samodzielnej brygady Strzelców Karpackich, a później 3 DSK; był założycielem i redaktorem szeregu pism, m.in. *Ku wolnej Polsce* i *Goniec karpacki*.

20-2-84

Zmarł w Nowym Jorku Edward Leszczyński, jeden z ułanów Beliny w 1914 roku, podpułkownik Armii Polskiej, senator R.P., wybitny działacz społeczny na emigracji.

29-2-84

Komunikat prasowy francuskiego PEN-Clubu — W sprawie zagrożonych polskich pisarzy. „PEN-Club francuski powziął na ostatnim zebraniu swego Zarządu decyzję kooptacji (w charakterze członków przyłączonych — *membrs associés* — francuskiego ośrodka PEN) członków Zarządu polskiego ośrodka PEN w Warszawie w następującym składzie: Juliusz Żuławski — prezes; Artur Międzyrzeczki i Jerzy Zagórski — wiceprezesi; Władysław Bartoszewski — sekretarz generalny. Decyzja ta — wyjątkowa w dziejach francuskiego PEN-Clubu — stanowi z jego strony świadectwo przyjaźni i solidarności w stosunku do naszych polskich kolegów. Przypomnijmy, że

władze warszawskie rozwiązały w sierpniu 1983 roku — wbrew statutom międzynarodowego PEN — legalnie wybrany zarząd polskiego ośrodka PEN, zastępując go bezprawnie wyznaczoną przez siebie komisją administracyjną. Komisja ta nie została uznana, ani co do jej istnienia, ani też powziętych przez nią decyzji, przez Międzynarodowy PEN. Od z górą 60 lat działalność kulturalna polskiego PEN-Clubu, z którym byli i są nadal związani najwybitniejsi polscy pisarze, zyskała na całym świecie znaczny prestiż. Przywiązany do karty PEN, określającej wolności, bez których nie może istnieć ani kultura, ani twórczość, francuski ośrodek PEN wyraża nadzieję, że działalność Polskiego PEN-Clubu będzie wznowiona w warunkach zgodnych z zasadami prawnymi międzynarodowej wspólnoty pisarzy jaką jest PEN”. Za Zarząd francuskiego ośrodka PEN komunikat podpisał jego prezes, p. René Tavernier.

2-3-84

Pierwsza rocznica śmierci wybitnej artystki Toli Korian Terleckiej. Nabożeństwa żałobne: w Londynie, w Chicago i Oshkosh (Wisc. w Stanach Zjednoczonych). Uroczyste poświęcenie na cmentarzu Władysława Szomańskiego. Ponadto ukazała się pod redakcją Katarzyny Fejcher (teatrolog z kraju) książka zbiorowa pt. „Tola Korian — artystka słowa i pieśni”, zawierająca prace ponad 30 autorów, kilkanaście fotografii, niereprodukowane rysunki Jacques Audibertiego i kompozycje Feliksa Topolskiego na okładce.

3-3-84

Władze PRL usiłowały sprowadzić ze Szwajcarii prochy Prezydenta Mościckiego i jego Żony, celem uroczystego ich pogrzebania w Alei Zasłużonych na Powązkach w Warszawie. W sprawie ekshumacji bawił w Szwajcarii p. Nawrocki, legitymujący się listem bpa Jerzego Dąbrowskiego. Do ekshumacji nie doszło na skutek sprzeciwu polskiej emigracji politycznej w Szwajcarii. Jednocześnie robi się starania, aby sprowadzić do Polski prochy gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Wszystkie te akcje spowodowane są nieudanymi staraniami o sprowadzenie do Polski prochów Generała Sikorskiego. Jest dziwne, że tego rodzaju zabiegi propagandowe znajdują poparcie naczelnych władz kościelnych.

15-3-84

Z okazji 75-lecia prof. dr. Wołodymyra Janiwa, rektora Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego w Monachium, odbyła się uroczystość związana z wręczeniem mu specjalnej Księgi Pamiętkowej.

1-4-84

Z okazji 40-lecia bitwy o Monte Cassino odbędzie się w Rzymie szereg uroczystości — m.in. 18 maja bież. roku uroczystości na Monte Cassino, ponadto uroczystości na polskich cmentarzach wojskowych na Casa Massina, Loretto i w Bolonii. W Rzymie zostanie otwarta wystawa. W związku z tym Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie ogłosił komunikat, w którym ks. Hieronim Fokciński zwraca się „z prośbą do wszystkich osób, posiadających materiały o działalności kulturalnej, a zwłaszcza wydawniczej Drugiego Korpusu, takie jak książki, czasopisma, jednodniówki, mapy, szkice terenowe, afisze, wycinki z prasy, pocztówki okolicznościowe, koperty, znaczki, fotografie, odznaki — o przekazanie lub wypożyczenie tychże materiałów na czas trwania wystawy. Korespondencję należy kierować na adres: Pontificio Istituto di Studi Ecclesiastici, Piazza B. Cairoli 117, I 00186 Roma, Italia”.

KRONIKA FRANCUSKA

W Paryżu miało miejsce w ostatnim miesiącu kilka interesujących wystaw polskichmalarzy i grafików. Pięknemalarstwo zaprezentowała w galerii „Les Cimaies Ventadour” Joanna Wierusz. W „Maison Internationale du Théâtre” Andrzej Markowicz przedstawił swoje projekty scenograficzne, Feliks Chudziński — prace z zakresu rytownictwa a Ewa i Wiesław Strebjko — 100 polskich afiszy teatralnych. W galerii „Union Chrétienne des Jeunes Gens de Paris” można było oglądać malarstwo zamieszkałego w Paryżu młodego absolwenta ASP z Krakowa Zbigniewa Krygiera. ■ W lokalu pisma *Alternative* odbyło się spotkanie z Waldemarem Kuczynskim, znanym polskim ekonomistą, przebywającym czasowo w Paryżu. ■ W spotkaniu poświęconym sprawom kultury i wolności zorganizowanym przez paryską „Fondation du Futur” (stowarzyszenie, którego członkowie — znani przedstawiciele francuskiej elity umysłowej — stawiają sobie za zadanie dyskusję nad ważkimi problemami współczesnymi) wystąpił m.in. Wojciech Karpiński. Karpiński mówił o podstawowych polskich doświadczeniach narodowych: o narzuceniu Polsce systemu totalitarnego i o ostatniej próbie uwolnienia się z jego pęt, jaką był okres Solidarności. ■ Przywódca centrali związkowej *Force Ouvrière* André Bergeron zwrócił się do prezydenta F. Mitterranda o pomoc dla przebywających w polskich więzieniach związkowców Solidarności. ■ Lech Wałęsa został doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Paris VIII w Saint-Denis. Dyplom odebrał szef Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą — Jerzy Milewski. ■ Nowa arteria komunikacyjna w centrum podparyskiej miejscowości Rosny-sous-Bois otrzymała nazwę: Avenue Lech Wałęsa. Przez tydzień (26 lutego - 4 marca), odbywały się w Rosny imprezy związane z Polską: m.in. wystawa, spotkania i dyskusje z przedstawicielami Solidarności, projekcje polskich filmów, a na zakończenie wielki koncert galowy na rzecz Solidarności z udziałem znanych artystów. Podjęciu decyzji przez Radę Miejską towarzyszyły liczne perypetie — komunistyczni członkowie Rady usiłowali zablokować ten projekt, ale większość w Radzie stanowi opozycja, dzięki czemu projekt przeszedł. Kłopoty były zresztą nie tylko z komunistami — Rada Miejska zamówiła mszę św. w intencji pokoju Polski i Solidarności, czemu przeciwstawił się biskup Saint-Denis, motykując swój opór tym, że „Kościoł i Państwo nie po to zostały we Francji rozdzielone, aby merowstwo organizowało msze święte”. W odpowiedzi merowstwo przypomniało, że sam biskup uczestniczył w festiwalu kultury nikaraguańskiej organizowanej przez różne organizacje solidarności z Ameryką Łacińską, a dochód z festiwalu ma być przeznaczony dla finansowania niektórych przedsięwzięć rządu sandynistów... Tuż przed inauguracją biskup jednak zmienił zdanie i w efekcie francuscy i polscy księża koncelebrowali msze święte w trzech różnych kościołach w Rosny. Na temat samego wydarzenia i różnych perypetii jego organizatorów dużo pisano we francuskiej prasie. (Był również skandal ze strony polskiej: zgromadzeni na próżno oczekiwali reprezentanta paryskiego komitetu Solidarności, który spóźnił się o prawie godzinę...) Na zakończenie uroczystości aleją Wałęsy ruszyły cztery ciężarówki z darami dla Polski, zebranymi przez miejscowe społeczeństwo. ■ W paryskim kościele Saint-Espirit odbył się wieczór muzyki sakralnej, z którego dochód organizatorzy przeznaczili na pomoc Polsce. Pieśni religijne zaprezentował rosyjski Chór Pieśni Prawosławnej St. Alexis oraz chór kościoła Saint-Espirit. Uczestniczyło około 500 osób. ■ Komitet Informacji i Akcji dla Polski zorganizował w lokalu paryskiego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów spotkanie z powracającym do kraju znanym działaczem opozycyjnym — Wojciechem Ziemińskim.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Na Uniwersytecie Ottawskim odbył się wieczór autorski Czesława Miłosza, zorganizowany przez Annę Biolik, profesora polonistyki na tymże uniwersytecie. Impreza cieszyła się ogromnym powodzeniem. Był to pierwszy wieczór Miłosza w Ottawie. ■ Podczas krótkiego pobytu w Toronto w dniach 11-14 lutego Jacek Kalabiński udzielił kilku wywiadów, wystąpił w telewizji i spotkał się z grupą wybitnych dziennikarzy kanadyjskich zatrudnionych w prasie, radiu i telewizji, którzy wraz z dziennikarzami prasy etnicznej utworzyli Komitet Pomocy Dziennikarzom w Polsce. Na spotkaniu z Polonią Kalabiński mówił na temat „Polska — niezależne społeczeństwo”, potem odbyła się interesująca dyskusja. Zebranie było liczne, ponad 200 osób — głównie przybyłych do Kanady w ostatnich latach. ■ Komitet Pomocy Dziennikarzom w Polsce w składzie: June Callwood, John Fraser, Robert Fulford, Elizabeth Gray, Richard Gwyn, Peter Czowski, Peter Kent, Mark Łukasiewicz, Jan Tennant, Peter Trueman, Anthony Westell i Norman Webster — działający od września 1982 roku, wysłał dotychczas 430 paczek żywnościowych do 250 dziennikarzy w Polsce. Akcja pomocy trwa nadal. ■ W Calgary (prowincja Alberta) w miejscowym Polskim Centrum Kulturalnym odbyła się w dniach 26-28 stycznia prezentacja polskich filmów dokumentalnych i fabularnych. Wyświetlono następujące filmy: „Angielska lekcja” i „Danton” — Andrzeja Wajdy, „Sto dni” i „Życie na półce” Tomasza Pobóg-Malinowskiego, „Robotnicy 80” Andrzeja Chodakowskiego i Andrzeja Zajączkowskiego. W imprezie wziął udział Tomasz Pobóg-Malinowski. ■ Polonia w Calgary otrzymała zastrzyk ludnościowy. W latach 1980-1983 według szacunkowych obliczeń przybyło około 1.00 Polaków, w tym około 30 % z wyższym wykształceniem. Ożywiło to znacznie życie polonijne nie tylko w Calgary ale i w Edmontonie — gdzie również osiedliło się sporo imigrantów ostatniej fali. Świadczą o tym liczne imprezy oraz udział nowoprzybyłych w organizacjach polonijnych i w władzach Okręgu Kongresu. ■ Po sukcesach kursów dla lekarzy i inżynierów planuje się kurs dla dentystów, który przygotowuje ich do egzaminów nostryfikacyjnych. ■ Biura podróży w Toronto ogłosiły na tegoroczny sezon turystyczny 15 lotów czarterowych do Warszawy począwszy od maja do 1 września. Przeciętna cena biletu około \$ 950 plus wiza oraz \$ US 2 na kupony „Orbis” na każdy dzień pobytu w Polsce. ■ Fundacja im. Reymonta wznowiła akcję organizowania wyjazdów do Polski na różne kursy: na UJ 4 kursy języka i kultury polskiej, na KUL — jeden kurs kultury i języka, a na Uniwersytecie M. Curie-Skłodowskiej 4 — jeden dla młodzieży w wieku 16-17 lat, drugi dla nauczycieli języka polskiego, trzeci dla instruktorów folklorystycznych i czwarty kurs etnograficzny; na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu dwa kursy: polskiej ekonomiki i handlu zagranicznego. Kursy trwają od 3 do 6 tygodni, opłaty wahają się od \$ 300 do \$ 540. Fundacja im. Reymonta oferuje kandydatom przeloty grupowe łącznie z opłaceniem kursów w cenach od \$ 1.125 do \$ 1.435.

B. H.

24 lutego 1984 r.

W zasadzie nie jesteśmy przeciwnikami brania udziału w imprezach organizowanych w PRL dla Polonii. Często są bardzo pożyteczne. Ale od czasu wprowadzenia stanu wojennego przez gen. Jaruzelskiego było celowe przeprowadzenie bojkotu. Fundacja im. Reymonta od tego czasu też nie organizowała wypraw do Polski. Obecną zmianę stanowiska należy zdecyd-

dowanie potępić. Będzie to wykorzystane przez władze PRL jako dowód, że emigracja zaczyna uważać iż sytuacja w kraju jest ustabilizowana i znormalizowana, nie mówią już o „zastrzyku dolarowym”. Czy Fundacja nie wie o aresztowaniach, procesach etc. w ostatnim okresie? (Red.)

KRONIKA SZWEDZKA

Pomoc szwedzka dla Polski, zarówno indywidualna jak i ze strony organizacji, trwa. Według *Partille Nyheter* z 22 grudnia 1983 r. mieszkańcy miasteczka Partille koło Göteborga zebrali większy transport odzieży, butów, leków i zakupili żywność wartości 15.000 koron. Grupa 16 Szwedów z tej miejscowości zawiązała dary do Piotrkowa Trybunalskiego. W Domu Jezuitów chór szwedzkich dziewcząt zaprezentował tradycyjną szwedzką procesję św. Łucji. ■ Centrala szwedzkich Związków Zawodowych LO przeznaczyła w roku 1983 250.000 koron na pomoc „Solidarności” w Polsce. LO udziela poza tym pomocy humanitarnej rodzinom więźniów szwedzkich Związków korespondują z rodzinami polskimi, którym udzielają pomocy indywidualnej. Dzieje się to przy udziale organizacji „A i C” (Centrum Ruchu Robotniczego do Spraw Międzynarodowych). „A i C” opublikowało w swoim biuletynie apel o zbiórkę pieniędzy dla „Solidarności”. Związki Zawodowe przyznały także 75.000 koron na pomoc niezależnej oświacie w Polsce. Przewodniczący szwedzkiego Związku Młodzieży Socjaldemokratycznej, Jan Nygren, po niedawnej wizycie w Polsce, gdzie m.in. widział się z ukrywającym się Janem Lityńskim, udzielił wywiadu prasie szwedzkiej, wzywając rząd Szwecji do aktywniejszego poparcia polskiej opozycji. Domagał się od rządu szwedzkiego, by zwrócił się do rządu PRL o zwolnienie więźniów politycznych. Kilka pism przedrukowało tę odezwę i opinię Lityńskiego o sytuacji w Polsce. Organizacja „A i C” ogłosiła książeczkę — „Breven fran Polen” (Listy z Polski). Listy te w prosty i wzruszający sposób oddają ciężki klimat panujący w Polsce, biedę autorów i wdzięczność dla Szwedów. ■ Przed kościołem katolickim w Göteborgu zebrano 8 i 15 stycznia 1.720 koron na kaucję (85.000) dla zwolnienia z więzienia w Szczecinie 2 młodych Szwedów, którzy z pobudek ideowych przewozili do Polski powielacze, farby, papier i książki. Biorąc pod uwagę, że w Göteborgu jest przynajmniej 5.000 Polaków, jest to suma znikoma. Do wykupienia tych młodych ludzi przyczynili się głównie Szwedzi. Młodzi „szmuglerzy” wrócili do domu akurat na Nowy Rok. O rezultacie zbiórki poinformował polskie społeczeństwo książd Stanisław Matuła. Książd Matuła przybył do Sztokholmu stosunkowo niedawno z Polski i już się wykazał energiczną działalnością wśród miejscowej Polonii, która pomimo swej liczebności pozbawiona była stałego polskiego duszpasterstwa. Katolicka kuria nie bardzo popiera duszpasterstwo narodowe, zwłaszcza wśród młodzieży, pragnąc wbrew oficjalnej intencji władz szwedzkich połączyć katolików w jedną beznarodową masę szwedzkich katolików. ■ Uratowanie życia 6-letniego pacjenta z Polski, Piotrusia Kacprzaka, dzięki ryzykownej operacji przeprowadzonej w lutym przez profesora Sven-Erika Bergentza w klinice chirurgicznej w Malmö, odbiło się żywym echem w *mass-mediach*. Profesor dokonał udanej transplantacji nerki matki Piotrusia. W Szwecji dokonuje się około 200 transplantacji nerek rocznie, ale tego rodzaju zabieg u dzieci jest niezwykle trudny i rzadki. Na początku lata bież. roku przybędzie tu na szwedzkie zaproszenie kilku lekarzy-chirurgów z Polski w celu odbycia w Malmö u profesora Bergentza praktyki transplantacji nerek. ■ Po wielkim powodzeniu sztuki Sławomira Mrożka „Ambasador” Królewski Teatr Dramatyczny wystawi 17 marca „Dzień letni” Mrożka. Będzie to prapre-

miera światowa. W *Dagens Nyheter* ukazały się 29 stycznia trzy nowele Mrożka: „Rewolucja”, „Artysta” i „Czy powrót do domu?”. Nowele te, dotąd niepublikowane, ukazały się w wydawnictwie Adama Bromberga w nowym zbiorze Sławomira Mrożka pt. „Beska Humoresker” („Gorzkie humoreski”) w tłumaczeniu Martina von Zweigbergka. ■ Niezwykłym powodzeniem i nader pochlebną krytyką cieszyły się występy Teatru „Cricot 2” Tadeusza Kantora, który w dniach od 31 stycznia do 4 lutego wystawiał w Sztokholmie „Wielopole, Wielopole”. ■ Staraniem seminarium historii Polski Uniwersytetu w Uppsali obradowało w dniu 8 lutego całonocne sympozjum poświęcone „Sierpniowi 1980 roku”. W toku sympozjum wygłoszono referaty o politycznych strukturach w przeddzień sierpnia 1980 roku (Dorota Tubielewicz i Anna Wiśniewska), o stosunkach państwo - społeczeństwo w okresie jawnej działalności „Solidarności” (Adam Ringer), o źródłach załamania gospodarczego (Józef Lewandowski) oraz o zbrojeniowych ciężarach państw Układu Warszawskiego (Adolf Pamucki). Sympozjum spotkało się z żywym oddźwiękiem wśród szwedzkich naukowców, publicystów i polityków. ■ Nakładem spółki wydawniczej „Ordfront” i dziennika *Dagens Nyheter* ukazała się książka „Polens frihet — och var” („Wolność Polski i nasza”), zawierająca przekłady na język szwedzki wszystkich referatów wygłoszonych w lutym ub. roku na sympozjum w Sztokholmie w związku z przyznaniem Lechowi Wałęsie przez wielkie dzienniki *Dagens Nyheter* (Sztokholm) i *Politiken* (Kopenhaga) Nagrody Wolności 1983 roku. Cykl przemówień otwiera słowo wstępne Arne Ruth (naczelnego redaktora działu kultury w *Dagens Nyheter*) pt. „Polska a Europa”. ■ Thomas von Vegesack, przewodniczący szwedzkiego PEN-Clubu, zamieścił 22 lutego w szwedzkiej prasie odezwę nawołującą pisarzy szwedzkich i ludzi o przekonaniach demokratycznych do zwołania imprezy PRL-owskiego Instytutu Kultury w Sztokholmie, który zaprosił do Szwecji dwóch przedstawicieli nowego Związku Literatów Polski, Michała Rusinka i Waława Sadkowskiego. Von Vegesack przypomnia, że Międzynarodowy PEN-Club na kongresie w Caracas uchwalił, by nie uznawać nowego związku a jednocześnie stwierdził, że dotychczasowy Polski PEN-Club jest tylko „uspiony”, nie uznając tym samym jego rozwiązania. ■ Kongres Polonii w Szwecji zorganizował w okresie 25 luty - 7 marzec spotkania z Mirosławem Chojeckim w Sztokholmie, Göteborgu, Lundzie, Västeras, Uppsali i innych miastach oraz w obozach dla uchodźców we Flenie i Oxelösund. ■ Według *Nowin* (wielojęzyczny tygodnik wydawany przez fundację państwową dla emigrantów) Szwecja przyjęła w 1983 roku 27.500 emigrantów, czyli o 3.100 mniej niż w roku poprzednim. Z Polski przybyło w tymże roku 1.557 osób (w roku 1982 było ich 4.065). Przyjmowanie polskich emigrantów jest obecnie utrudnione. ■ Powstałe w ub. roku szwedzko-polskie Centrum Kultury zorganizowało w dniu 8 marca w lokalu Szwedzkiego Związku Literatów wieczór poświęcony niezależnym wydawnictwom w Polsce wychodzącym poza zasięgiem cenzury. Przemawiali Mirosław Chojecki oraz Karl Erik Svartsberg, poseł stronnictwa socjaldemokratycznego do Szwedzkiego Parlamentu, który był niedawno w Polsce i podzielił się ze słuchaczami swoimi wrażeniami. W związku otwarto także wystawę polskich podziemnych wydawnictw i prasy. Polsko-Szwedzkie Centrum Kultury postawiło sobie za zadanie popieranie kontaktów między kulturą polską a szwedzką. Na czele Centrum stanęli przedstawiciele miejscowego szwedzkiego i polskiego świata naukowo-literackiego: profesor Sten Johansson, docenci: Lars Kleberg i Aleksander Orłowski, Maria Borowska, Margareta Petré, Agneta Plejel i inni. ■ Najpoczytniejszy poranny szwedzki dziennik, *Dagens Nyheter*, ogłosił dłuższy artykuł poświęcony dawnej podziemnej działalności wydawniczej Mirosława Chojeckiego w Polsce i obecnej w Paryżu oraz Jerzemu Giedroycowi pod znamienym tytułem: „Oni podtrzymują

temperaturę w polskim piecu". Isaksson, wybitny znawca spraw polskich, pisze: „Giedroyc konsekwentnie odżegnywał się od szowinizmu, nienawiści do wszystkiego co rosyjskie i antysemityzmu. Wolna Polska jego marzeń to kraj, w którym odrodzą się wartości humanistyczne i poprawią warunki ekonomiczne i społeczne”. „Młody Polak na emigracji mówił mi, że Giedroyc uratował polską kulturę. Może należy raczej powiedzieć, że stworzył alternatywę do polskiej kultury kontrolowanej przez państwo”. ■ 2 marca 1984 roku członek duńskiego parlamentu Bjorn Elmquist wysłał do ambasady polskiej w Kopenhadze list protestacyjny w sprawie odroczenia wyborów do Sejmu. List podpisało 93 członków duńskiego parlamentu, reprezentujących wszystkie partie polityczne. Z inicjatywą zbierania podpisów wystąpił kopenhaski komitet „Stot Solidarność” (Popieraj Solidarność).

Norbert ŻABA

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Tel. 326-04-42 — Telex 250302

Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIAŻKI POLSKIE
wydania zachodnie i krajowe

POLONICA FRANCUSKIE
w wielkim wyborze

KSIAŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE
ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Z ostatniej chwili

Korespondencja z Waszyngtonu

INERCJA CZY COŚ GORSZEGO?

Latem i wczesną jesienią ub. roku docierać zaczęły dość szeroką falą głosy z kraju skarżące się na nagłe pogorszenie odbioru polskich programów Radia Wolna Europa. Osoby przybywające z Polski twierdziły, że znaczna część słuchaczy przestawia się na Głos Ameryki, który jest o wiele lepiej słyszalny. Polski zespół RWE zaczął szukać przyczyn i dokonał nieoczekiwanego odkrycia. Okazało się, że wydział techniczny radia w listopadzie 1982 roku a więc w tym czasie, gdy Solidarność planowała akcje strajków protestacyjnych i demonstracji — zmniejszył drastycznie siłę anten nadających do Polski w porównaniu z poprzednim miesiącem. Ograniczenie mocy dało się szczególnie dotkliwie odczuć w szczytowym czasie słuchania między 8-mą a 9-tą wieczorem.

W rok później, we wrześniu 1983 roku siła nadajników została po raz drugi poważnie zmniejszona w porównaniu z tym samym miesiącem poprzedniego roku. W rezultacie moc anten nadających do Rumunii i Węgier, gdzie programy w ogóle nie są zagłuszone była znacznie większa, zwłaszcza w przeliczeniu na ilość mieszkańców i obszar kraju, aniżeli siła nadajników przydzielona polskiej sekcji. Pracownicy polscy wystąpili z otwartym protestem do dyrekcji amerykańskiej i ogłosili go w prasie. Protest odniósł skutek i w następnym miesiącu sytuacja uległa radykalnej poprawie. Dotychczas jednak nie wyjaśniono, jakimi motywami kierowali się technicy amerykańscy usiłując osłabić programy nadawane do kraju, który przeżywa poważny kryzys wewnętrzny. Nie mówiąc już o tym, że Polska reprezentuje blisko 40 % ludności całego audytorium RWE w Europie wschodniej.

Sprawa nie kończy się jednak na tym. Ze wszystkich radiostacji zachodnich Radio Wolna Europa i Radio Swoboda mają najbardziej przestarzały sprzęt techniczny. Niektóre anteny zostały odziedziczone po Rzeszy hitlerowskiej i datują się z czasów Goebbelsa. RWE/RL jest jedyną większą radiostacją nadającą do Europy wschodniej i Rosji, która nie ma ani jednego nadajnika o mocy 500 kW (nawet Watykan ma anteny 500 kW). Najsilniejsze anteny RWE/RL mają moc 250 kW.

Ronald Reagan w czasie kampanii wyborczej zobowiązał się do radykalnego wzmocnienia i technicznej modernizacji obu radiostacji amerykańskich. Obietnice te zostały kilkakrotnie powtórzone przez Prezydenta w ciągu ubiegłych trzech lat. Z tej wyjątkowej koniunktury skorzystał w pełni Głos Ameryki, który znalazł się pod energicznym kierownictwem młodego redaktora z *Reader's Digest*, K. Tomlisona. Nowy dyrektor zażądał budżetu podwyższonego do 155 mln dolarów oraz dodatkowe 30 mln na nowe nadajniki na rok 1984 i sumę tę otrzymał. Obecnie Głos Ameryki przedstawił budżet w wysokości 173 mln dolarów na koszt programów w roku 1985 i dodatkowe 99 mln na modernizację i nowe nadajniki. W ciągu ostatnich 4 lat Głos Ameryki podwoił swój budżet. VOA ma obecnie 111 transponderów z czego 6 o mocy 500 kW. Obecnie podpisana została umowa z Marokiem, gdzie w ciągu najbliższych dwóch lat ma być zbudowanych 10 nadajników 500 kW wysyłających programy do Europy wschodniej. W roku 1983 VOA uzyskała od Kongresu aprobatę zwiększenia personelu technicznego do 169 osób a w dn. 1 marca bież. roku zaangażowano dodatkowo 65 wysoko wykwalifikowanych ekspertów, którzy pracują na pełnych obrotach badając metody skutecznego pokonywania zagłuszeń. Oczekuje się, że w roku 1986/1987 Głos Ameryki stanie się potęgą nie do pokonania przez zagłuszkarki w orbicie sowieckiej.

W tym samym czasie RWE ograniczyło swe żądania budżetowe do 105 mln dolarów w roku 1984 i do 100 mln w roku 1985 (z uwagi na wzrost kursu dolara oznacza to, że efektywny budżet pozostaje na niezmiennym poziomie). Dyrekcja RWE nie uczyniła absolutnie nic dla wzmocnienia siły sygnału (ograniczono się do połączenia 8 starych nadajników o mocy 100 kW w cztery nadajniki o sile 250 kW). Jedynie dla Radia Swoboda buduje się dwa czy trzy dodatkowe nadajniki przeznaczone dla wschodniej Rosji a więc dla rejonu o najmniejszym zaludnieniu. Byłemu wysokiemu urzędnikowi Dept. Stanu, który odwiedził Monachium w końcu 1983 roku oświadczone, że Radio jest zupełnie zadowolone z obecnego stanu posiadania (*We are perfectly happy with what we have now*). Równocześnie jednak uprzedzono Polaków, że muszą liczyć się z dalszym pogorszeniem się odbioru w ciągu najbliższych kilku lat.

Ten dziwny kontrast między polityką Głosu Ameryki i RWE/RL wywołał protesty Polonii i wszystkich innych grup etnicznych z Europy wschodniej skierowane do Białego Domu, Senatorów i Kongresmanów. Prezes Kongresu Polonii A. Mazewski w czasie rozmowy z dyrektorem Państwowej Rady Bezpieczeństwa USA B. McFarlane zażądał przeprowadzenia weryfikacji warunków odbioru w Polsce niezależnie od ocen i sprawozdań wydziału technicznego RWE oraz dochodzeń mających na celu wyjaśnienie przesłanek, jakimi kierują się czynniki odpowiedzialne za techniczną stronę programów. Nie wiadomo, czy obecny stan rzeczy jest wynikiem inercji biurokratycznej i braku kompetencji, czy też w grę wchodzi inne motywy.

Listy do Redakcji

Fiejó, Portugalia, 18 stycznia 1984.

Drogi Panie Redaktorze,

Wypowiedź p. Witolda Pileckiego ogłoszona w nrze 1/2, 1984 *Kultury* pt. „O propozycji Hanny Świderskiej” nasuwa szereg zastrzeżeń. Autor pochodzi do trudnego problemu gromadzenia i katalogowania wydawnictw niezależnych, jak teoretyk i perfekcjonista, traktujący przy tym z dużą dozą pewności siebie a nawet pogardą zarówno autorkę cennego artykułu o Bibliotece Polskiej w Londynie, jak i działalność bibliotek emigracyjnych *en bloc*. Moja wieloletnia praktyka wykazuje, że problem jest bardziej skomplikowany niż się p. Pileckiemu wydaje.

Zagadnienie gromadzenia wydawnictw nielegalnych, tajnych, podziemnych, „poza cenzurą” itp. ma za sobą ponad stuletnią tradycję. W okresie Powstania Styczniowego ukazywało się kilkadziesiąt czasopism w małym promieniu jawnych, a bez wyjątku tępionych przez Rosjan. Parokrotnie podejmowano próby ich rejestracji w oparciu o unikatowe często egzemplarze rozproszone po bibliotekach krajowych, rosyjskich aktach sądowych, zbiorach prywatnych, Rapperswilu, Biblioteki Polskiej w Paryżu itd. Dla historyków powstania ważne było nie tylko stwierdzenie w bibliografiach, że pismo istniało i ile ukazało się numerów, ale i umiejscowienie egzemplarzy. Zilustruje to doświadczeniami z londyńskiej Wystawy Historycznej w stulecie powstania, opartej o zbiory ks. Józefa Jarzębowskiego. Ogół znajdujących się w tym zbiorze pism wyliczono i opisano w wydanym przez Bibliotekę Polską w Londynie katalogu, na którego podstawie co najmniej dwu historyków krajowych dotarło do nieosiągalnych w Kraju unikatowych egzemplarzy ważnych czasopism. Opublikowanie katalogu ilustrującego stan posiadania (i nie ukrywającego braków) okazało się w pełni celowe.

Przykład drugi: ta sama Biblioteka Polska w Londynie zgromadziła i zinwentaryzowała kolekcję prasy podziemnej z okresu okupacji. Egzemplarzy oryginalnych w niej niewiele — są to w większości fotografie sporządzone w czasie wojny na podstawie mikrofilmów i pojedynczych egzemplarzy przekazywanych z Kraju do Londynu za pośrednictwem kurierów — i jak się dało. Gdy w Kraju ukazała się bibliografia prasy podziemnej, dr Józef Garliński w oparciu o zbiory londyńskie opracował suplement, wyliczający luźne numery i tytuły pism nie dochowanych w Kraju. Umożliwia on uzupełnianie za pomocą xeroxów luk w kolekcjach krajowych. Dodam (a ważne jest to i dziś), że w Kraju przykładano wiele starań do tego, by prasa podziemna docierała na Zachód i przekazywała obraz sytuacji „poza cenzurą”.

Przykład trzeci: w roku 1964 Biblioteka Polska w Londynie opublikowała w formie powielanej „Katalog czasopism polskich i dotyczących Polski wydanych poza Polską po dniu 1. IX. 1939”. Obejmował on 865 tytułów i w przeciwieństwie do bibliografii Jana Kowalika obrazował stan posiadania i wykazywał luki. Katalog ten wywołał istną lawinę darów: posiadacze rzadkich pism z okresu wojny sięgnęli do walizek, kufrów, szuflad, pudeł w garażach i na strychach i przekazali do zbiorów Biblioteki taką porcję uzupełnień, że drugie wydanie z roku 1971 objęło 1.064 tytuły i uzupełnienia takich specjalów, jak *Głos z minaretu*, *Polak w Indiach*, bejruckie *Przełotem* itp. Z pełnym poczuciem odpowiedzialności stwierdzam, że celowe okazało się zarówno pierwsze jak i drugie — także nie definitywne — wydanie. Są to *elementa ad fontium editiones*, surowiec bibliograficzny, którego anormalności winien jest „czas niepokoju”, w którym czasopisma się ukazywały (ują).

Dlatego zgłaszam *veto* przeciw wywodom p. Pileckiego i śpieszę z odsieczą Hannie Świdorskiej. Mogę w oparciu o sprawozdanie Biblioteki Polskiej w Londynie sprecyzować, że kolekcja „poza cenzurą” liczyła w marcu 1983, ok. 560 tytułów czasopism (ponad 3.000 egzemplarzy oryginalnych), 350 książek i broszur i, jak określa to dr Z. Jagodziński, kierownik Biblioteki Polskiej, „obszerny dział dokumentacji ruchów opozycyjnych (opozycji demokratycznej), wydawnictw pozacenzuralnych, ośrodków niezależnych i Solidarności”. Jest to jeden z istniejących w wolnym świecie, w Europie i za Oceanem, zbiorów uporządkowanych, pokazywanych na wystawach, udostępnianych publicystom, prelegentom radiowym itp. Tak lekko potraktowana przez p. Pileckiego dr Hanna Świdorska zgromadziła — i to jakim wysiłkiem i jakimi drogami — wartościową kolekcję w British Library.

Nie wątpię — i to nie bez podstaw — że w Kraju istnieją i, niestety, często „ujawniają się” przy rewizjach i aresztowaniach kolekcje „druków antysocjalistycznych”. Niejedną o nich wzmiankę podają dzienniki i pamiętniki internowanych i więźniów politycznych. Nie rejestruje ich Instytut Bibliograficzny Biblioteki Narodowej w Warszawie, nie znajdziemy ich wśród egzemplarzy obowiązkowych — już chyba raczej w archiwach Bezpieki.

Każdy, kto styka się z wydawnictwami podziemnymi wie, jak z konieczności szwankuje ich szata graficzna, jak często całe słowa, zdania i strony nie dają się odczytać w dostępnym nam egzemplarzu. To jeszcze jeden powód, by *tworzyć jak najwięcej kolekcji* i wiedzieć, gdzie szukać lepiej czytelnych dubletów.

Dodam, o czym *Kultura* już pisała, że w październiku 1982 na Uniwersytecie Virgina w USA odbyła się konferencja międzynarodowa, której celem — jak określa to jej uczestnik londyński, wspomniany już dr Jagodziński — „było omówienie problemu przechowania, wymiany dostępu, lokalizacji i opracowania bibliograficznego tych materiałów”. Daje to pojęcie o wadze problemu i zrozumieniu znaczenia wymiany informacji — w trosce o naukową dokumentację okresu, pozbawionego oparcia o normalne archiwa, egzemplarze obowiązkowe itp. — w Kraju.

Dodam, że prowadzone w tym zakresie prace nacechowane są szczególną troską, jeśli nie pietyzmem bibliotekarzy w wolnym świecie, a polskich emigracyjnych w szczególności. Pan Pilecki kwituje te starania pogardliwymi uwagami. Czy słusznie?

Łączę serdeczne pozdrowienia

dr Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA
w latach 1942-1971 kierowniczka
Biblioteki Polskiej w Londynie

Paryż, 12 marca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie tych paru słów w odpowiedzi na list pana Zenona Kałuży (*Kultura* nr 3/438), którego znam i szanuję jako historyka i uczonego mediewistę.

W liście swym p. Kałuża z jednej strony pisze o niedoszłym projekcie wydania rocznika *Annales*, z drugiej strony stawia pytania dotyczące Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Odpowiem jedynie w sprawie Biblioteki, rocznik *Annales* nie leżał w moich kompetencjach i nie jestem powołany, by głos w tej sprawie zabierać.

Pan Kałuża stawia cztery pytania. Po pierwsze: dlaczego Biblioteka woli przyjmować większą ilość osób na pół etatu zamiast zatrudniać paru dobrych bibliotekarzy. Biblioteka nie *woli*, ale niestety *musi* zatrudniać osoby (w większości z wyższym wykształceniem), które zgadzają się na płacę,

na jaką Bibliotekę stać, co jest trochę wyżej niż SMIG (najniższa płaca legalnie dopuszczalna we Francji). Niektóre osoby pracujące na pół etatu dorabiają sobie gdzie indziej, inne mają takie warunki rodzinne, które im na to pozwalają, wreszcie niektórzy przyjęli to bardzo skromne wynagrodzenie z najróżniejszych osobistych pobudek.

Na miejsce zmarłej kierowniczkii Biblioteki, Wandy Borkowskiej, niestety mimo poszukiwań godnego zastępcy nie udało się dotychczas znaleźć.

Na drugie pytanie, a mianowicie jak się przedstawia polityka zakupów, odpowiedź jest prosta: z bardzo małymi wyjątkami, Biblioteka z powodów finansowych książek nie zakupuje.

Natomiast bardzo wielu autorów i wydawców z Francji z Instytutem Literackim na czele, z Anglii czy ze Stanów Zjednoczonych ofiarowuje Bibliotece swoje publikacje czy dzieła. Z Polski Biblioteka dostaje zarówno wydawnictwa oficjalne, książki i czasopisma, jak i te, wychodzące poza cenzurą. W pewnych wypadkach Biblioteka zwraca się do autora z prośbą o dar i nigdy prawie nie spotyka się z odmową.

Innym źródłem wzbogacania się są księgozbiory prywatne, czasami bardzo cenne, otrzymywane w darze lub zapisywane w spadku.

Trzecie pytanie pana Kałuży dotyczy sprawy budżetu Biblioteki i Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Budżetem niemal w całości zarządza dyrektor Biblioteki; oczywiście pod kontrolą Rady jak również przedstawiciela Fundacji Lanckorońskich, bez pomocy której Biblioteka w ogóle nie mogłaby żyć i funkcjonować.

Chciałbym wyliczyć w skrócie wydatki Biblioteki Polskiej. Największa ich część idzie na utrzymanie budynku, który jest stary i w bardzo złym stanie, dalej płace personelu, ubezpieczenie budynku i zbiorów, ogrzewanie, elektryczność, gaz i woda, konserwacja obrazów, mebli i książek, koszta kancelaryjne itp. Wydatki Towarzystwa pochłaniają bardzo małą część budżetu.

Ostatnie pytanie dotyczy czytelnictwa. W ciągu ostatnich pięciu lat średnio rocznie 6.500 czytelników korzystało z blisko 20.000 tomów, nie licząc dzienników i czasopism.

Pan Kałuża ubolewa nad tym, że „społeczeństwo polskie, zainteresowane tą najczciodsza instytucją emigracyjną, nie jest dosyć o niej poinformowane”, że się tych problemów publicznie nie przedstawia i że o tych sprawach można się dowiedzieć tylko pokątnie. Chciałbym na zakończenie dodać, że pan Kałuża, który jest przecież członkiem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, o ile przychodzi na jego Walne Zebrania, gdzie są odczytywane szczegółowe sprawozdania z działalności Biblioteki i TH-L oraz przedstawiany jest budżet, znalazłby odpowiedź na pytania, które w swoim liście postawił. Poza tym członkowie Rady odpowiadają na pytania zadawane przez obecnych na sali.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Józef HANDELSMAN
Dyrektor Biblioteki Polskiej
w Paryżu

Berlin, 20 lutego 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do sprostowania w „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 1/436-2/437, str. 151) wkraść się przykry błąd drukarski, który niestety wymaga kolejnego sprostowania. Informacji o tym, że w demonstracji końcowej Marszu Pokoju o Wyzwolenie Narodów zabrał głos A. Schroeder ze Stowarzyszenia Niemiecko-Węgierskiego (rzekomo były płk SS) *Pogląd* nigdy nie podał, co suponuje *Kultura*, podając nasze czasopismo jako źródło tej informacji — (*Pogląd* nr 16, Berlin zachodni).

Odsyłacz ten powinien znaleźć się na tej samej stronie o kilkadziesiąt wierszy wyżej, tj. w 12 wierszu po cytacie z naszego czasopisma mówiącym o niedociągnięciach w/w Marszu Pokoju. Rozumiem, że umieszczenie odsyłacza w niewłaściwym miejscu było niezamierzone. Wymaga jednak sprostowania, o co usilnie proszę. No cóż, chochlik drukarski płała również figle *Kulturze*.

Łączę najgłębsze wyrazy szacunku

Edward KLIMCZAK
(Wydawca *Poglądu*)

Rzym, 2 lutego 1984.

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze,

Zdziwi się Pan niewątpliwie, otrzymując ode mnie list.

Nie udzielam się prawie już nigdzie — mam przecież lat 85! Poświęcam pozostały mi czas i siły tekstem źródłowym do historii Rzeczypospolitej XVI wieku i ich wydaniu drukiem. Na to co się wokół mnie dzieje, patrzę już tylko jako widz. W polemikach udziału dotąd nie brałam, potępięcych swarów nienawidzę.

Obecnie zaś uważałabym, jako historyk, za swój obowiązek odpowiedzieć na łamach *Kultury* na napaść pana Dominika Morawskiego, skierowaną przeciwko profesorowi Gierowskiemu, rektorowi U.J., w zeszycie grudniowym. Uniemożliwia mi to niestety fakt, że nie byłabym uważana za bezstronną, skoro tenże Rektor nadał mi doktorat h.c. parę miesięcy temu. Musiałam więc zacisnąć zęby i siedzieć cicho.

Od tego czasu miałam trzy z rzędu wizyty profesorów z Kraju, humanistów. Wszyscy trzej chcieli ode mnie szczegółów o odczytach profesora Gierowskiego i koniecznie chcieli wiedzieć, do czego zmierza w tym niezbyt wybrednym ataku *Kultura*. Powiedziałam z miejsca, że na drugie pytanie odpowiedzi nie mam — bo nie wiem. Na obu odczytach byłam i wiele się nauczyłam. Szczególnie dużo mi dała wnikliwa, krytyczna analiza złożonej osobowości Jana III, ale słuchając z góry wiedziałam, że nasza publiczność boleśnie odczuje brak tryumfalistycznej apoteozy, bez której o Sobieskim myśleć nie umie — i to jeszcze w rocznicę wiktorii wiedeńskiej! Włoski odczyt, wygłoszony niezbyt dobrą włoszczyzną (ale kto dziś w Kraju zna dobrze języki?), był może dla cudzoziemców trochę za trudny, ale przede wszystkim znowu — o zgrozo — zabrakło mu patosu.

Czytając co o tych odczytach pisze Dominik Morawski ma się mimo woli wrażenie, że piszący po prostu nie bardzo wie, o co chodziło, skoro pisze o „poziomie gimnazjalnym”. Takie gimnazjum byłoby humanistycznym rajem, a wiemy, że tego na świecie nie ma. Trzej moi rozmówcy, wysłuchawszy mnie, wyleli kielich (a raczej wiadro) swojej goryczy i rozżalenia — na mnie. Ponieważ wszyscy mówili to samo, streszczam: Nawet gdyby, co u Gierowskiego nie jest możliwe, odczyty nie były na poziomie, nie można napadać na czołowego przedstawiciela nauki polskiej, na Rektora z wyboru, który z tak wielką godnością ją reprezentuje!

Nikt z nas nie posądzal *Kultury* o postawę tak antypatriotyczną. Wreszcie postanowiłam napisać do Pana prywatny list, by Pan, który jest mózgiem *Kultury*, był osobiście poinformowany o tej sprawie i o jej odgłosach.

Bardzo to wszystko jest bolesne i nieodpowiedzialne i jakże niepotrzebne.

Łączę wyrazy bardzo wysokiego szacunku

K. LANCKORŃSKA

P.S. W odpowiedzi na moje zapytanie p. Karolina Lanckorońska listem z 10 marca br. wyraziła zgodę na opublikowanie swego listu w *Kulturze* (Redaktor).

Toronto, 27 lutego 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu ostatniego numeru *Kultury* (styczeń-luty 1984), który jako całość jest doskonały, szczególnie zainteresował mnie artykuł pani Stanisławy Bogdańskiej pt. „Radio Wolna Europa”.

Nadmieniam, że mieszkając w Kanadzie, jestem stałym i wiernym słuchaczem RWE i uważam, że placówka ta spełnia niesamowicie ważną rolę w szczególności trudnych czasach naszej ojczyzny, lecz równocześnie z pełnym uznaniem jestem dla krytyki p. Bogdańskiej. Uważam, że konstruktywna krytyka tej pani powinna być brana pod uwagę przez kierownictwo sekcji polskiej RWE, które powinno czynić starania stałego podnoszenia poziomu programów, gdyż w tej chwili prawie że jedynym źródłem utrzymania nadziei, że Polska jeszcze nie zginęła jest RWE. Szczególnie przez to że jest to program całodniowy, a więc łatwiej dostępny dla wszystkich grup społecznych.

Bardzo będę zobowiązany, jeśli mój list będzie mógł się ukazać na łamach *Kultury*, bo może będzie dodatkowym czynnikiem rewizji programów RWE.

Oddany

Jerzy ŁAPCZYŃSKI

Stockholm, 1 marca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

Od dwóch lat dyskutuje się w kręgach polskiej emigracji kontrowersyjne wypowiedzi i polityczne poglądy aktualnego prymasa Polski. Hipotezy odnośnie nadmierne ugodowego stanowiska oraz uległego, niemal służebnego podporządkowania się kardynała Józefa Glempa żądaniom reżymu PRL, przy jednocześnie jawnie krytycznej postawie wobec podziemnej Solidarności nie dostarczają wyjaśnienia tego fenomenu. Coraz częściej roważa się ewentualność kształtowania postawy kardynała przez Jana Pawła II. Jest to niepokojący i trudny do rozstrzygnięcia dylemat. Otwarte dystansowanie się Jana Pawła II od osoby Prymasa podczas drugiej wizyty Ojca Świętego w Polsce oraz Jego powszechnie znane stanowisko w sprawach polskich i nieskazitelny patriotyzm, nie nasuwają wątpliwości, po czyżej jest stronie. Niemniej częste wizyty Prymasa u Jana Pawła II mogą istotnie stwarzać wrażenie bieżących konsultacji i wspólnego uzgadniania postępowania Prymasa w kwestiach polskich. Wiadomo także, iż główne, dalekosiężne założenia polityki Watykanu zdają się jedynie w znikomym stopniu podlegać wpływom poszczególnych papieży. Polityka ta odznacza się stabilnością i znaczną niezależnością od poglądów kolejnych następców na Stolicy Piotrowej. Świadczy o tym między innymi konsekwentne utrzymywanie się od kilku stuleci znanej *idées fixe*, obciążającej wschodnią politykę Watykanu. Odnosi się to również do pontyfikatu Jana Pawła II, mimo że wspomniana idea nie pokrywa się z narodowymi interesami Polski. Ponadto omawiany wariant polityki wschodniej Watykanu wykazuje daleko idące, choć niezamierzone podobieństwo z postulatami i celami endeeji.

Działalność kardynała Glempa jest zbieżna z od dawna w Watykanie obowiązującą linią polityki wschodniej. Wynika to z przekonania kardynała o priorytecie misji Kościoła rzymskiego w stosunku do prawosławia. Odsuwa to na dalszy plan aspiracje społeczeństw i Kościołów Europy środkowej, w tym Polski. Ergo kardynał Glempe po prostu realizuje wschodnią strategię Watykanu. Wyjaśnia to lepiej aniżeli teza o endeckiej orientacji

niezgodną z oczekiwaniami polskiego społeczeństwa działalność kardynała. Poglądy i osobiste predyspozycje prymasa stanowią dodatkowy aspekt tego działania. Krótko mówiąc, racje kurii rzymskiej biorą górę nad kontynuacją polskiej linii prymasowskiej.

Z drugiej zaś strony wydaje się mało prawdopodobne, aby prymas nie posiadał zgody, czy chociażby cichego przyzwolenia Jana Pawła II dla swej specyficznej działalności politycznej w kraju. Kwestią otwartą pozostaje, czy owa akceptacja wynika z obawy Jana Pawła II przed nową tragedią narodową, czy odgrywają tu rolę watykańskie racje stanu. Rozterka Jana Pawła II może wiązać się z potencjalną groźbą krwawej pacyfikacji Polski przez Sowiety, przy jednoczesnym braku złudzeń co do pomocy Zachodu, uznającego jałtańsko-helsiński podział Europy. Możliwe jest również, że Papież Polaków wstępuje bezpowrotnie na drogę przemiany w Papieża Kościoła powszechnego, z wszystkim tego stanu dla siebie i innych konsekwencjami.

Niezależnie od motywów, przyzwolenie udzielane prymasowi oznacza poparcie linii działania osłabiającej opozycję i wyciszającej nastroje buntu wobec reżymu PRL. Jednocześnie taktyka taka zaostrza konflikt między społeczeństwem i osobą prymasa, pogłębia rozbieżności i polaryzację postaw politycznych kleru polskiego, a nawet niesie groźbę rozdzwiku narodu z Kościołem.

Powyższe uwagi wymagają dalszej, być może otwartej dyskusji.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Zygmunt STANKIEWICZ

Johannesburg 11 lutego 1984.

Szanowny Panie,

W styczniowym numerze *Kultury* ukazało się „Oświadczenie” podpisane przez p. W. Ledóchowskiego. Tyczy ono nie wymienionego z nazwiska „rodaka”, który za „występowanie przeciwko nadużyciom władz został za denuncjowany do tajnej policji”. W związku z tym pragniemy wyjaśnić co następuje:

1. W Południowej Afryce występowanie przeciwko ewentualnym nadużyciom władz jest legalne. Zajmują się tym prasa, partie opozycyjne, osoby prywatne oraz różne związki i stowarzyszenia. A zatem „denuncjowanie rodaka” za tego typu działalność nie miałyby sensu.

2. „Występowanie przeciwko nadużyciom władz” z natury rzeczy jest faktem publicznym i w każdym razie musiałyby być znane krytykowanym władzom.

3. Jeżeli owym „rodakiem” jest sam autor „Oświadczenia” (?), to musimy tu stwierdzić, że jego „wystąpienia przeciwko nadużyciom władz” są w Południowej Afryce zupełnie nieznanne. Nie widzieliśmy jego podpisu pod petycjami do rządu, nie kroczył w pochodach, nie zaślaniał nikogo własną pierśią. Podobnie zresztą jak nie przyłożył ręki do akcji na rzecz „Solidarności”. Od dziesiątków lat p. Ledóchowski cieszy się wszystkimi należnymi mu przywilejami i to zarówno w Południowej Afryce jak i w Polsce, którą regularnie odwiedza.

Obawiamy się więc, że stoimy tu wobec przypadku pozornego męczeństwa za urojoną działalność.

Faktem jest natomiast, że w Południowej Afryce p. Ledóchowski otoczony jest raczej niechęcią. Nie ma to jednak nic wspólnego ze sprawą murzyńską, a wszystko ze sprawą polską. Gorliwość z jaką napada na kraje

demokratyczne a wybiela reżymy komunistyczne i systemy marksistowskie zostawia u słuchaczy wrażenie przykrości i zażenowania. Jego „Oświadczenie” pogłębi te uczucia.

Łączy wyrazy szacunku

E. de VIRION

Przewodniczący
Zjednoczenia Polskiego
w Południowej Afryce

Hautmont, 14 marca 1984.

Szanowny Panie Prezesie, Redaktorze,

Proszę Pana o łaskawe przekazanie słów sympatii Panu Prezesowi Żeleńskiemu z Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Paryżu z powodu nieprzytomnych i oszczerczych ataków pisarczyka emigracyjnego p. T. Borowicza na Atamana Ukraińskiego i Sprzymierzeńca Polski Semena Petlury, zamieszczonych na łamach *Narodowca* 18/19 grudnia ubiegłego roku.

Nie jest to pierwszy wyczyn spółki *Narodowiec* - Borowicz. W latach pięćdziesiątych były wydawca gazety w Lens wylewał kubły oszczerstw na głowę pułkownika — Ukraińca, któremu Polski Rząd na Emigracji w Londynie przyznał wysokie odznaczenia państwowe.

W Polsce międzywojennej w łódzkich pułkach W.P.: 31 p. Strzelców Kaniowskich, 28 p. piechoty i 10 p. artylerii ciężkiej służyło wielu Ukraińców, którzy nie byli problemem dla miasta Łodzi.

Z wysokim poważaniem

Czesław ZIOMKIEWICZ
Ancien Combattant — Ancien Déporté
Médaille Militaire
membre du Conseil D'Administration
Union Polonaise des Anciens Détenus
et Déportés Politiques en France

Canberra, 10 stycznia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przez nieuwagę przeoczyłem oświadczenie w sprawie stosunków polsko-żydowskich opublikowane w numerze 9/432 *Kultury*.

W poczuciu wielkiej odpowiedzialności ciężącej na Polakach i Żydach żyjących w obecnej diasporze, przyłączam się dzisiaj do apelu podpisanego przez sześciu wybitnych Polaków i Żydów.

Jerzy ZUBRZYCKI
Australian National University

ODPOWIEDZI REDAKCJI

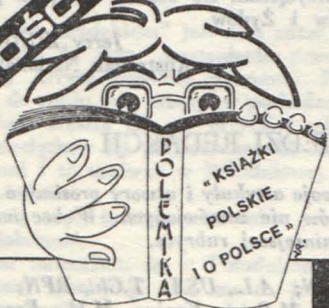
Czytelników nasyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Żołnierz AK w Kraju; J.F., RFN; A.L., USA; T.Ch., RFN; A.S., USA; N., Dania; M.R., Austria; M.B. w Kraju; M.M., Francja; J.M.,

- RFN; K.O., USA; C.N. w Kraju; E.U., RFN: — Z wierszy nie skorzystamy.
- B.K. w Kraju: — Nie wątpimy, że Pana opowiadanie jest oparte na autentycznych wydarzeniach. Sęk w tym, że nie jest opowiadaniem, lecz pośpieszną relacją typu dziennikarskiego.
- J.T., USA: — Opowiadanie jest niestety niezdarne; a szkoda, bo temat polskiego udziału w inwazji Czechosłowacji leży odłogiem.
- J.K., Kanada: — Bardzo Pan sobie uprościł aktualność powieści Orwella, o której zresztą pisaliśmy w *Kulturze* wielokrotnie. Uproszczona też i naiwna jest Pana wizja „sprawy polskiej”.
- M.R., Izrael: — Pana *Satiryczne miniatury* nie posiadają aż takiej wartości, by zachęcić nas do przekładu na polski i druk w *Kulturze*.
- Marek Żenni, Australia: — Pana artykułów „Szczęśliwe miasto” i „Warszawa walczy 44” nie zamieścimy.
- Kazimierz Kuźba, Paryż: — Nie zamieścimy. List przesłał mi p. R. Sikorskiemu.
- J.Z.Z., Warszawa: — Pana listu nie zamieścimy, gdyż dyskusja nad artykułem dr. Rostafińskiego jest zamknięta.

P

NOWOŚĆ



**KSIĘGARNIA
POLEMKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT

49, RUE GAY LUSSAC
75005 PARIS

TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Humor krajowy

Sytuacja w Kraju nie sprzyja powstawaniu dowcipów, śmiać się można jedynie przeglądając prasę peerlowską, oto przykłady:

„Tłuczki do mięsa na eksport” (*Życie Warszawy* z 15. 3. 1984, str. 1): Niewielka spółdzielnia „Współpraca” w Inowrocławiu (woj. bydgoskie) robi dewizowe kokosy na zgoła nietypowej do niedawna dla siebie produkcji i odpadach przemysłowych. Z resztek taniego surowca wyrabia i eksportuje tzw. bijaki czyli domowe tłuczki do mięsa. Najbardziej nimi zainteresowane okazały się Jugosławia, Jordania i Wenezuela, które w tym roku łącznie zakontraktowały już 30 tys. tłuczków... (tylko czekać że Izrael zwoła nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa w związku z niespodziewanym dobrojeniem Jordanii w tę niebezpieczną branżę).

Nowy kodeks drogowy przewiduje jeżdżenie w pasach. Pasów nie ma w sprzedaży, bo zapomniano dogadać tę sprawę z producentami. Na targowiskach dwa paski plus haftka kosztują 6.000 zł. Czy taką cenę pasków można nazwać paskarską? (*Polityka* z 25. 2. 1984).

Brakuje prezerwatyw. Nie byłoby w tym nic dziwnego, wszak brakuje nie tylko tego, gdyby nie fakt, że prezerwatywy wykupywane są przez producentów piszczałek, którzy dorabiają ustniki i każą dzieciom dmuchać. A mieli dmuchać dorośli... (*Polityka* z 3. 3. 1984).

A propos dzieci. Od bardzo dawna narzeka się, że w Polsce nie ma książek dla dzieci. Władze postanowiły temu zaradzić. Jak podają *Zapowiedzi wydawnicze* z 28. 11. 1983 ukazały się już, względnie ukażą się w najbliższym czasie, w nakładach po 20.000 egzemplarzy następujące książki: wydawca KiW w „Bibliotece dla dzieci i młodzieży”: Lenin Wł. I. „O inteligencji”; Marks K., Engels F., Lenin Wł.: „O materializmie dialektycznym”; Lenin Wł. I. „O państwie” (wybór); Marks K., Engels F., Lenin Wł. „O religii”; Marks K., Engels F. „O reformizmie”. Wyobrażamy sobie jak dzieci i młodzież rzucą się na tę atrakcyjną lekturę...

Zebrała Zofia HERTZ

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Ottawy — dla uczczenia pamięci Marii Czapskiej,
zmarłej 12 czerwca 1981 — \$ c. 15,00 F. 96,00
Jerzy Grot-Kwaśniewski, Armadale, Vic. (Australia) F. 250,00

Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich
w Polsce przy Wydziale na stan Illinois Kongresu Polonii
Amerykańskiej (przekazali dyr. KPA, przewodniczący Komitetu
Bonawentura Migała i Jan Jurewicz — skarbnik):
— na pomoc uwięzionym i ich rodzinom — \$ 5.000,00 .. F.40.000,00
— na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego .. F.4.000,00
— \$ 500,00 F.4.000,00
— na Wydawnictwo KOS — \$ 500,00 .. F.4.000,00

Bronisław Swiderski, Valby (Szwecja) — honorarium otrzymane
za tłumaczenie listu Adama Michnika do gen. Kiszczaka
(duński dziennik *Politiken* z 3 lutego 1984) — na pomoc
uwięzionym korowcom i solidarnościowcom F. 250,00

OSTATNIE WYDARZENIE

21-3-84

W siedzibie UNESCO w Paryżu wybuchł pożar niszcząc część budynku i powodując straty obliczane prowizorycznie na 5 milionów franków. Prasa francuska łączy ten pożar z faktem, że w najbliższym czasie miała się odbyć w UNESCO kontrola działalności administracyjnej i finansowej, której zażądała komisja Kongresu amerykańskiego (patrz artykuł L. Ungera, str. 26).

OŚWIADCZENIE

Bohdan Osadczyk przyznana mu przez *Kulturę* Nagrodę Przyjaźni i Współpracy przekazał na koszty opracowania specjalnego numeru *Kultury* w języku ukraińskim.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1984.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata		
	1/2-roczna	roczna	
Ceny na rok 1984			
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA : « Liberia Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA : Maria Rondomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8 Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuzanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiaskowiec »), 1638 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 36,00	\$Can. 35,00 DM 70,00 F. 200,00	\$Can. 60,00 DM 130,00 F. 380,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	DM 13,00	DM 70,00	DM 130,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51 Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009 Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211. T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145 Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009. H. Kosciuch, 41963 Utlice Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mill waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street Detroit, Mich 48211; Szwede Slavic Books 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika » 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel (212) 354-0492	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken way Rd., London SW5 ORD Tel (01) 370 2210	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
WLOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int 27. Tel. 75-67-241	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące, rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju.

Str. 176.

Cena F. 55,00.

TOM 387 — JERZY HOLZER

«SOLIDARNOŚĆ 1980-1981»

Geneza i historia

Str. 357.

Cena F. 95,00.

TOM 388 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZÉŚCDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: W. Bartoszewskiego — *Rozważania o Powstaniu Warszawskim*; Z. S. Siemaszki — *Płk Prawdzic-Szlaski — organizator AK na Nowogrodzyczynie; Trzy dokumenty ujawniające mechanizmy przemocy i gwałtu w Polsce w latach 1947-1955 (Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji, Sprawozdanie Komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy, List Wł. Lechowicza do jego obrońców w sprawie tortur, jakim go poddano); W. Michniewicza — *Monte Cassino w świetle dokumentów; Polacy znad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach sowieckich w latach 1944-1947; O. Remigiusz Kranc — Byłem skazany na 10 lat Syberii (wspomnienia, cz. I); T. Wyrwy — Raport ambasadora Francji w Bukareszcie o Polakach internowanych w Rumunii jesienią 1939 roku* oraz dział: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 60,00.

TOM 389 — HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

Losy Polaków w Związku Sowieckim w czasie drugiej wojny światowej i ich kontakty na terenie więzień i łagrów z przedstawicielami wielu innych narodów uciskanych przez ZSSR.

Pierwszy raz zebrane i przypomniane wszystkie książki i wspomnienia które ukazywały się na ten temat w czasie wojny i zaraz po niej, z których większość nie jest znana.

Książka ukaże się w kwietniu br.